

BIULETYN IPN

nr 7-8 (40-41)/2015

pamięć



PL

Demoludy i Solidarność

Kiszczak przed sądem

„Monter” w powstaniu

Sowieci czyszczą Krym

Cena 9 zł (5%VAT)

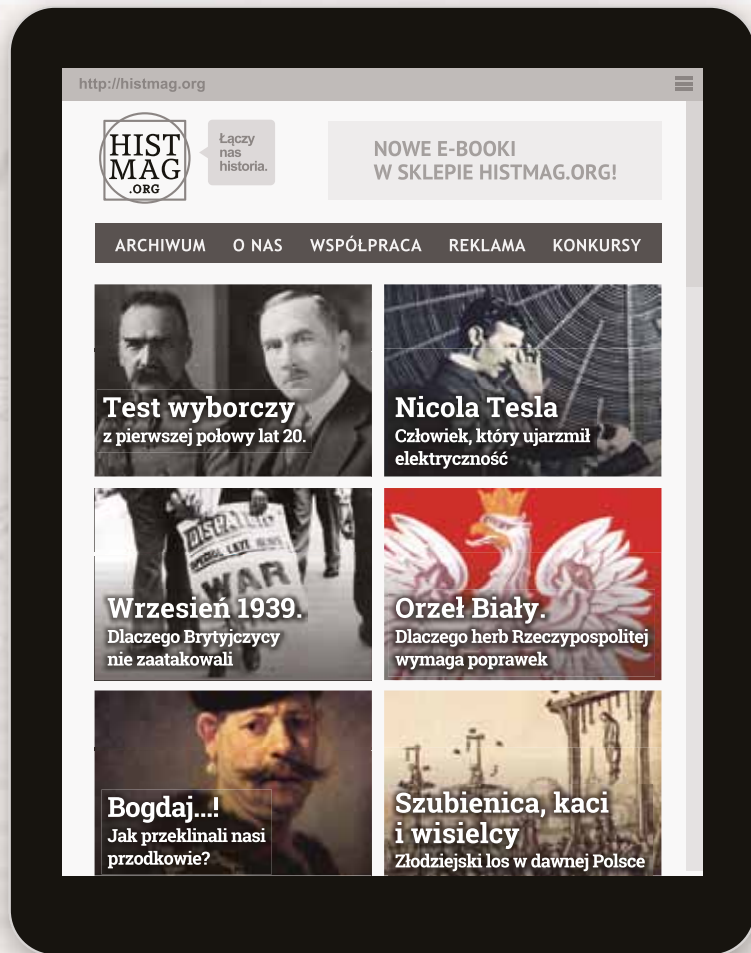
ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:
broшура
OBLAWA
AUGUSTOWSKA





Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY **MÓWIA WIEKI**

Popularyzujemy historię od 57 lat!

TEMAT MIESIĄCA: **EROS I KLIO**

- Ja, kazirodca. Klaudiusz i Agrippina
 - Markiz de Sade. Arystokrata, który uciekł spod gilotyny
 - Jak stracić wieniec, a nie stracić głowy. Rzec o seksie przedmałżeńskim na polskiej wsi
 - Rozmowa z minister kultury Małgorzatą Omilanowską
 - Likwidatorzy z AK. Rozmowa z dr. Piotrem Szopą
 - Król wyklęty. Przypadki Roberta Bruce'a
 - Bikini – atomowy atol
- oraz recenzje i nowości historyczne

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellona: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, **Cinkciarze i panienki**

STOP-KLATKA

- 10** Ewa Wójcicka, **Pierwszy kaczet**

Z ARCHIWUM IPN

- 14** Grzegorz Majchrzak, **Zduś się strajk**

WYWIAD

- 16** **Permanentna zdrada stanu** – rozmowa z Bogusławem Czerwińskim, prokuratorem Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
- 22** **Historie budzące grozę** – rozmowa z Beatą Hyży-Czołpińską, reżyserką filmu dokumentalnego *Oblawa*
- 24** **Kiedyś rozwikłamy zagadkę oblawy** – rozmowa z Nikitą Pietrowem, historykiem ze Stowarzyszenia „Memorial”
- 26** **Nieśliśmy do kraju wolne słowo** – rozmowa z ks. Hieronimem Fokcińskim SJ, dyrektorem Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie

PAMIĘĆ O WOJNIE

- 30** Andrij Portnow, **Ukraina: wyzwania pamięci**

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 36** Katarzyna Utracka, **„Monter”**: dowódca powstania
- 40** Piotr Stanek, **Głos Polski spod Londynu**
- 45** Magdalena Semczyszyn, **Sürgünlik** znaczy wygnanie
- 50** Konrad Rokicki, **Niechciany dar Stalina**
- 55** Krzysztof Tarka, **Bolesław Sulik** – między emigracją a krajem



Fot. Piotr Zycielski



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

- 60** Gábor Danyi, **Butik samizdatowy nad Dunajem**
- 65** Patryk Pleskot, **Zdławić kontrrewolucję**
- 69** Jan Oleński, **Klasowe i narodowe**

ŚLEDZTWA IPN

- 72** **Szczoteczka z celi śmierci** – rozmowa z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

- 74** **Byłem szczurem kanałowym** – relacja Bogusława Kamoli

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

- 79** Jerzy Eisler, **1920 Bitwa Warszawska**

Z BRONIĄ W RĘKU

- 83** Michał Mackiewicz, **Karabiny przeciwpancerne**

ORZEŁ BIAŁY

- 86** Tomasz Zawistowski, **Żakardowe orły z Tel Awiwu**

EDUKACJA HISTORYCZNA

- 91** Zuzanna Łubiarz, **Zamach na enkawudzistę**
- 93** Wioletta Kaźmierczak, **Piękna, malowana historia**
- 94** Krzysztof Jodczyk, **Jak uczyć o Oblawie Augustowskiej?**

MIEJSCA Z HISTORIĄ

- 96** Katarzyna Dzierzbicka, **Zanim było Bletchley Park**

101 RECENZJE

- 105** **BIBLIOTEKA IPN**

Fot. Damazy Kwiatkowski/PAP



Fot. East News



Fot. MPW

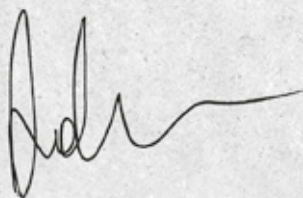


W lipcu 1945 roku Armia Czerwona, NKWD oraz ludowe Wojsko Polskie i bezpieczeństwa przeprowadziły w północno-wschodnich rejonach Polski (już tej w pojałtańskich granicach) obławę na członków i współpracowników polskiego podziemia niepodległościowego, które w tym regionie zachowało dosyć silne struktury. Prawie 600 osób, które ostatecznie padły ofiarą tej akcji, może wydawać się liczbą stosunkowo niedużą. Na tym słabo zaludnionym wówczas obszarze Obława Augustowska odcisnęła jednak znaczące piętno. Była też największą akcją represyjną wobec Polaków po II wojnie światowej. Mimo szykan i zwojów milczenia tragedia żyła przez cały okres PRL i żyje do dziś w pamięci krewnych i sąsiadów ofiar. Nie dziwi więc, że nazwano ją małym Katyńiem – jej znaczenie daleko wykracza poza wymiar lokalny, jest ona jednym z epizodów historii walki o niepodległą Polskę. W 70. rocznicę tych wydarzeń przygotowaliśmy specjalny, obszerny dodatek o Obławie Augustowskiej. Oprócz tego w samym numerze poświęciliśmy jej sporo miejsca, publikując m.in. rozmowę z Nikitą Pietrowem, członkiem rosyjskiego Stowarzyszenia „Memorial”, którego wkład w zbadanie tej sprawy jest nieoceniony.

Na okładowy temat tego numeru wybraliśmy jednak wydarzenie o pozytywnym wydźwięku: 35 lat temu, wskutek fali sierpniowych strajków, powstał pierwszy w powojennej Polsce Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Kolejna cegła z komunistycznego muru została wyjęta, kolejna krata wylamana. Do ostatecznego zwycięstwa było jednak jeszcze daleko. Gdzieś w tle entuzjazmu, który wybuchł na początku „karnawału Solidarności”, tliła się groźba interwencji wojsk Układu Warszawskiego – na wzór inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. O nastrojach, planach i postulatach, jakie pojawiły się w kręgach władz pozostałych krajów „demokracji ludowej” na wieść o powstaniu Solidarności, przypomina w swoim artykule Patryk Pleskot. To pierwszy z dwóch jego tekstów – w następnym numerze opisze nastroje w krajach zachodnich.

Od głosu ukraińskiego historyka Andrija Portnowa zaczynamy cykl artykułów dotyczących pamięci o II wojnie światowej u naszych najbliższych sąsiadów i w krajach, które odegrały najważniejszą rolę w czasie tych zmagania. O tym, jak ważna i żywa jest ta pamięć i jak często bardzo różni się od naszej, polskiej narracji, jakie wywołuje spory i kontrowersje wpływające nawet na bieżącą politykę – przekonujemy się niemal codziennie. Tym bardziej zależało nam na tym, aby te kwestie opisywali historycy pochodzący z tych krajów, na ich subiektywnym, autentycznym spojrzeniu. Warto poznać te różnice, aby znaleźć drogę do porozumienia, a nierzadko – pojednania.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



■ 28 czerwca, podczas Małopolskiego Pikniku Lotniczego w Krakowie, w sali kinowej Muzeum Lotnictwa Polskiego odbyła się **premiera 7. W obronie Lwowa** – najnowszej gry edukacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej, której autorami są dr Tomasz Ginter i Karol Madaj.



Fot. Pióbr Wlejak

7. W obronie Lwowa jest kontynuacją i uwięzieniem serii gier lotniczych *303* i *111*, poświęconych Dywizjonowi 303 i 111. Eskadrze Myśliwskiej. Jest to kolejna planszowa gra historyczna dla dwóch osób. Tym razem akcja rozgrywa się w sierpniu 1920 roku, w decydującym okresie wojny polsko-bolszewickiej. Zadaniem 7. Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki jest powstrzymanie 1. Armii Konnej pod dowództwem Siemiona Budionnego, która zbliża się do Lwowa. Polaków wspierają doświadczeni lotnicy amerykańscy, służący ochotniczo w Wojsku Polskim. Gra wymaga umiejętności logicznego myślenia, ale do zwycięstwa potrzebny jest też łut szczęścia. W opakowaniu znajduje się broszura w trzech wersjach językowych – polskiej, angielskiej i ukraińskiej – z informacjami o historii 7. Eskadry Myśliwskiej i jej bohaterów. *7. W obronie Lwowa* można kupić w punktach sprzedaży IPN oraz dobrych sklepach z grami planszowymi. Więcej informacji znajduje się na stronie www.pamiec.pl/gr7.

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr hab. Joanna Wojdon,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako,
Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” sp. z o.o.
ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.



■ Znamy już zwycięzców II edycji ogólnopolskiego konkursu „**Nie liczby widzę, a twarze... Literacki obraz zbrodni totalitaryzmów**”. Oto laureaci: Monika Bednarczyk, Joanna Braszak, Tomasz Kędys, Aleksander Kostrzewa, Magdalena Kuczek, Patrycja Kwiecień, Patrycja Pelica, Krzysztof Piędanowicz, Krystyna Porembka, Nadia Senkowska, Arkadiusz Filip Siwko, Małgorzata Smagiel-Occhipinti, Magdalena Wańczyk, Anna Wesołowska, Piotr Zawadzki i Magdalena Zawisłak. Nagrodą jest udział w historycznym konwersatorium objazdowym do miejsc związanych ze zbrodniami totalitaryzmu na terenie Niemiec, które odbędzie się we wrześniu.

Konkurs jest skierowany do pełnoletnich uczniów szkół ponadgimnazjalnych oraz studentów studiów licencjackich, magisterskich i doktoranckich. Jego celem jest przywracanie pamięci o ofiarach zbrodniczych systemów – nazizmu i komunizmu – oraz pokazanie uniwersalnych zagrożeń, które niosą ze sobą reżimy totalitarne. Zadaniem uczestników było napisanie tekstu prozatorskiego, ukazującego losy jednostki w systemie totalitarnym.

■ **Spot internetowy i plakaty** – w ten sposób Oddział IPN w Białymstoku postanowił nagłośnić poszukiwanie ofiar **Obławy Augustowskiej** z lipca 1945 roku. Przyjmuje się, że w wyniku tej zbrodni, nazywanej niekiedy małym Katyńiem, Sowieci zamordowali nie mniej niż 592 osoby, podejrzewane o przynależność do Armii Krajowej lub wspieranie podziemia niepodległościowego. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywają szczątki ofiar. Na plakatach znalazły się zdjęcia kilkorga zaginionych: dwiętnastoletniej Heleny Aldony Wnukowskiej, dwudziestoletniej Zyty Kucharzewskiej oraz dwudziestokilkuletnich braci Bronisława i Waleriana Myszczyńskich. Towarzyszy temu informacja, że osoby te są poszukiwane od 70 lat wraz z innymi zaginionymi w Obławie Augustowskiej. Plakaty pojawiły się w Białymstoku, Augustowie, Łomży i Suwałkach (m.in. w autobusach). Przygotowano również wersje anglo- i rosyjskojęzyczną do rozpowszechniania w Internecie. Akcji internetowej towarzyszy spot *Obława Augustowska – Lipiec 1945 – Pamiętamy*. Więcej o obławie piszemy w tym numerze i w dodatku specjalnym do „Pamięci.pl”.

■ Od 1 do 21 sierpnia w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** można oglądać **wystawę „O Niepodległą – Rok 1914”**. Ekspozycja, przygotowana przez Oddział IPN we Wrocławiu, jest poświęcona żołnierzom Legionów Polskich z okresu I wojny światowej. Zaprezentowano fotografie i dokumenty pochodzące ze zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie oraz prywatnych. Z kolei 22 sierpnia w stołecznym „Przystanku Historia” zostanie otwarta **wystawa zdjęć Ireny Hauck „Backward Glances. Determination for Democracy”**. Ekspozycja powstała z okazji 35. rocznicy podpisania porozumień sierpniowych z 1980 roku.

■ W Białymstoku, Krakowie i Warszawie Instytut Pamięci Narodowej prowadził w ostatnich tygodniach **poszukiwania ofiar terroru komunistycznego**. W pracach uczestniczą prokuratorzy i historycy z IPN oraz biegli z zakresu medycyny sądowej, antropologii, archeologii i genetyki. W sąsiedztwie aresztu śledczego w **Białymstoku** wydobyto szczątki 70 osób – kobiet, mężczyzn i dzieci. Tamtejsze prace, prowadzone w ramach śledztw Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, będą kontynuowane we wrześniu. Łącznie od 2013 roku odnaleziono już w Białymstoku szczątki 359 osób. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że są to pochówki z lat 1941–1956, czyli zarówno z czasu okupacji niemieckiej, jak i okresu powojennego.

Na cmentarzu Rakowickim w **Krakowie** ekipa kierowana przez dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka poszukiwała szczątków oficerów II Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – pplk. Alojzego Kaczmarczyka i kpt. Waleriana Tumanowicza, straconych 13 listopada 1947 roku w więzieniu przy Montelupich. W trakcie prac ekshumacyjno-archeologicznych wydobyto szczątki kilku osób. W najbliższych tygodniach eksperci przeprowadzą badania genetyczne pobranego materiału.

Na terenie kwatery 45-N cmentarza Bródnowskiego w **Warszawie** zespół Szwagrzyka także odnalazł szczątki kilku osób. Chodzi o straconych i zmarłych w 1946 roku w stołecznym Więzieniu Karno-Śledczym nr III przy ul. Namysłowskiej, tzw. Toledo. Więcej o pracach na cmentarzu Bródnowskim w rozmowie Karoliny Wichowskiej z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem, naczelnikiem Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN (s. 72–73).



Fot. Tomasz Damiński



■ Do 28 sierpnia w Ogrodach Bernardyńskich w **Rzeszowie** można oglądać plenerową **wystawę prac** nagrodzonych w ogólnopolskim konkursie „**Żołnierze Wyklęci. Historia, która mnie porusza**”, zorganizowanym przez Oddział IPN w Krakowie i Stowarzyszenie „Passionart”.

POSTAĆ MIESIĄCA

14 sierpnia 1920: W bitwie pod Ossowem poległ ks. Ignacy Skorupka. Był wnukiem powstańca styczniowego. Kształcił się w Warszawskim Seminarium Duchownym i rzymsko-katolickiej Akademii Duchownej w Piotrogradzie. W ostatnich latach I wojny światowej był proboszczem w Bogorodsku koło Moskwy, a następnie w Klińcach w guberni czernihowskiej. Stał się tam nieformalnym przywódcą dwutysięcznej grupy polskich uchodźców: prowadził tajną drużynę harcerską, organizował działalność oświatowo-kulturalną, w końcu zajął się ewakuacją rodaków do kraju. Latem 1918 roku wrócił do Polski. Pracował jako wikariusz w parafii Przemienienia Pańskiego w Łodzi. Był założycielem i prezesem Towarzystwa „Oświata”, działającego na rzecz rozwoju szkolnictwa polskiego. We wrześniu 1919 roku został przeniesiony do Kurii Metropolitalnej Warszawskiej. W kazaniach przypominał o obowiązku obrony ojczyzny. W końcu lipca 1920 roku został



► Ksiądz Ignacy Skorupka (1893–1920)

kapelanem garnizonu praskiego. W koszarach i na dworcach spowiadał żołnierzy wyruszających na wojnę przeciwko bolszewikom. W pierwszych dniach sierpnia na własną prośbę został mianowany kapelanem lotnym 1. batalionu 236. pułku piechoty, złożonego głównie z młodzieży. Kilka dni później wymaszerował wraz z batalionem, włączonym ostatecznie do 36. pułku piechoty, na front. Zginął w trakcie bitwy pod Ossowem, będącej częścią Bitwy Warszawskiej. Komunikat Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z 16 sierpnia głosił, że ksiądz „w stule i z krzyżem w ręku przodował atakującym oddziałom”. Tak później uwieczniali jego ostatnie chwile malarze. Inna wersja mówi, że duchowny poległ od zabłąkanej kuli, gdy udzielał sakramentu namaszczenia jednemu z żołnierzy.

W 2010 roku ks. Ignacy Skorupka został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Orderem Orła Białego.

Fot. East News

1 lipca 1945: Rada Jedności Narodowej wydała odezwę *Do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych*, zawierającą *Testament Polski Walczącej* (brošurę z nim dołączyliśmy do „Pamięci.pl” nr 9/2014).

Polskie Państwo Podziemne z czasu II wojny światowej było fenomenem na skalę europejską. W okupowanym kraju działały tajne struktury wojskowe i cywilne, podległe rządowi RP na uchodźstwie. Zaliczały się do nich m.in. Delegatura Rządu na Kraj i Rada Jedności Narodowej, czyli konspiracyjny quasi-parlament. Wkroczenie Armii Czerwonej na ziemie polskie, aresztowanie przez Sowieców przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i wycofanie przez Zachód uznania dla emigracyjnego rządu RP doprowadziły do znacznego osłabienia, a w końcu samorozwiązania delegatury i rady. 1 lipca po raz ostatni zebrała się w Krakowie Komisja Główna RJN. W przyjętym dokumencie podsumowano ofiarą walkę społeczeństwa polskiego w czasie wojny. Dalsza walka o pełną suwerenność Polski i rzeczywistą demokrację miała być jawną walką polityczną, a nie zbrojną.

W *Testamencie Polski Walczącej* postulowano m.in. opuszczenie ziem polskich przez Armię Czerwoną i NKWD, zaprzestanie prześladowań politycznych i dewastacji gospodarczej kraju, dopuszczenie wszystkich ugrupowań demokratycznych do udziału w wolnych wyborach oraz wprowadzenie reform ustrojowych i społeczno-gospodarczych. „Wyrażamy nadzieję, że osiągnięcie porozumienia z Rosją na tych zasadach jest możliwe” – pisano. Związek Radziecki, który po zwycięstwie nad Niemcami dyktował warunki w tej części Europy, nie był jednak zainteresowany partnerskim porozumieniem. „Rozpoczęła się nowa epoka – Polski pozbawionej niezależności i włączonej do wielkiego ideologicznego imperium” – pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski.

1 sierpnia 1975: W Helsinkach przyjęto akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Lata siedemdziesiąte XX wieku to okres pewnego odprężenia w zimnej wojnie. USA i ZSRR podpisały w tym czasie m.in. układy o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych (SALT I i II). Symbolem odprężenia było także spotkanie w Helsinkach. Na zakończenie obrad przedstawiciele 33 państw europejskich (w tym ZSRR i Polski) oraz USA i Kanady podpisali dokument, który miał regulować ich wzajemne stosunki w duchu „pokoju, bezpieczeństwa i sprawiedliwości”. Z punktu widzenia Związku Radzieckiego najważniejsze były postanowienia, które mówiły o nienaruszalności granic w Europie, a więc sankcjonowały m.in. zdobycze terytorialne Stalina z czasu II wojny światowej. Dla Polski istotne było uznanie w ten sposób granicy na Odrze i Nysie. Potwierdzono też raz jeszcze istnienie dwóch państw niemieckich. Akt końcowy KBWE zapewniał również swobody obywatelskie i wolności osobiste mieszkańcom państw sygnatariuszy. Władze krajów komunistycznych sądziły, że będą to niewiele znaczące deklaracje. Na zobowiązania helsińskie powoływali się jednak zachodni dyplomaci i rządząca się w państwach bloku wschodniego opozycja demokratyczna. Rządząca w PRL ekipa Edwarda Gierka zakładała, że w walce z grupami dysydenckimi zbyt drastyczne środki byłyby niewskazane. Miała na to wpływ wzrastająca zależność kraju od zachodnich kredytów. W rezultacie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych represje wobec opozycji były na ogół względnie umiarkowane – zamiast wieloletnich wyroków więzienia np. zatrzymania na 48 godzin, grzywny i rewizje.



Fot. East News



Zeskanuj kod i pobierz brošurę

2 sierpnia 1945: Zakończyła się konferencja w Poczdamie. Było to trzecie spotkanie tzw. wielkiej trójki, czyli głównych przywódców koalicji antyhitlerowskiej. 17 lipca 1945 roku w poczdamskim pałacu Cecilienhof pod Berlinem stawili się sowiecki dyktator



Fot. East News/AFP

Józef Stalin, prezydent USA Harry Truman i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill. Tego ostatniego zastąpił wkrótce nowy szef rządu Clement Attlee. W Poczdamie potwierdzono i doprecyzowano postanowienia lutowej konferencji jałtańskiej. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej RP, zdominowany przez komunistów, uznano za legalną władzę. Uzgodniono, że Polska uzyska reparacje wojenne w ramach kwot przyznanych ZSRR. Ustalono też *de facto* polską granicę zachodnią i północną. Polsce przypadły – kosztem Niemiec – ziemie do linii Odry i Nysy Łużyckiej oraz południowa część Prus Wschodnich i obszar dawnego Wolnego Miasta Gdańska. Ludność niemiecka z tych terenów miała zostać przesiedlona. Definitywne potwierdzenie granicy odłożono jednak do czasu konferencji pokojowej, nie precyzując, kiedy do niej dojdzie. „Ten stan niejednoznaczności wzmacniał zależność Polski od ZSRR” – komentuje w książce *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* prof. Andrzej Friszke. Związek Radziecki jeszcze długo mógł się przedstawiać jako gwarant polskiego stanu posiadania na zachodzie.

19/20 sierpnia 1920: Wybuchło II powstanie śląskie.

Traktat wersalski z czerwca 1919 roku przewidywał, że o przynależności państwowej Górnego Śląska rozstrzygnie plebiscyt. W regionie szybko jednak rosło napięcie. W sierpniu 1919 roku wybuchło tu pierwsze powstanie przeciwko Niemcom, które po kilku dniach upadło. W lutym 1920 roku na Górnym Śląsku przybyła Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa, złożona z Francuzów, Brytyjczyków i Włochów. Towarzystwo jej wojska nie były jednak w stanie utrzymać porządku. Nasilała się aktywność niemieckich bojówek, wspieranych przez policję – Sicherheitspolizei. 17 sierpnia bojówkarze zabili Andrzeja Mielęckiego, polskiego lekarza i społecznika. Była to jedna z iskieł, które doprowadziły do wybuchu II powstania śląskiego. Do walki – jak rok wcześniej – stanęła Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska. Władze RP nie wsparły zrywu, bo w tym czasie trwała jeszcze Bitwa Warszawska i ważyły się losy wojny z bolszewikami. Powstańcom i tak udało się opanować wiele miejscowości. 24 sierpnia Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa nakazała rozwiązać Sicherheitspolizei i powołać mieszaną policję polsko-niemiecką. W ten sposób podstawowy postulat strony polskiej został spełniony. Dzień później ustały działania powstańcze. POW Górnego Śląska uległa samorozwiązaniu.



Fot. Filmoteka Narodowa

► Kadr z filmu *Sól ziemi czarnej*

21 sierpnia 1955: W tygodniku „Nowa Kultura” Adam Ważyk opublikował *Poemat dla dorosłych*, w którym jawnie skrytykował władzę.

Po śmierci Stalina w marcu 1953 roku w państwach bloku wschodniego stopniowo pojawiły się oznaki odwilży politycznej, czyli pewnego złagodzenia reżimu. Symptomy zmian odnotowano też w kulturze. Artyści, którzy do tej pory wiernie służyli partii komunistycznej, teraz zrzucali gorset ideologiczny. *Poemat dla dorosłych* Ważyka odbił się przy tym szczególnie głośnie echem. Autor zamaskował obłudę propagandy komunistycznej i pokazał upadek moralny robotników wznoszących podkrakowską Nową Hutę: biedę, alkoholizm, prostytucję, bandytyzm. Chodziło tymczasem o jedną ze sztandarowych budów Polski Ludowej. Publikacja była tym bardziej niezwykła, że „Nowa Kultura” uchodziła za „trybunę i oręż socjalizmu”, a Ważyk za poetę bezwzględnie lojalnego wobec komunistów. Władze partyjne ostro zaatakowały autora i wydawcę. Stanowiska redaktora naczelnego „Nowej Kultury” i kierownika Wydziału Kultury KC PZPR stracił Paweł Hoffman. Ważyk wytrwał w partii do 1957 roku.



Fot. PAP

► Adam Ważyk (1905–1982)

22 sierpnia 1945: Powstało Polskie Stronnictwo Ludowe.

W zajętej przez Armię Czerwoną Polsce dominującą pozycję uzyskali komuniści. Tuż po II wojnie światowej musieli się jednak liczyć z legalną opozycją polityczną. Dużym poparciem społecznym cieszył się zwłaszcza niezależny ruch ludowy. Jego liderami byli Wincenty Witos, trzykrotny premier przedwojennej Polski (zmarł jesienią 1945 roku), i Stanisław Mikołajczyk, w latach 1943–1944 szef rządu RP na emigracji, a od czerwca 1945 roku wicepremier i minister rolnictwa w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Ludowcy wierzyli, że – mimo sowieckiej dominacji w Europie Środkowo-Wschodniej – uda się ocalić w Polsce demokrację i choć część niezależności. PSL szybko stało się najbardziej masową partią polityczną w kraju, liczącą w maju 1946 roku ok. 800 tys. członków. W aparacie państwowym dominowali jednak komuniści i ich sojusznicy, wśród nich marionetkowe Stronnictwo Ludowe. „Działaczy PSL aresztowano – często pod fikcyjnymi zarzutami, utrudniano funkcjonowanie lokalnych struktur partii, dochodziło do zastraszania, pobić, a także zabójstw polityków ludowych dokonywanych przez »nieznanych sprawców«” – wylicza w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Filip Musiał. W styczniu 1947 roku, w atmosferze terroru, odbyły się wybory do sejmu. Wyniki sfałszowano, a w części okręgów listy PSL w ogóle unieważniono. Oficjalnie stronnictwo otrzymało tylko 10 proc. głosów. Likwidacja PSL była kwestią czasu. Jesienią 1947 roku Mikołajczyk, obawiając się aresztowania, potajemnie opuścił kraj. Na czele partii stanął Józef Niećko – zwolennik współpracy z komunistami. Dwa lata później PSL połączyło się z SL. Powstało w ten sposób Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, będące satelitą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

oprac. Filip Gańczak

Plebiscyt na Warmii i Mazurach.
Dom polski w Olsztynie opasany drutami kolczastymi.

Kraków, 12 lipca. Cytując w tym celu na łamach "Kuryera Codziennego" i "Dziennika Łódzkiego" w sprawie plebiscytu na Warmii i Mazurach, który nastąpi 11 lipca, dzienniki te podają, że plebiscyt ten jest nieodzownym elementem polityki polskiej, aby wyrazić na siłę, że Polska nie chce odstąpić od swoich praw do ziem, które w 1919 roku zostały jej przywrócone przez traktat wersalski.

Kłonie dapaństwa...

W Warszawie, 11 lipca. W sprawie plebiscytu na Warmii i Mazurach, który nastąpi 11 lipca, dzienniki te podają, że plebiscyt ten jest nieodzownym elementem polityki polskiej, aby wyrazić na siłę, że Polska nie chce odstąpić od swoich praw do ziem, które w 1919 roku zostały jej przywrócone przez traktat wersalski.

13 lipca 1920 roku

Kończący I wojnę światową traktat wersalski został podpisany w czerwcu 1919 roku. Przewidywał m.in., że na Warmii, Mazurach i Powiślu odbędzie się plebiscyt rozstrzygający, czy te ziemie nadal będą należeć do Prus Wschodnich, a więc do Niemiec, czy zostaną włączone do odrodzonej Polski. Nad przebiegiem głosowania miała czuwać Komisja Międzysojusznicza, powołana przez Ligę Narodów. Strona polska twierdziła, że znaczna większość miejscowej ludności na co dzień posługuje się językiem polskim, i przypominała, że przed pierwszym rozbiorem Rzeczypospolitej w jej skład wchodziły Warmia i Powiśle. Termin plebiscytu wyznaczono na niedzielę 11 lipca 1920 roku. Polacy nie mieli jednak szans, aby go wygrać. Na jego teren władze niemieckie przewiozły bowiem z Zagłębia Ruhry ok. 100 tys. osób, swobodnie działały bojówki niemieckie, a co najważniejsze – trwała właśnie wielka ofensywa armii bolszewickiej przeciwko Polsce.

13 lipca, czyli dwa dni po plebiscycie, na łamach krakowskiego „**Ilustrowanego Kuryera Codziennego**” zamieszczono wypowiedź hr. Adama Zamoyskiego, specjalnego wysłannika marszałka sejmu. Zamoyski tłumaczył jeszcze przed głosowaniem, że rząd polski domaga się odroczenia plebiscytu, uzasadniając to żądanie „stwierdzeniem jawnie fałszowaniem przez Niemców list głosowania i prawdopodobieństwem sfalszowania całego aparatu plebiscytowego w ogóle. [...] Terror niemiecki jest okropny. Stwierdziliśmy niezawodnie i wśród najlepszych jednostek, iż ogół Polaków skutkiem tego żywi przeświadczenie, iż za chęć spełnienia swego narodowego obowiązku spotka go krwawy gwałt, po plebiscycie zaś głosujący za Polską ulegną najostrejszym represyjom, jeśli nie pogromom. Gwałty i nadużycia trwają bez ustanku. W przeciągu kilku dni, jakie spędziliśmy na terenach plebiscytowych, sami byliśmy świadkami napadu niemieckiego w Olsztynie, wybijania szyb [...], krwawej napaści na dworc kolejowym w Griesline nie [...]. Krwawych swych czynów Niemcy dopuszczają się bardzo uroczyście i ostentacyjnie przy dźwiękach orkiestr, grających »Deutschland über alles« i »Heil dir im Siegeskranz« [poprawnie: Siegerkranz]. Jakże się ma odbyć plebiscyt na Warmii i Mazurach, skoro w ostatnich dniach, aby zapobiec ciągłym napadom na Dom Polski w Olsztynie, komendant angielski policji plebiscytowej [...] zmuszony był wydać rozkaz, aby Dom Polski opasano kilkoma rzędami drutów kolczastych”. Komisja Międzysojusznicza nie zgodziła się na odroczenie plebiscytu. Ogromna większość spośród niespełna pół miliona głosujących opowiedziała się za przynależnością do Niemiec. Polsce przyznano zaledwie kilka wsi. ❀

18 sierpnia 1945 roku

Podpisanie układu z ZSRR 16 sierpnia było główną informacją w „**Dzienniku Łódzkim**” z 18 sierpnia 1945 roku. Jednak sporo miejsca na pierwszej stronie zajęła też wiadomość o zlikwidowaniu dziesięciu oficerów i żołnierzy ludowego Wojska Polskiego przez oddziały Narodowych Sił Zbrojnych. Tekst zatytułowano dramatycznie: **Zbrodnia Kaina**. „W Lubelskim, na samochodzie obrzuconym granatami, zginęło 10 oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego, bohaterów walk o niepodległość, odznaczonych za męstwo, ludzi, którzy po powrocie z frontu stanęli do pracy nad odbudową kraju i brali udział w akcji żniwnej. Dnia 12 sierpnia zamordowany został przez takich samych zbrodniarzy major oddziałów partyzanckich, który na wezwanie Rządu Jedności Narodowej wyszedł z lasu, aby twórczą pracą przyczynić się do odbudowy kraju” – alarmowała redakcja.

Wspomniany major skorzystał z amnestii, którą ogłoszono 2 sierpnia 1945 roku. Dekret zmierzał do likwidacji zbrojnego podziemia niepodległościowego, walczącego z uzależnieniem Polski od ZSRR. Propaganda komunistyczna przekonywała jednak, że – jak w tytule artykułu – mamy do czynienia z walką bratobójczą, wojną domową, a nie z bojem o niepodległość. Przekonywano też, że powojenne warunki polityczne to stu procentowa demokracja: „Rząd Jedności Narodowej został stworzony dzięki wielkim wysiłkom całego społeczeństwa. Ludzie, którzy uzupełnili Rząd Tymczasowy, reprezentują już wszystkie odłamy i wszystkie koncepcje polityczne cywilizowanego społeczeństwa polskiego [...] Spory polityczne toczyć się będą [...] w parlamencie na sesjach gabinetów, w prasie” – ten fragment można jeszcze uznać za manipulowanie półprawdami, ewentualnie posądzić autora tekstu o naiwność. Kolejne zdanie jest już jednak najordynarniejszym kłamstwem: „Cały naród polski zgodził się na to”. Tak, jakby ktokolwiek pytał społeczeństwo o akceptację dla powojennego porządku. Zaraz jednak autor wyjaśnia, co rozumie pod pojęciem społeczeństwa: „Proces zjednoczenia społeczeństwa już się dokonał. Różnice koncepcji zarysują się tylko w ramach jednego wspólnego programu demokracji. Ci wszyscy, którzy pozostali poza nawiasem zjednoczenia, pozostali poza nawiasem społeczeństwa. Ich walka jest pospolitą zbrodnią, godzącą w spokój i organizację społeczną, jest walką prowadzoną tylko ze zbrodniczych instynktów, z chęci rabunku, z głębokiego zdeprawowania, którego już nic nie zdoła naprawić”. A zatem – zdaniem redakcji (i komunistów w ogóle) – recepta była jedna: „Ludzi tych trzeba zniszczyć, bo grożą Państwu, jego powadze i organizacji, bo grożą całemu społeczeństwu, każdemu z nas, spokojowi naszych domów, szczęściu i życiu naszych dzieci. Musimy ich zniszczyć fizycznie, jak niszczy się zabójcze bakterie, musimy wysiłkiem całego społeczeństwa dopomóc władzom, aby raz nareszcie pozbyć się koszmaru wojny i koszmaru okupacji, aby raz nareszcie zaznać chwil spokoju i szczęścia, któremu już nie grożą kainowe ręce”. ❀

Wszyscy chcą bronić Ojczyzny.
Wszyscy chcą bronić Ojczyzny. Wszyscy chcą bronić Ojczyzny. Wszyscy chcą bronić Ojczyzny.

Zbrodnia Kaina
W Lubelskim, na samochodzie obrzuconym granatami, zginęło 10 oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego, bohaterów walk o niepodległość, odznaczonych za męstwo, ludzi, którzy po powrocie z frontu stanęli do pracy nad odbudową kraju i brali udział w akcji żniwnej. Dnia 12 sierpnia zamordowany został przez takich samych zbrodniarzy major oddziałów partyzanckich, który na wezwanie Rządu Jedności Narodowej wyszedł z lasu, aby twórczą pracą przyczynić się do odbudowy kraju” – alarmowała redakcja.

Protokół
Protokół z posiedzenia Komisji Międzysojuszniczej w sprawie plebiscytu na Warmii i Mazurach. Protokół z posiedzenia Komisji Międzysojuszniczej w sprawie plebiscytu na Warmii i Mazurach.

84 dokumentacje zakładów produkcyjnych i procesów technologicznych otrzymamy z ZSRR



TRYBUNA
ROBOTNICZA

Lipiec „chudym” miesiąc w przemyśle węgla

15 kop.
wykona zadania mies

NSZZ „Solidarność” REGIONU POMORZA ZACHODNIEGO
GROŃ
nr. 60
PISMO STOCZNIOWCÓW I RADY KOORDYNACYJNEJ
SZCZECIN 86.08.21

30 lipca 1958 roku

30 lipca 1958 roku na drugiej stronie „Trybuny Robotniczej”, katowickiej gazety PZPR, opublikowano Komunikat Generalnej Prokuratury. „Od dłuższego czasu stwierdzono nielegalnie wydawanie i kolportowanie w szerokim zakresie na terenie całego kraju licznych publikacji wydawanych przez instytucję pod nazwą »Instytut Prymasowski Ślubów Narodu na Jasnej Górze« – pisano. Autor komunikatu, zredagowanego przez Polską Agencję Prasową, podkreślał, że publikacje instytutu były sporządzane z naruszeniem obowiązujących przepisów prawnych na niezarejestrowanych urządzeniach „o dużej mocy produkcji” i że działalność wydawniczą prowadzono „wbrew istniejącemu obowiązkowi prawnemu”.

Pracownikom Instytutu Prymasowskiego zarzucano kolportowanie druków z pominięciem cenzury. Informowano o „poczynionych w odpowiedniej formie ostrzeżeniach” i innych „czynnościach organów śledczych”, które podjęto 13 maja 1958 roku, a które „zostały wręcz zignorowane przez osoby odpowiedzialne za wspomniane wydawnictwo”. Prokuratura w Katowicach wszczęła śledztwo. Przeprowadziła w pomieszczeniach wydawnictwa rewizję, zajęła „nielegalne” druki i „zabezpieczyła” – czyli skonfiskowała – powielacze, dzięki którym pracownicy Instytutu Prymasowskiego prowadzili swoją „wywrotową działalność”.

Autor informacji zapewniał czytelników, że broszury i ulotki zabrane przez prokuratora „zawierały treść antypaństwową, skierowaną przeciwko panującemu ustrojowi”.

W czasie rewizji znaleziono teksty kazań i modlitw, a także przedruk – wydanej po raz pierwszy w latach trzydziestych – broszury o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, w której padały sformułowania o „bezbożnej, sowieckiej nawałce” i o tym, że to modlitwa do Matki Boskiej uchroniła Polskę od strasznej klęski i utraty niepodległości. Dla władz komunistycznych publikacje te godziły w sojusz polsko-radziecki i były przejawem zdrady stanu.

W komunikacie prokuratury poinformowano także, że „przy dokonywaniu legalnych i przez prawo nakazanych czynności w zakresie śledztwa pracownicy wymienionego instytutu i osoby spośród mieszkańców klasztoru usiłowały stawić czynny opór działaniu organów prokuratorskich. Przybyła na wezwanie prokuratora kilkunastoosobowa grupa Milicji Obywatelskiej zabezpieczyła działania władz prokuratorskich”. W rzeczywistości cała nielegalna akcja przeciwko Instytutowi Prymasowskiemu – wydawnictwu powołanemu przez prymasa Stefana Wyszyńskiego – została przeprowadzona i zaplanowana przez funkcjonariuszy SB. Prokurator przy pomocy „smutnych panów” z bezpieki wtargnął do klasztoru podstępem – celem było zniszczenie niezależnego wydawnictwa. Władze komunistyczne nie spodziewały się jednak sprzeciwu ze strony pielgrzymów i zakonu paulinów. Tymczasem na terenie klasztoru doszło do zamieszek i przestraszeni esbecy wezwali posiłki ZOMO. Protest został zdławiony, pracownicy wydawnictwa postawieni przed sądem, a wszystko z powodu obsesji władz komunistycznych, które bały się „nieprawomyślnych” kazań i wydawnictw. ❀

21 sierpnia 1986 roku

Skutki sierpnia 1980 r. – takim tytułem drugoobiegowy „Groń” (nr 60) z 21 sierpnia 1986 roku opatrzył swą analizę z okazji szóstej rocznicy pamiętnych protestów robotniczych, które wstrząsnęły systemem politycznym PRL.

Pismo stoczniowców i Rady Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego przekonywało, że skutkiem Sierpnia '80 jest głęboko zakorzeniona wśród „znacznej części społeczeństwa” „świadomość własnej podmiotowości oraz potrzeby przemian w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym”. Za trwały owoc Sierpnia uznano też Solidarność – niezależnie od tego, że wprowadzony 13 grudnia 1981 roku stan wojenny zmusił związek do działania w konspiracji.

Redakcja przyznawała, że w ciągu kilku lat podziemie stopniało i uszczuplił się jego „potencjał materialny”. „Ani represje, ani warunkowe amnestie, ani też inne środki nie spowodują [jednak] unicestwienia bądź samoistnego zaniku tych struktur. W ciągu minionych blisko pięciu lat podziemne struktury udowodniły, że nie są zjawiskiem przejściowym” – czytamy w artykule.

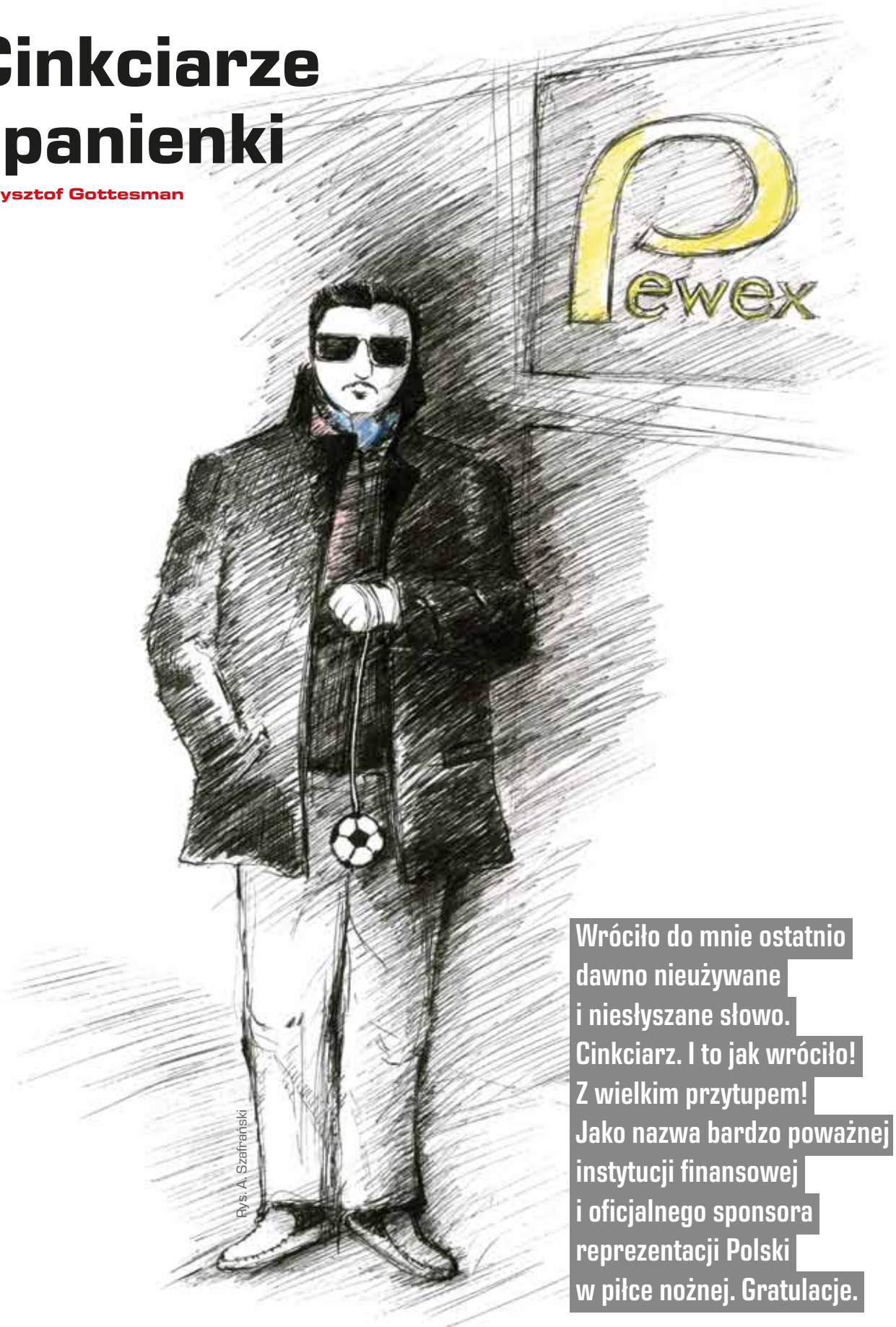
Anonimowi autorzy tekstu skarżyli się na „drakońskie środki represji” i „propagandowe oszczerstwa” ze strony władz: „Wyraża się to w zarzucaniu niektórym z podziemnych działaczy najcięższych przestępstw w rodzaju: zdrady Ojczyzny, sabotażu, próby obalenia ustroju przemocą itp. A przecież »Solidarność« od początku głosiła i nadal głosi [hasło] o wyrzeczeniu się przemocy w jakiegokolwiek formie. W ciągu wspomnianych pięciu ostatnich lat zorganizowane struktury »Solidarności« nie dokonały ani jednego aktu przemocy”.

Redakcja podkreślała, że Solidarność wciąż jest gotowa porozumieć się z rządzącymi komunistami, ale musi to być „obopólny kompromis”, a nie „dyktat jednej ze stron”. „Dotychczasowe poczynania władzy nie dają podstaw do przyjęcia, iż rzeczywiście zależy jej na porozumieniu. Niezależnie od tego »Solidarność« nadal pozostanie istotnym i realnym faktem. Jeśli szansa porozumienia nie zostanie wykorzystana, nie będzie w tym winy »Solidarności« – przekonywano. Znamienne, że pisano o tym na dwa i pół roku przed obradami Okrągłego Stołu. ❀

Jakie były i są te skutki? Odpowiedź można ująć jednym słowem: „Solidarność”. Czym „Solidarność” jest dzisiaj? Stanowi „J” dwa elementy: **Jeden** – to podziemne struktury „S” i ich działalność. **Drugi** – to głęboko zakorzeniona świadomość własnej podmiotowości oraz potrzeby przemian w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym – wśród znacznej części społeczeństwa. **Oceniając element pierwszy**, tj. podziemne struktury „S” można zauważyć spadek w zakresie ich liczebności i potencjału materialnego „skłoni, zmiana itp./.. Biorąc pod uwagę wpływ czasu /prawie pięć lat od wprowadzenia stanu wojennego/ oraz ciągłe represje ze strony władz, trudno nie dostrzec temu sżwisku. Nie ma jednak obawy, by struktury „S” przestały istnieć. Ani represje, ani warunkowe amnestie, ani też inne środki nie spowodują unicestwienia bądź samoistnego zaniku tych struktur. W ciągu minionych blisko pięciu lat podziemne struktury udowodniły, że nie są zjawiskiem przejściowym.

Cinkciarze i panienki

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafranski

Wróciło do mnie ostatnio dawno nieużywane i niesłyszane słowo. Cinkciarz. I to jak wróciło! Z wielkim przytupem! Jako nazwa bardzo poważnej instytucji finansowej i oficjalnego sponsora reprezentacji Polski w piłce nożnej. Gratulacje.

Change money? Dolary kupię, bony... – tego się nie da zapomnieć. Wypowiadane szeptem słowa witały każdego, kto wchodził w PRL do banku, lepszego hotelu, sklepu PEWEX; na lotnisku, dworcu czy w innych miejscach, gdzie bywali cudzoziemcy i gdzie płacili. Gdzie walutą był dolar. Rodacy też mogli się tych pytań spodziewać. To pytali cinkciarze, mężczyźni, których nie można było z nikim pomylić. Stali na zewnątrz, przechadzali się niespiesznie po holach. Charakterystyczna elegancja, kurtka z postawionym kołnierzem, mokasyny, papieros, a czasami marynarka w pepitkę, fular. Cinkciarzami byli też szatniarze, niektórzy kelnerzy, taksówkarze. W zasadzie mógł nim być każdy, kto miał kontakt z Zachodem.

Bo dolary do Polski przywozili przede wszystkim ludzie z Zachodu: turyści, pracujący u nas specjaliści, dziennikarze. Także dyplomaci, którzy – wymieniwszy po oficjalnym kursie obowiązkowy haracz – korzystali z usług zaufanych cinkciarzy, by wieść dostatnie i przyjemne życie w komunistycznej Polsce. Dolary, marki oraz tzw. bony sprzedawali cinkciarzom również Polacy pracujący na Zachodzie, kontraktach Polservice'u i prywatnych saksach, studenci wyjeżdżający w czasie wakacji. Wreszcie ci, którym rodziny przysyłały wsparcie. W kraju – a taka była ówczesna Polska – w którym kurs rynkowy dolara był wyższy od oficjalnego kilkadziesiąt razy, średnia pensja nie przekraczała dwudziestu dolarów, a pół litra wódki kosztowało kilkadziesiąt centów, czarny rynek był naturalnym regulatorem normalności.

Gdy jako student w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wracałem ze zbierania truskawek w Norwegii, mycia naczyń lub malowania mieszkań w Londynie, to kilkaset zaoszczędzonych dolarów przez cały rok wymieniałem stopniowo u zaprzyjaźnionego szatniarza w „Ambasadorze”. Szybko, sprawnie, elegancko. Dzięki temu – jak i większość moich kolegów – byłem

jak na owe czasy niezależny finansowo i choć mieszkalem w domu rodziców, to nie brałem już od nich żadnych pieniędzy.

Żeby ten obrazek nie był zbyt słodki, trzeba zejść na ziemię i powiedzieć o dwóch ciemniejszych stronach cinkciarzy. Pierwsza to tzw. przewały. Gdy w czasie transakcji okazywało się, że odliczona przez cinkciarza suma jest o – powiedzmy – pięćset złotych mniejsza niż uzgodniono, cinkciarz liczył ją ponownie, przeproszał za pomyłkę, ostentacyjnie dodawał brakujące pieniądze i oddawał całość klientowi. Ten, ufając temu, co widział, do tego ponaglany, by nikt nie zobaczył, chował szybko zawiniątko do kieszeni i odchodził. Dopiero po pewnym czasie orientował się, że dostał tylko tych brakujących pięćset złotych, a cała reszta to równo pocięte gazety. Trzeba jednak przyznać, że nie zdarzało się to zbyt często, a już prawie nigdy u zaprzyjaźnionych cinkciarzy. Ofiarami padali zazwyczaj turyści na rauszu, polscy prowincjusze, którzy bali się milicji, i poszukiwacze okazji. Reszta mogła się czuć w miarę bezpieczna.

Tym bardziej – i to jest druga ciemna strona tego zjawiska – że cinkciarze nie mogliby sobie pozwolić na szeroką działalność, gdyby nie przemykanie na nią oka przez milicję i bezpieczeństwo. Funkcjonariusze dostawali na pewno swoją dółkę w pieniądzu, ale nie to było najważniejsze. Wiedza, kto, kiedy, ile wymienia była dla bezpieki bezcenna. Zawsze mogła zostać wykorzystana w odpowiednim momencie do szantażu, do zmuszenia do współpracy. I cinkciarze, by móc funkcjonować, dzielili się swoją wiedzą. Istniała pełna symbioza między tymi dwoma światami. Co się pięknie potwierdziło, gdy kończyła się PRL i zaczęła funkcjonować ustawa Wilczka. Pierwsze legalne kantory wymiany walut zakładali byli cinkciarze i esbecy. A było wielu, którzy te dwie profesje udanie łączyli.

I co komuś przyszło do głowy, by do tej tradycji nawiązać, zakładając poważną, jak czytamy w materiałach

reklamowych, instytucję finansową? „Cinkciarz.pl to pierwszy w Polsce kantor internetowy, który umożliwi wymianę 24 walut po bardzo atrakcyjnych kursach” – reklamuje się i zapewnia, że przeszedł odpowiednie kontrole i audyty, oraz że zajmuje znaczne miejsce na liście pięciuset „Rzeczpospolitej”. Czy w ten sposób chcą zdobywać klientów? A piłkarze, choć wiem, że do świętych się nie zaliczają i o cinkciarzach wiedzą sporo, po co się w to pchają?

Jak zobaczyłem pierwszy raz na ekranie telewizora logo firmy, to pomyślałem, że to jakiś żart, później widziałem je na okalających stadiony bandach jako oficjalnego sponsora polskiej reprezentacji piłkarskiej. Czy to tylko głupia nostalgia za PRL, o której kilka razy już tu pisałem? Te wszystkie szynki „jak za Gierka”, bale przodowników pracy, fascynacje pralką Franią i wodą z saturatora. Że „kiedyś to się żyło”. Nostalgia głupia, wcale nie dowcipna i szkodliwa, zacierająca prawdę, wprowadzająca niszczący dzisiaj relatywizm moralny.

Wiem, i sam to mocno w tym tekście podkreśliłem, że cinkciarzy można nazwać wytworem chorego systemu, nawet jego naturalnym naprawiaczem. Ale przecież nie byli żadnym zabawnym folklorem, do którego z przymrużeniem oka można się odwoływać. Byli taką samą patologią jak system, na którym żerowali, i choć sam z ich usług korzystałem, to jestem przekonany, że dżumy nie leczy się cholera. A esbeckie powiązania cinkciarzy tylko to przekonanie wzmacniają.

A może to wszystko nie jest ważne? Proponuję więc piłkarzom, żeby ich wizerunkiem, PR-em, jak się mówi, zajęła się jakaś nowa agencja, na przykład Panienci.pl. Analogie do cinkciarzy są. Panienci były w PRL w każdym hotelu, też obracały dolarami, kontakty z esbecją miały jak najbardziej i też można by na nie dziś spojrzeć z dystansem i sympatią. Na wszelki wypadek powiem, że to była propozycja rzucona żartem. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Pierwszy kacet

Ewa Wójeicka

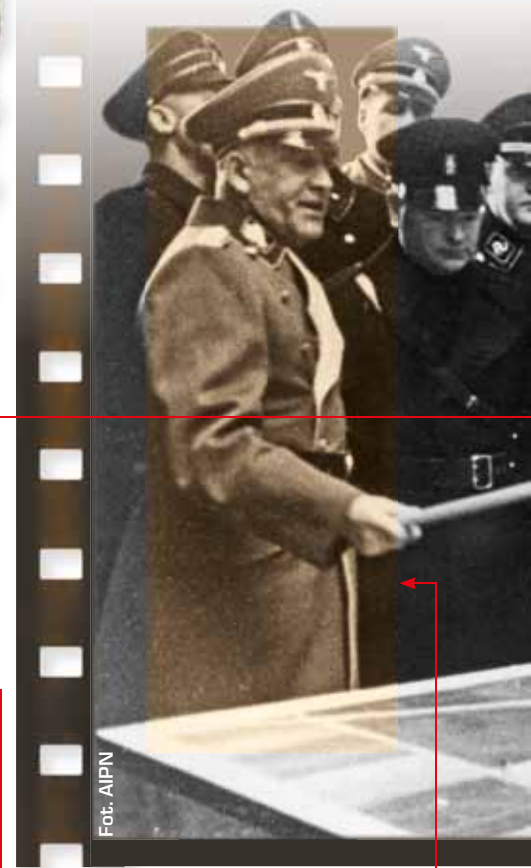
Założony w 1933 roku obóz w Dachau stał się pierwowzorem innych niemieckich obozów koncentracyjnych. W tym roku minęła 70. rocznica jego wyzwolenia.

Obóz został utworzony decyzją szefa SS Heinricha Himmlera, ogłoszoną we wtorek 21 marca 1933 roku. Dziennik „Münchner Neueste Nachrichten” opublikował wówczas oświadczenie rozpoczynające się zdaniem: „W środę w pobliżu Dachau zostanie otwarty pierwszy obóz koncentracyjny”. Obóz miał być przeznaczony dla więźniów politycznych. Wybudowano go na terenie dawnej fabryki amunicji, ok. 3 km od miejscowości Dachau. Dzielił się na dwie zasadnicze części: pierwsza, przeznaczona dla więźniów, została otoczona płotem z drutu kolczastego pod wysokim napięciem oraz siedmioma wieżami wartowniczymi; w drugiej znajdowały się pomieszczenia administracyjne.

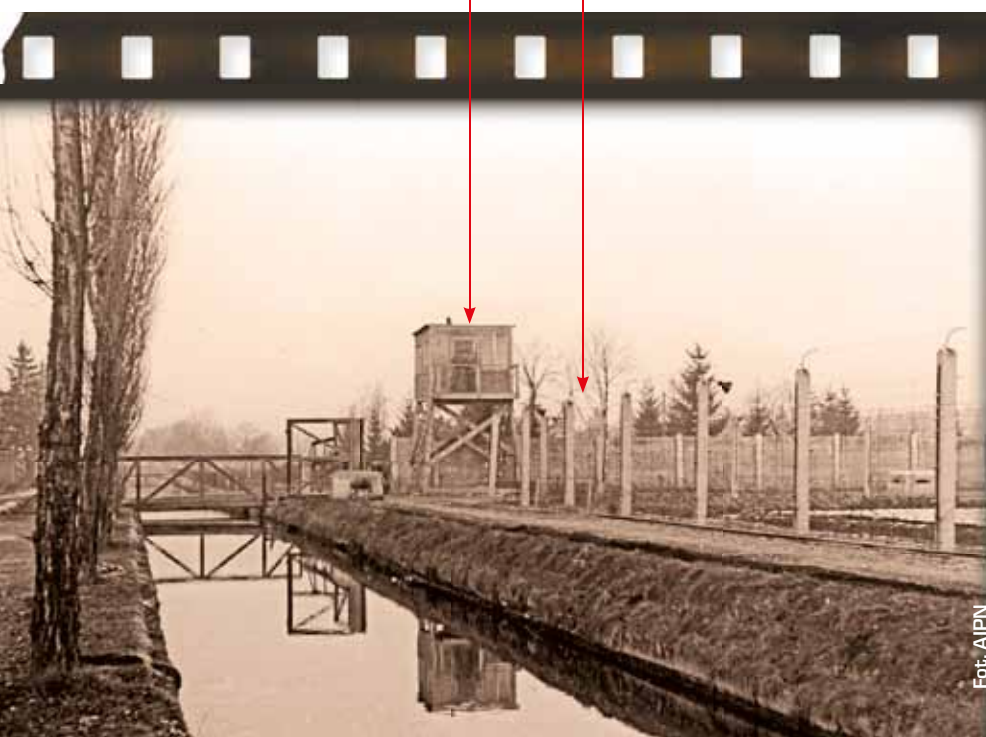
Początkowo część przeznaczona dla więźniów liczyła osiemnaście baraków. Jednak wraz z napływem więźniów do obozu podjęto decyzję o jego rozbudowie. W latach 1937–1938 powstały kolejne baraki. Całość po powiększeniu liczyła 34 sztuby usytuowane w dwóch rzędach wzdłuż alei topoli. Wejście do obozu prowadziło przez *Jourhaus* – główną wartownię, której częścią była brama z napisem *Arbeit macht frei*.

Arbeit macht frei („praca czyni wolnym”), parafraza cytatu zaczerpniętego z Ewangelii św. Jana (J 8, 32), który w języku niemieckim brzmi dosłownie: *Wahrheit macht frei* („prawda czyni wolnym”), została początkowo wykorzystana jako tytuł opowiadania przez niemieckiego pisarza prawico-

wego, Lorenza Diefenbacha. W latach trzydziestych XX wieku propaganda nazistowska wykorzystała ten cytat w swoich programach walki z bezrobociem. Na rozkaz Theodora Eickego, komendanta obozu w latach 1933–1934,



Fot. AIPN



Fot. AIPN





ki oznaczone numerami nieparzystymi: 1, 3, 5 po prawej stronie służyły jako stacje doświadczalne i rewir, obejmujący później baraki 7 i 9. Sztuby 11, 13, 15, 17, 19 były przeznaczone dla więźniów objętych kwarantanną. Barak 21 służył jako barak karny i został oddzielony od innych drutem kolczastym. Tuż za nim znajdował się barak dezynfekcyjny. Blok 28 był zajmowany przez polskich duchownych. W 1940 roku w pobliżu ▶

napis ten został umieszczony na bramie obozowej.

Po prawej stronie od wejścia znajdowały się pończoszarnia, kuchnia, magazyny oraz bunkier służący jako areszt. Po lewej stronie od *Jourhaus* mieściły

się budynki przeznaczone dla administracji obozu i wartowników. Wolny obszar pełnił funkcję placu apelowego. Szesnaście parzystych baraków, usytuowanych po lewej stronie, przeznaczono dla więźniów pracujących, kolejne blo-

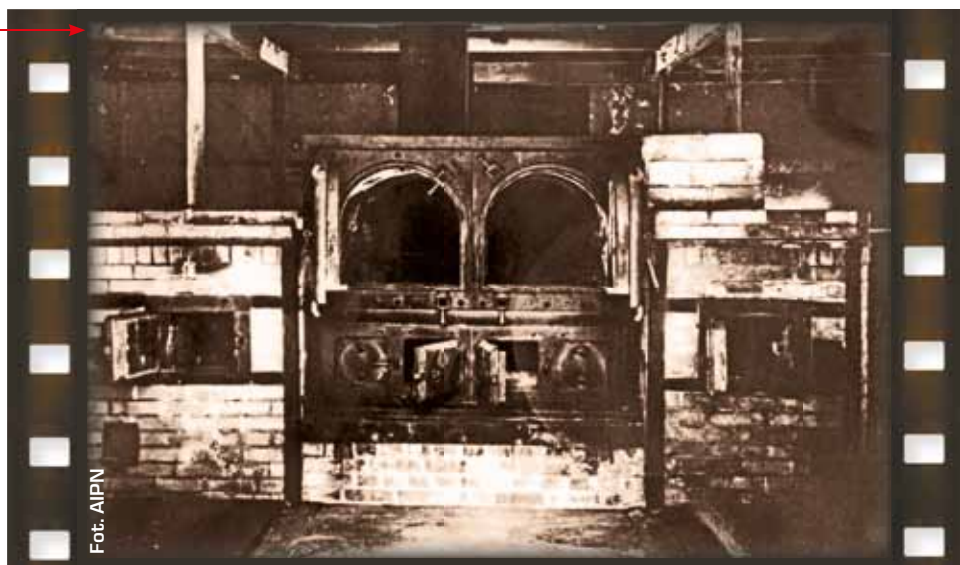


obozu powstało krematorium z dwoma piecami. Zwłok jednak spalano tak wiele, że wkrótce okazało się ono niewystarczające. W maju 1942 roku rozpoczęto budowę nowego krematorium, które funkcjonowało jako blok X. Urządzono tam również pomieszczenie do dezynfekcji oraz prysznic (*Brausebad*). Budowę ukończono w kwietniu 1943 roku. Wcześniej, pod koniec 1942 roku, przy bloku X rozpoczęto budowę komory gazowej, która miała znajdować się w bloku B. Nie została ona jednak użyta do uśmiercania więźniów.

Początkowo więźniami Dachau byli członkowie opozycji antynazistowskiej: komuniści, socjaliści, chadecy. Pierwszą grupę więźniów przywieziono 22 marca 1933 roku. Podstawą ich izolacji było rozporządzenie prezydenta Rzeszy „o ochronie narodu i państwa” z 28 lutego 1933 roku. Później do obozu przybywali Żydzi, Sintzi (wędrowna grupa etniczna spokrewniona z Romami), Romowie, świadkowie Jehowy, homoseksualiści.

W czasie wojny w Dachau zostali osadzeni więźniowie z krajów okupowanych. Najliczniejszą grupę stanowili Polacy. 5 marca 1940 roku przybył transport 1,5 tys. więźniów, wśród których było 43 naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Większe transporty obywateli polskich zaczęły napływać do Dachau w kwietniu i maju 1940 roku. Do końca 1940 roku do Dachau trafiło 21 377 Polaków. Po upadku Powstania Warszawskiego do obozu przywieziono grupę 3040 Polaków. Tutaj osadzano również obywateli ZSRR oraz m.in. Czech, Francji, Belgii, Holandii.

Dachau od 1941 roku był głównym ośrodkiem masowego niszczenia duchownych z kościołów chrześcijańskich – katolickiego, prawosławnego i protestanckich. Szacuje się, że w KL Dachau przebywało 2794 duchownych, w tym 1773 pochodziło z Polski. Księża w ramach akcji „Sonderbehandlung 14f13” byli kierowani do zamku w Hartheim koło Linzu. Po przywiezieniu na miejsce ginęli



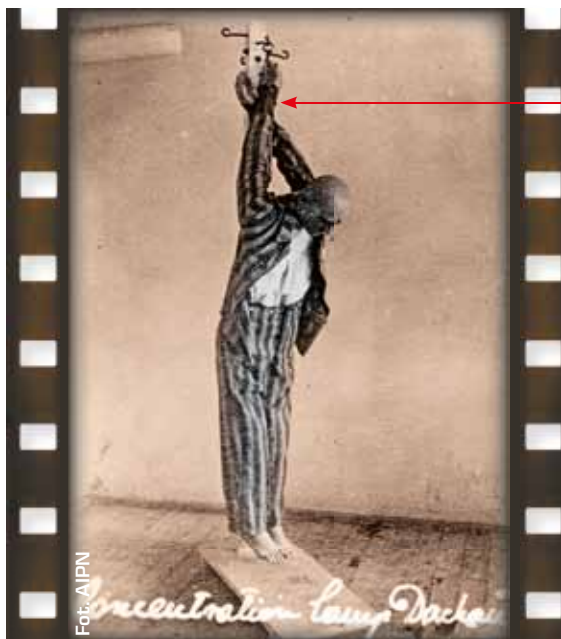
Fot.: AIPN

w komorach gazowych, uśmierceni dwutlenkiem węgla. Pierwsza fala transportów rozpoczęła się 15 stycznia 1942 roku i trwała do 3 marca tegoż roku. Objęła 1452 więźniów. Według badań Manfreda Wendela-Gilliara, niemieckiego teologa, łącznie w ten sposób zostało zamordowanych ponad pięciuset duchownych. Wśród ofiar było 310 księży z Polski. W komorach Hartheim zginęli m.in. księża: Gustaw Bombicki, Wincenty Chabowski, dr Antoni Ludwiczak.

Z dokumentacji obozowej wynika, że przez Dachau przeszło 206 606 więźniów, z których zginęło 31 591. Liczby te nie obejmują jeńców radzieckich, więźniów zmarłych w czasie ewakuacji obozu oraz skierowanych do Dachau przez szefów

Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i placówek gestapo w ramach *Sonderbehandlung* („traktowanie specjalne”).

Theodor Eicke opracował specjalną instrukcję, tzw. Regulamin dyscypliny i kar dla obozu więzińskiego. Dokument ten obowiązywał również w pozostałych obozach koncentracyjnych w III Rzeszy i krajach okupowanych. Instrukcja nadawała pełnię władzy komendantowi w zakresie wymierzania kar więźniom na terenie obozu. Przewidywano następujące kary: areszt do 42 dni włącznie, stójkę, pozbawienie żywności, zakaz dostarczania korespondencji, uciążliwą pracę, ćwiczenia fizyczne, przeniesienie do kompani karnej, karę śmierci. Paragraf 11 instrukcji nakazywał wieszanie „podżegaczy”, paragraf 12 zezwalał zaś na rozstrzelanie buntowników. Często stosowaną metodą tortur była tzw. kara słupka. Ręce więźnia wiano z tyłu, a następnie wieszano go na haku w ten sposób, by nie dotykał stopami ziemi. Kilku-godzinne wiszenie często powodowało zerwanie ścięgien ramion. W konsekwencji więzień tracił władzę w rękach. Inną metodą była tzw. kara kozła. Ofiara kładła się na ławce. Jej nogi umieszczano w specjalnej skrzynce, a dwóch oprawców stało z boku i uderzało skazańca bykowcami lub drewnianym drągiem, za-



Fot.: AIPN

zwyczaj w pośladki. Więźniowie otrzymywali kary nawet za najdrobniejsze przewinienia, jak np. źle posłane łóżko, brak guzika przy pasiaku, niezdzjęcie czapki.

Invalidentransport – w nomenklaturze obozowej w ten sposób określano transporty tych więźniów, którzy byli nieproduktywni i nieprzydatni do pracy („muzułmanów”). W 1941 roku Himmler, chcąc „oczyścić” obozy z niezdolnych do pracy oraz chorych i wycieńczonych, wystąpił z inicjatywą realizacji tego zamierzenia do pracowników zaangażowanych w akcję T4, w ramach której w zamku w Hartheim uśmiercano ludzi psychicznie chorych oraz urodzonych z defektami fizycznymi. Decyzję tę argumentowano w ten sposób, że zakład eutanazji funkcjonujący we wspomnianej miejscowości dysponował niezbędną strukturą i urządzeniami. Według Himmlera, obozy koncentracyjne były wówczas niewystarczająco przygotowane do masowego uśmiercania więźniów. Wydział Medyczny T4 wyznaczył lekarzy, którzy byli kierowani do obozów koncentracyjnych jako tzw. komisja lekarska. Więźniów selekcjonowanych do *Invalidentransport* informowano, że zostaną przewiezieni do obozu wypoczynkowego (*Erholungslager*). Komisja obozowa pytała wytypowanych jedynie o stan zdrowia, nie przeprowadzając jakichkolwiek badań lekarskich. Więźniów odpowiednio przygotowywano



Fot. AIPN



Fot. AIPN

do tej podróży: najpierw kierowano ich do łaźni, następnie na drogę otrzymywali pół bochenka chleba oraz kawałek kielbasy, by nie mieli najmniejszych podejrzeń co do rzeczywistego celu podróży. Po czym ładowano ich do samochodów ciężarowych.

Od 1940 roku w obozie koncentracyjnym Dachau prowadzono na więźniach eksperymenty pseudomedyczne. Ponadto na zlecenie Luftwaffe badano wytrzymałość organizmu ludzkiego na dużych

wysokościach, sprawdzano działanie niskich temperatur oraz przystosowanie wody morskiej do picia. Do tych zbrodniczych badań wybierano przede wszystkim duchownych oraz więźniów chorych, wyniszczonych trudnymi warunkami życia obozowego. Eksperymenty były prowadzone m.in. przez prof. Clausa Schillinga, prof. Georga Augusta Weltza, dr. Sigmunda Raschera, dr. Heinza Schütza, Hansa Eiselega – medyków, którzy w imię ideologii nazistowskiej postępowali wbrew zasadom etyki zawodowej. Po wojnie tylko niektórzy z nich odpowiedzieli za swoje czyny i ponieśli zasłużoną karę. Amerykański Trybunał Wojskowy w Dachau, który obradował w latach 1945–1947, skazał Schillinga na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano 28 maja 1946 roku w więzieniu w Landsbergu. Pozostali otrzymali długoletnie wyroki więzienia lub zostali uniewinnieni. Doświadczeniom zostało poddanych ok. 6 tys. więźniów, życie straciło 2073. Pozostali doznali trwałego kalectwa i do końca życia odczuwali skutki zgubnych eksperymentów.

29 kwietnia 1945 roku o 17.25 do obozu wkroczył niewielki oddział zwiadowczy VII Armii Amerykańskiej. Wyzwolicielem ukazał się tragiczny obraz wychudzonych, brudnych, skrajnie wycieńczonych więźniów; grozę potęgowały stopy ciał ludzkich leżących w pobliżu krematorium. Wolność odzyskało ok. 33 tys. więźniów. Ci, którym dane było przeżyć, poczytali ten moment za cud. Tym bardziej że rozkaz Himmlera z 14 kwietnia 1945 roku był jednoznaczny: „Żaden więzień nie może dostać się żywy w ręce nieprzyjaciela”. Wyzwolenie przyszło w samą porę. Tego samego dnia o 21.00 obóz miał zostać całkowicie zniszczony przez 5. dywizję pancerną SS „Wiking”. Wszystkie ślady zbrodni miały zostać zatarte, a świat – nigdy się nie dowiedzieć o dramacie, który rozegrał się w Dachau. 🍷

Ewa Wójcicka – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Fot. AIPN

Historia Polski w sierpniu 1980 roku mogła się potoczyć inaczej. Na szczęście propozycja siłowego zakończenia strajków, wysunięta przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, nie znalazła akceptacji przywódców PRL.

Pierwsze „przerwy w pracy”, jak strajki określały władze PRL, miały miejsce 1 lipca 1980 roku. Początkowo strajkowało po kilkaset osób w różnych miejscach Polski (najważniejszym centrum strajku była Lubelszczyzna, gdzie władze zdecydowały się na podpisanie porozumienia ze strajkującymi), ale w pierwszej połowie sierpnia wydawało się, że protesty zaczynają wygasać. Jednak 14 sierpnia 1980 roku stanęła Stocznia Gdańska (wówczas im. Lenina) – był to pierwszy protest zorganizowany przez opozycję. Zakończył się on, co prawda, po dwóch dniach porozumieniem z dyrekcją, ale część strajkujących (wobec protestów w innych zakładach pracy Trójmiasta) postanowiła go kontynuować. Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który rozrastał się w kolejnych dniach. Utworzono listę 21 postulatów i rozpoczęto (nie bez oporów ze strony władz) rozmowy z rządzącymi.

Przywódcy PRL znaleźli się pod presją, tym bardziej że oprócz Gdańska zastrajkował Szczecin, gdzie 19 sierpnia również utworzono MKS i sformułowano własną listę postulatów, a następnie pojawiły się kolejne centra strajkowe – m.in. Górny Śląsk, czyli kolebka I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edwarda Gierka. Konieczne stało się podpisanie porozumienia z robotnikami – 30 sierpnia w Szczecinie, 31 w Gdańsku, 3 września w Jastrzębiu oraz osiem dni później w Katowicach.

Funkcjonariusze SB próbowali realizować przyjętą po Grudniu '70 przy Rakowieckiej „koncepcję operacyjnego przygotowania na konflikt w szerszej skali”. Przewidywała ona wcześniejsze pozyskanie i przeszkolenie

tajnych współpracowników, aby byli oni gotowi do „przejścia w razie strajków roli przywódczej, a następnie kierowania spokojnym ich przebiegiem i niedopuszczenia do skierowania ruchu strajkowego na niebezpieczne politycznie tory”. Jednak w sierpniu 1980 roku te ambitne zamierzenia okazały się nierealne. Okazało się bowiem, że – jak potem stwierdził jeden z wyższych oficerów SB – „w sytuacji masowej solidarności, a szczególnie strajków typu okupacyjnego, nasze pozytywne profilaktyczne oddziaływania są bardzo ograniczone, nieskuteczne, a przeciwdziałania wręcz niemożliwe”. I to mimo zaangażowania dużych sił i środków. W lipcu i sierpniu 1980 roku starano się zastraszyć organizatorów strajków. Protestujących i osoby je wspierające obserwowano, fotografowano, czasem zatrzymywano i spisywano. Zatrzymywano ludzi, o których wiedziano, że zamierzają takie protesty zorganizować lub nawiązać kontakty ze strajkującymi. Przede wszystkim jednak próbowano zneutralizować działaczy opozycji. Uniemożliwiano im organizowanie spotkań czy zbieranie podpisów pod apelami z poparciem dla strajkujących – i oczywiście kontakt z protestującymi robotnikami. Przechwytywano drukowane i kolportowane przez nich ulotki oraz powielacze, ale przede wszystkim prewencyjnie zatrzymywano ich na 48 godzin. Po zwolnieniu cieszyli się oni wolnością najwyżej przez kilka minut, bo zatrzymywano ich na kolejnych 48 godzin – na dłuższe pozbawienie wolności nie pozwalało bowiem prawo. Od 16 do 25 sierpnia zatrzymano łącznie 341 osób, z tego 32 – więcej niż raz. Służbę Bezpieczeństwa wspierała jej agentura, wykonując zadania w strajkujących zakładach.

Skoro działania te nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, 26 sierpnia Sztab MSW Operacji „Lato 80” (utworzony dziesięć dni wcześniej „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”) przedstawił propozycję siłowego zakończenia protestów w Gdańsku. Tego samego dnia była ona omawiana podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, jednak przywódcy partii i państwa nie zdecydowali się na jej realizację. Prawdopodobnie dlatego, że przedstawiono ją zbyt późno – w kraju *de facto* trwał już strajk generalny (według danych MSW, w sierpniu zastrajkowało ok. 700 tys. osób w 750 zakładach pracy).

Resort spraw wewnętrznych był gotowy do działania. Jeszcze 26 sierpnia gen. Bogusław Stachura, kierownik Sztabu Operacji „Lato 80”, odwołał funkcjonariuszy i pracowników cywilnych z urlopów, skoszarował Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej i słuchaczy szkół resortowych, a także podstawowe jednostki komend wojewódzkich MO. „Odpowiednie wytyczne” (na podstawie wspomnianej decyzji) podległym i nadzorowanym jednostkom mieli wydać również dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza i Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, komendant główny Straży Pożarnej oraz kierownik Głównego Inspektoratu Ochrony Przemysłu. Stan podwyższonej gotowości był utrzymywany (mimo braku decyzji politycznej o rozwiązaniu siłowym) do początku września 1980 roku, kiedy stało się oczywiste, że władze PRL zdecydowały się na (jak to określił Gierek) „mniejsze zło”, czyli porozumienie ze strajkującymi robotnikami, aby później odzyskać utracone pozycje. ■

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

MINISTERSTWO
W WĘWNETRZNYCH
SZTAB

ZALACZNIK nr 50
Warszawa, dnia 26 sierpnia 1980 r.

T A J N E
ogz. nr ...

PROPOZYCJE

Sztabu MSW operacji "Lato-80" wg sytuacji na dzień 26. VIII. br. godz. 10.00

Dalsze utrzymywanie się strajku powszechnego w województwach gdańskim i szczecińskim, działalność Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych - szczególnie MKS w Stoczni im. Lenina, unieruchomienie portów i wynikające z tego konsekwencje w dostawach materiałów i dostaw kooperacyjnych stwarzają zagrożenie strajków o zasięgu ogólnokrajowym oraz unieruchomienia zakładów pracy w różnych regionach kraju.

Informacje z dnia dzisiejszego wykazują, że strajki objęły nowe ośrodki: Kraków, Wrocław, Łódź, umocniły się w Krośnie i rozpoczęł się strajk w Świdniku. W kilkudziesięciu punktach kraju istnieją sytuacje konfliktowe grożące wybuchem strajku.

Z posiadanej rozpoznania wynika, że staje się coraz bardziej aktywny i agresywny tzw. MKS w Gdańsku, opanowany przez elementy kontrrewolucyjne i działania tego ośrodka zmierzają do wywołania w Polsce strajku powszechnego, stąd taktyka przedłużania rozmów z Komisjami Rządowymi poprzez stawianie m.in. tzw. warunków wstępnych.

Wszystkie te poczynania są kontynuacją podjętych przed kilku laty, wielokrotnie sygnalizowanych działań zorganizowanych grup antysocjalistycznych, powiązanych ściśle z ośrodkami zachodnimi.

W tej sytuacji Sztab MSW proponuje podjęcie następujących działań porządkowo-represyjnych:

1. uruchomienie portu północnego w Gdańsku i portu w Świnoujściu przez jednostki Marynarki Wojennej, co powinno dać efekt psychologiczny i ekonomiczny,
2. blokady stoczni w Gdańsku przez jednostki ZOMO z jednoczesnym ultimatywnym wezwaniem do ich opuszczenia przez znajdujące się tam resztki załóg.

Utworzony na podstawie zarządzenia ministra spraw wewnętrznych z 16 sierpnia 1980 roku „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”; po zakończeniu strajków sierpniowych odgrywał najważniejszą rolę w przygotowaniach resortu spraw wewnętrznych do wprowadzenia stanu wojennego

Według danych MSW z 26 sierpnia rano w województwie gdańskim strajkowało 150 tys. osób ze 160 zakładów, a w województwie szczecińskim 80 tys. osób w stu zakładach

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Stoczni Gdańskiej im. Lenina został utworzony w nocy z 16 na 17 sierpnia (pierwotnie pod nazwą Miejski Komitet Strajkowy); w jego skład weszło 28 zakładów pracy, w następnych dniach przystępowały do niego kolejne – 28 sierpnia było ich już ponad sześćset; MKS w Szczecinie został utworzony 19 sierpnia w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego przez przedstawicieli dwudziestu strajkujących zakładów; w kolejnych dniach przystępowały do niego następne, m.in. 20 sierpnia ze Świnoujścia

Zapewne w tym przypadku chodziło o skład gdańskiego MKS, w którym znaleźli się działacze opozycji przedsierpniowej, i stawiane przezeń postulaty, uznawane przez władze za polityczne

Tak w latach siedemdziesiątych władze PRL określały działaczy opozycji politycznej

Komisja Rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego od 21 sierpnia prowadziła negocjacje ze szczecińskim MKS; w Gdańsku Komisja Rządowa próbowała od 19 sierpnia prowadzić (bez większego powodzenia) rozmowy z przedstawicielami niektórych strajkujących zakładów spoza gdańskiego MKS; początkowo na jej czele stał wicepremier Tadeusz Pyka, a później zastąpił go wicepremier Mieczysław Jagielski, który z delegacją MKS spotkał się po raz pierwszy 22 sierpnia

23 sierpnia gdański MKS przedstawił Komisji Rządowej wstępne warunki podjęcia właściwych negocjacji – odblokowanie łączności telefonicznej i zaprzestanie represji wobec osób wspomagających strajk

Chodzi o organizacje opozycyjne tworzone od połowy lat siedemdziesiątych

Przywódcy PRL uważali, że rządy zachodnie stoją za działaniami polskiej opozycji – wspierają ją i wykorzystują do podsycania napięć wewnętrznych w PRL; za szczególnie wrogie ośrodki zachodnie uważano m.in. Rozgłoszenie Polską Radia Wolna Europa i paryską „Kulturę”

W sierpniu 1980 roku władze zdecydowały się przede wszystkim na prewencyjne zatrzymywanie działaczy opozycji na 48 godzin; po formalne aresztowania sięgnięto dopiero pod koniec miesiąca – tej formie represji poddano 25 osób, które zostały tymczasowo aresztowane na trzy miesiące pod zarzutem „przynależności do związku mającego na celu przestępstwo”

Blokadę łączności Wybrzeża z resztą Polski wprowadzono 15 sierpnia o 12.00, cofnięto ją (na żądanie strajkujących) w nocy z 25 na 26 sierpnia

ZALACZNIK nr 50 karta 2 344

- 2 -

3. uruchomić akcję informacyjno-propagandową wobec pozostających na terenie stoczni robotników i społeczeństwa Trójmiasta. Akcja ma wykazać dobrą wolę władz wobec postulatów załóg i wykazać, że zerwanie rozmów nastąpiło z inspiracji elementów antysocjalistycznych;
4. izolacja aktywów grup antysocjalistycznych na podstawie nakazów aresztowania wydanych przez właściwe prokuratury i doprowadzenie do wniesienia aktów oskarżenia;
5. przywrócić blokadę telefoniczną łączności automatycznej;
6. w miarę rozwoju wydarzeń przewidzieć stosowne do rozwoju sytuacji w kraju działania;
7. Sztab MSW podjął decyzję o postawieniu w pełnej gotowości wszystkich sił i środków resortu spraw wewnętrznych. Przewiduje się mobilizację rezerwistów resortu sw /około 3000/;
8. działania represyjne wymienione powyżej winny być poprzedzone a następnie wspierane szeroką akcją propagandową.

Opracowano w Sztabie MSW

Permanentna zdrada stanu

Zawsze sobie zdawałem sprawę z tego, że PRL była zależna od wschodniego sąsiada. Jednak podczas lektury akt dotyczących stanu wojennego uderzyło mnie to, jak dalece służalcze było zachowanie ludzi wówczas rządzących wobec mocodawców ze Związku Sowieckiego. Można powiedzieć, że dopuszczali się permanentnej zdrady stanu – mówi **Bogusław Czerwiński**, prokurator Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, w rozmowie z Karoliną Wichowską i Grzegorzem Wołkiem

Gratulujemy, jest Pan pierwszym prokuratorem, któremu w ciągu 26 lat wolnej Polski udało się doprowadzić do skazania jednego z autorów stanu wojennego – Czesława Kiszczaka, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych.

Dziękuję, ale to jest sukces całego Instytutu Pamięci Narodowej. Pion śledczy jest jego częścią. Sprawę przejąłem od Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, której prokuratorzy w 2007 roku skierowali akt oskarżenia i następnie oskarżali w pierwszej instancji. Im również zatem należą się gratulacje. Warto też pamiętać, że akt oskarżenia obejmował łącznie dziewięć osób. Wśród nich byli Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak i Stanisław Kania. Z różnych przyczyn, wynikających między innymi z wieku podsądnych, *summa summarum* w końcowej fazie, gdy postępowanie trafiło do Głównej Komisji, na ławie oskarżonych ostało się dwóch spośród nich: Stanisław Kania i Czesław Kiszczak. Przypomnę też, że w pierwszej instancji sąd skazał Czesława Kiszczaka, a uniewinnił Stanisława Kanię. Prokuratorzy z Oddziałowej Komisji w Katowicach złożyli apelację jedynie co do Kani, a ja ją poparłem przed sądem II instancji. Początkowo zatem – na etapie postępowania apelacyjnego – wątki Kani i Kiszczaka były rozpatrywane łącznie. W przypadku tego pierwszego Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał w mocy wyrok uniewinniający (zdaniem Głównej Komisji – niesłusznie, została złożona kasacja, ale Sąd Najwyższy niejednomyślnie, bo przy jednym zdaniu odrębnym – kasację oddalił). Natomiast w przypadku Kiszczaka wspomniany Sąd Apelacyjny w Warszawie wyłączył jego sprawę do odrębnego postępowania, a następnie postępowanie zawiesił z powodu rzekomo złego stanu zdrowia oskarżonego.



Fot. Tomasz Gzell/PAP

Bogusław Czerwiński (ur. 1969)

– prokurator, od 2006 roku pracuje w IPN, w latach 2007–2010 naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie, od 2010 roku pracuje w Głównej KŚZpNP; prowadząc śledztwo ws. zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, postawił zarzuty trzem funkcjonariuszom; nadzorował śledztwa ws. Zbrodni Katyńskiej i ws. nadużyć peerelowskich organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości w aferze mięsnej

Zatrzymajmy się na moment przy wątku Stanisława Kani. Powszechnie się uważa, że był jedyną osobą w kierownictwie PZPR, która się sprzeciwiła stanowi wojennemu.

To jest jeden z mitów na temat stanu wojennego. Kania nie był przeciwny jego wprowadzeniu. Był po prostu mniej operatywny i postrzegany przez mocodawców z Moskwy jako ktoś, kto nie daje gwarancji sprawnego spacyfikowania rewolty w Polsce polskimi rękami. Ale o jego sprawstwie świadczy to, że podstawowe dokumenty, przygotowujące oraz faktycznie kreujące późniejsze wprowadzenie stanu wojennego, były przez niego podpisane i w pełni akceptowane. A po jego odejściu ze stanowiska I sekretarza KC PZPR nie stworzono żadnych innych materiałów w tym zakresie. Można powiedzieć, że jedynie w walkach frakcyjnych wśród ówczesnej ekipy rządzącej Kania poniósł porażkę i z tej przyczyny – oraz przede wszystkim na skutek utraty zaufania rządu w Moskwie – został odsunięty na boczny tor. Ale w żadnym razie nie był przeciwnikiem stanu wojennego w bezprawnym kształcie, w którym następnie został on wprowadzony w Polsce. Materiał zgromadzony w śledztwie dowodzi, że Kania był aktywnym uczestnikiem całej fazy jego

opracowania, nie wspominając już o tym, żeby w jakikolwiek sposób miał wówczas wyrażać swe protesty co do meritum sprawy. Nie uczynił też tego, gdy następnie podejmowano formalną decyzję o wprowadzeniu w życie stanu wojennego. Gdyby tak było, najprawdopodobniej podzieliłby los Ryszarda Reiffa, przypomnijmy – jedyne go członka Rady Państwa, który miał odwagę głosować przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Jak wiemy, po tym akcie nieposłuszeństwa jego kariera się załamała. Kania tymczasem w latach osiemdziesiątych był posłem. Został też członkiem Rady Państwa, czyli tzw. kolegialnej głowy państwa. Natomiast kiedy zaczęła przeważać opinia, że stan wojenny to było złe rozwiązanie, jak również prawdopodobnie czując niechęć do Jaruzelskiego, który wraz z towarzyszami z Moskwy doprowadził do jego dymisji, Kania zaczął tworzyć legendę, według której to on był przeciwny zamachowi stanu dokonanemu przez Jaruzelskiego.

Są jednak dowody świadczące na korzyść Kani. Najmocniej broni go protokół z posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR 15 września 1981 roku, z którego wynika, że Kania uciekał przed rozwiązaniem siłowym.

Według mojej oceny, ten dokument dowodzi jedynie, że dylematem Kani nie było to, czy wprowadzić stan wojenny, lecz kiedy to zrobić. Miał swoje pomysły na eliminację ruchu wolnościowego, jakim była Solidarność, a one i tak były bezprawne nawet w rozumieniu prawa komunistycznego. Bo w tych właśnie kategoriach należy postrzeżać zamiar wpływania na zaostrzenie linii orzeczniczej sądów wobec aktywistów Solidarności czy też uzbrajanie członków PZPR. Zauważmy, że w ogóle nie dostrzega on całego bezprawia stanu wojennego. Spodziewając się oporu ze strony Polaków, bał się jedynie o utratę swej władzy, pamiętając prawdopodobnie, że wyprowadzenie wojska i strzelanie do ludzi w PRL z reguły kończyło się odsunięciem od rządu – tak jak w przypadku dojścia do władzy, a następnie jej utraty przez Gomułkę. Ponadto w razie wprowadzenia stanu wojennego pozycja Jaruzelskiego jako ministra obrony narodowej w aparacie władzy na pewno by wzrosła, a temu Kania chciał zapobiec, bo władzę nie zamierzał się dzielić. Nie wiemy też, w jakim stopniu zaprotokołowana dyskusja z posiedzenia była wynikiem wspomnianych gier i wzajemnych prowokacji wśród różnych frakcji w PZPR. Pamiętajmy jednak o faktach i dowodach procesowych – to Kania brał bezpośredni udział w opracowywaniu planów wprowadzenia stanu wojennego w Polsce i był gotowy je zrealizować, co wynika nawet z przywoływanego protokołu. W każdym razie, w ten lub inny sposób, będąc namiestnikiem obcego mocarstwa, i tak zamierzał unicestwić niepodległościowe dążenia Polaków.

Wracając do wątku Kiszczaka – warto zauważyć, że jeszcze wtedy, kiedy obie sprawy były rozpoznawane łącznie, jego obrońca złożył wniosek o zawieszenie postępowania. Sąd Apelacyjny w Warszawie przychylił się do niego, posługując się przy wydaniu swej decyzji kserokopiami opinii biegłych lekarzy, wydanymi do sprawy dotyczącej masakry w kopalni „Wujek”. W tym przypadku postępowanie to zostało zawieszono na etapie postępowania pierwszoinstancyjnego, które – jeżeli chodzi o aktywność fizyczno-intelektualną – stawia oskarżonemu zupełnie inne wymogi niż postępowanie drugoinstancyjne. To ostatnie ogranicza się zazwyczaj do jednego posiedzenia, rzadko też przesłuchuje się wtedy świadków. Więcej: oskarżony wcale nie musi przyjść na rozprawę. Jednak sąd z niezrozumiałych dla mnie powodów wydał postanowienie o zawieszeniu postępowania właśnie na etapie II instancji. Złożyłem wówczas zażalenie na taką decyzję, ale ono nie zostało uwzględnione. Wszystko wskazywało na to, że sprawa utkwie w przepastnych szafach Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Tak by pewnie było, gdyby nie aktywność samego oskarżonego – i mediów, które tę aktywność odnotowały. Wskazywała ona na to, że oskarżony Kiszczak jest w nie najgorszym stanie fizycznym i psychicznym: udziela w mediach całkiem zbornych wypowiedzi, ma dość siły, żeby pojechać spory kawałek do swojego domku letniskowego, gdzie cieszy się siłą i zdrowiem, bawiąc się z psem, wreszcie – uczestniczy w pogrzebie swojego kolegi, Wojciecha Jaruzelskiego. W związku z tym złożyłem do sądu wniosek o ponowne przebadanie Kiszczaka i podjęcie zawieszono postępowania, przedstawiając ogólnodostępne materiały medialne. Chciałbym podkreślić, że sąd nie zadziałał z urzędu, choć mógł tak postąpić, mając taki sam dostęp do tożsamyh materiałów, co prokuratura IPN. Batalia trwała dość długo, ponie- ➤

➤ Czesław Kiszczak z rzecznikiem rządu PRL, Jerzym Urbanem, podczas obrad Okrągłego Stołu; Warszawa, 1989 rok



waż wnioskowałem o to, żeby Czesława Kiszczaka przebadali inni lekarze niż ci z Warszawy, którzy dotychczas wypowiadali się na temat jego stanu zdrowia. Dlatego nie widziałem sensu w powoływaniu ich po raz kolejny, bo zdania z pewnością by nie zmienili. Pozytywnie reagując na mój wniosek, sąd wyznaczył biegłych lekarzy z Gdańska. Jednakże Kiszczak odmówił stawienia się na badania, wobec czego złożyłem kolejny wniosek – o jego zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie do biegłych. Jest taka możliwość prawna wobec każdego oskarżonego, więc nie widziałem powodu, dla którego miałby istnieć wyjątek dla sprawcy oskarżonego o zbrodnie komunistyczne. Sąd na szczęście podzielił tenże wniosek i ostatecznie Czesław Kiszczak został przetransportowany na badania do Gdańska, a biegli wydali opinię pozwalającą uznać, że jednak może brać udział w postępowaniu przed sądem II instancji. Następnie sąd podjął zawieszono postępowanie i przeszedł do merytorycznego rozpoznania apelacji obrońcy oskarżonego. Ku mojemu zadowoleniu sąd podzielił moje argumenty, utrzymując w mocy wyrok skazujący sądu I instancji.

Dlaczego wydany wyrok jest tak ważny?

Zasadniczym zarzutem stawianym Kiszczakowi był udział w związku przestępczym o charakterze zbrojnym, który bezprawnie dokonał przewrotu wojskowego w Polsce. Wydając wyrok, sąd podzielił tok rozumowania aktu oskarżenia oraz wystąpienia w toku rozprawy apelacyjnej i obalił mit, jakoby stan wojenny został wprowadzony w interesie Polski i Polaków. Był to – nazywając rzecz wprost – zamach stanu. System komunistyczny został Polsce narzucony siłą, a na początku lat osiemdziesiątych Polacy, tworząc Solidarność, dążyli do uwolnienia się od niego. Komuniści robili zaś wszystko, żeby utrzymać się przy władzy, zainstalowanej tu przez sowieckie czołgi. Posunęli się nawet do złamania wówczas obowiązujące-

go prawa, które sami ustanowili. Pamiętajmy też, że Kiszczak i Jaruzelski zasłaniaли się zawsze tym, jakoby działali w stanie wyższej konieczności. To również, uwzględniając nasze dowody i opinie – sąd podważył i podkreślił – że nie było wtedy żadnej, ale to żadnej realnej groźby interwencji ze strony Związku Sowieckiego. Przeciwnie – Sowietci naciskali na to, żeby polscy komuniści sami – przy pomocy własnej armii i milicji – stłumili rewoltę w Polsce. Sowietci wcale nie mieli zamiaru ani wystarczających sił, aby zlikwidować Solidarność, choćby z powodu zaangażowania w wojnę w Afganistanie, czy z obawy o międzynarodowe sankcje w reakcji na tego typu działania. Oprócz tego wydany wyrok Sądu Apelacyjnego w jakiś sposób uzupełnia wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2011 roku, który stwierdził, że dekret o stanie wojennym był nielegalny z punktu widzenia konstytucyjnego oraz prawa międzynarodowego, ratyfikowanego przez komunistyczne władze PRL. Z oczywistych przyczyn nie wskazał przy tym winnego, bo też nie taka jest jego rola. Uczyniono to dopiero w wyroku dotyczącym Kiszczaka. Warto jeszcze w tym momencie zwrócić uwagę na to, że właściwie taki sam zarzut, jak Czesław Kiszczak, miał Wojciech Jaruzelski. Czyli można wnioskować, że gdyby jego proces został zakończony, wyrok byłby taki sam.

W przypadku Jaruzelskiego nie zaszkodziła mu jego aktywność, np. huczne świętowanie 90. urodzin.

W pracy prokuratora zawsze się liczy zaangażowanie w sprawę i nieustępliwość. Rzeczywiście wiele wskazuje na to, że Jaruzelski, i Kiszczak, będąc osobami w podeszłym wieku, obrali określoną linię obrony: uciekanie w chorobę. W tak zaawansowanym wieku człowiek na ogół ma problemy zdrowotne, to zrozumiałe. Ale notoryczne zasłanianie się zwolnieniami lekarskimi – bardzo łatwe w tej sytuacji – wskazuje na to, że nie są to żadni ludzie honoru, tylko osoby, które za wszelką cenę chciały uniknąć odpowiedzialności karnej. Ludzie honoru nie zasłaniają się stanem zdrowia, tylko stają przed sądem. A z takimi unikami ewidentnie mieliśmy do czynienia w przypadku Kiszczaka i Jaruzelskiego. Z tego, co mi wiadomo, prokurator z Katowic składał wniosek podobny do mojego także odnośnie do Jaruzelskiego. Niestety nie zakończył się on powodzeniem.

Najpierw ucieczka w chorobę, a potem dowodzenie, że działano w stanie wyższej konieczności. Jakich jeszcze argumentów używała obrona Kiszczaka?

Przekonywano, że wprowadzenie stanu wojennego było zgodne z ówczesnym porządkiem prawnym. To oczywiście nieprawda, bo Rada Państwa nie mogła wydać dekretu w czasie trwania sesji sejmu – a tak właśnie postąpiono. Chodziło o to, żeby wywołać efekt zaskoczenia. A komuniści nie spodziewali się wtedy, że kiedykolwiek zostaną za to pociągnięci do odpowiedzialności karnej. Sądzieli, że ustrój sankcjonujący zniewolenie Polski, a tym samym ich bezkarność, będzie trwał wiecznie.

Dochodzimy do ciekawego paradoksu: dzisiejsze orzeczenia odwołują się do prawa, które uchwalono... bezprawnie. Tak było chociażby z konstytucją z 1952 roku. To ułatwia czy utrudnia pracę prokuratorowi? Ostatecznie – jeśli spojrzymy na samą literę prawa – przepisy peerelowskie przewidywały bardzo duży zakres praw człowieka.

Żeby czyn został uznany za zbrodnię komunistyczną, musi być sprzeczny z obowiązującym wówczas prawem. Taką przyjęto koncepcję, tworząc w ustawie o IPN definicję zbrodni komunistycznej. Czy ona ułatwia pracę? Cóż, każdy kij ma dwa końce. Nie ułatwia o tyle, że musimy się odnosić do przepisów wówczas obowiązujących, które należy dogłębnie przestudiować. Istotnie, ciekawostką jest to, że komuniści szafowali hasłami wolności i obrony praw człowieka, a praktyka nie miała z tymi wartościami nic wspólnego. Jako przykład niech posłuży chociażby ratyfikowany przez PRL Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, który *de facto* został pogwałcony na skutek wprowadzenia stanu wojennego, gdyż dekret o stanie wojennym, łamiąc fundamentalne zasady cywilizowanego prawa, pozwalał na skazywanie za czyny, które nie stanowiły przestępstwa w chwili ich popełnienia. Z drugiej strony taka koncepcja zbrodni komunistycznej otwiera nam pole do działania. Przykładem tego może być właśnie sprawa nielegalnego

wprowadzenia stanu wojennego czy wiele śledztw dotyczących bezprawnych pozbawień wolności na skutek stosowania tymczasowego aresztowania, w których komunistyczni prawnicy dość swobodnie podchodzili do formalno-prawnych warunków jego stosowania czy terminowego przedłużania okresu jego trwania. W ogóle problem legalności PRL, który państwo poruszyli, jest bardzo ciekawy. Trudno jest mi zrozumieć dlaczego po zmianach ustrojowych w 1990 roku nie odcięto się od całego prawodawstwa komunistycznego, chociażby w dziedzinie prawa karnego. Jeżeli brakowało czasu na uchwalenie nowego kodeksu karnego, to po dokonaniu koniecznych nowelizacji, trzeba było powrócić do wybitnego aktu prawnego z okresu II RP, czyli do kodeksu karnego z 1932 roku, zwanego w doktrynie kodeksem Makarewicza, który został opracowany przez wybitnych przedwojennych prawników: Juliusza Makarewicza, Wacława Makowskiego i Emila Rappaporta. Warto wiedzieć, że do tej pory w polskim prawodawstwie obowiązują dość kuriozalne akty prawne, takie jak chociażby art. 1 ust. 1 dekretu z 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego, wydany przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który był marionetkowym *quasi*-rządem komunistycznym, narzuconym nam przez Sowiec. Zawiera on jedną z podstaw prawnych, przewidujących odpowiedzialność karną dla osób popełniających zbrodnie wojenne w okresie okupacji niemieckiej. Na podstawie tego dekretu komunistyczni sędziowie skazywali także – o ironio! – niektórych żołnierzy podziemia niepodległościowego. A przecież sam PKWN, wydający ów dekret, był organem nielegalnym, bo w tym czasie funkcjonował rząd RP na uchodźstwie, który poza ZSRR, aż do 5 lipca 1945 roku, wciąż był uznawany na arenie międzynarodowej. Takie paradoksy wynikają stąd, że w dziedzinie prawa wciąż jeszcze nie odcięliśmy się zupełnie od systemu peerelowskiego, niestety także w sensie mentalnym i personalnym. To oczywiście nie ułatwia pracy pionowi śledczego IPN. Ale w tych warunkach wyrok skazujący tak ważną postać w systemie zniewolenia Polski i Polaków, jaką był Kiszczak, tym bardziej uważam za sukces.

To sukces, ale jednak późno. Dlaczego wcześniej tyle prób speliło na niczym?

To jest niestety, jak miemam, wynik pewnych uwarunkowań politycznych, realiów pookragłostołowych. Najważniejszą przyczyną jest to, że pion śledczy IPN powstał bardzo późno, ponieważ faktycznie pierwsi prokuratorzy zostali powołani mniej więcej w połowie 2000 roku. Jak dowodzą statystyki, którymi dysponuje Główna Komisja, ten wyspecjalizowany pion prokuratury jest o wiele skuteczniejszy w ściganiu zbrodni komunistycznych niż prokuratura powszechna w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to ściganie było o wiele łatwiejsze chociażby z uwagi na liczbę żyjących świadków oraz sprawców, a także ich wagi i stan zdrowia. Późno też w polskim systemie prawnym pojawiło się pojęcie zbrodni komunistycznej. ▶



Fot. Leszek Wdowiński/PAP

► Człowiek honoru? Minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak z działaczem opozycji Adamem Michnikiem podczas obrad Okrągłego Stołu, 1989 rok

Przedtem funkcjonowało pojęcie zbrodni stalinowskiej, które ograniczało ściganie zbrodni popełnionych przez komunistów jedynie do przestępstw zaistniałych do 1956 roku.

Zaskakuje też tak niski wyrok za zbrodnię komunistyczną: zaledwie dwa lata więzienia, w dodatku w zawieszeniu.

Cóż, zgadzam się z tą opinią. Przypominam, że przystąpiłem do sprawy dopiero na etapie postępowania w II instancji. Nie miałem możliwości wnioskować o karę wyższą niż ta postulowana przez prokuratora z Katowic, ponieważ ten nie składał apelacji w części odnoszącej się do Kiszczaka. Gdyby to ode mnie zależało, składałbym wniosek o karę pozbawienia wolności bez jej warunkowego zawieszenia. W tym miejscu od razu odpieram zarzuty, że koniecznie chciałem widzieć „schorowanego” dziewięćdziesięciolatka za kratami w zawiłogocnej celi: otóż kara jest wymierzana na podstawie kodeksu karnego, odbywanie jej zaś następuje na zasadach określonych w kodeksie karnym wykonawczym. Zatem należy odróżnić samo skazanie na taką karę od możliwości i warunków jej odbycia. To są dwa zupełnie różne tryby postępowania i orzekania przez sąd. Innymi słowy, czym innym jest skazanie kogoś na bezwzględną karę pozbawienia wolności, w tym przypadku za zamach stanu, a czym innym jest możliwość wykonania tej kary. W tym drugim przypadku, jeżeli jest taka potrzeba, biegli lekarze badają, czy skazany może odbyć karę, a jeśli tak – to w jakich warunkach. Mogą to być np. warunki szpitalne. Ale o tym decyduje sąd przy udziale prokuratora, skazanego i jego obrońcy w osobnym postępowaniu zwanym postępowaniem wykonawczym. Prokurator nie jest lekarzem i nie ma powodu,

żeby to on z góry zakładał, że dany oskarżony z uwagi na wiek i stan zdrowia i tak nie odbędzie kary pozbawienia wolności w razie jej wymierzenia. Natomiast powinno się wnioskować o karę adekwatną do stopnia winy oskarżonego oraz okoliczności i wagi samego przestępstwa. Żałuję też, że nie zakwalifikowano przestępstw popełnionych przez Kiszczaka jako zbrodni przeciwko ludzkości. Według mojej oceny, przestępstwa te wyczerpywały jej znamiona, bo polegały między innymi na prześladowaniu wielu osób z opozycji demokratycznej właśnie z przyczyn politycznych, naruszały też ich podstawowe prawa i wolności obywatelskie, co zresztą zostało wskazane w zarzutach zawartych w akcie oskarżenia. Kierując się takim przekonaniem, złożyłem przed Sądem Apelacyjnym wniosek o stosowne poprawienie kwalifikacji prawnej. Nie wchodząc w tym miejscu zbyt w szczegóły proceduralne, które mogą być dla wielu czytelników nieciekawe, powiem tylko, że z przyczyn formalnych sąd nie przychylił się do mojego wniosku.

I mamy kolejny paradoks: Kiszczak nie został skazany za zbrodnię przeciwko ludzkości, podczas gdy taką kwalifikację prawną mają decyzje komendantów wojewódzkich milicji o internowaniu, działających na rozkaz Kiszczaka.

To prawda, jest dysonans między wyrokiem wobec mocodawcy i jego podwładnych. Niestety ze wspomnianych powyżej przyczyn formalnych takiej rozbieżności nie udało się uniknąć.

Co Pana najbardziej zaskoczyło podczas lektury akt?

Zawsze sobie zdawałem sprawę z tego, że PRL była zależna od wschodniego sąsiada. Jednak podczas lektury akt uderzyło



Fot. Damaży Kwiatkowski/PAP

► Zakończenie obrad Okrągłego Stołu; na zdjęciu: Czesław Kiszczak i Lech Wałęsa, w tle (od lewej): dziennikarz Jacek Moskwa, Ryszard Reiff, ks. Alojzy Orszulik, Mieczysław Gil; Warszawa, 5 kwietnia 1989 roku

mnie to, jak dalece słuźalczę było zachowanie ludzi wówczas rządzących wobec swoich mocodawców ze Związku Sowieckiego. Oni się do nich przymilali, starali się chwycić w lot ich myśli. Wiedzieli, że to od woli władców Kremla zależało ich być albo nie być w Polsce. Można powiedzieć, że się dopuszczali permanentnej zdrady stanu, że ta zdrada stanu była normą, a oni tego nie postrzegali jako czegoś niewłaściwego. Z dzisiejszej perspektywy widać, że to była absolutna kolaboracja, a nawet symbioza z władzami obcego mocarstwa, niemająca nic wspólnego z interesem Polaków. Jest to dla mnie kolejny dowód na to, że PRL była jedynie protezą państwa, a faktycznie żyliśmy pod zaborem sowieckim.

Jest jeszcze jeden ciekawy aspekt przebiegu procesu: wnioskował Pan o wyłączenie ze sprawy przewodniczącego składu orzekającego, sędziego Jerzego Ledera.

Tak, bo pan sędzia w latach osiemdziesiątych był członkiem PZPR, czyli partii komunistycznej. Mało tego, należał nie tylko do jej szeregowych członków, lecz pełnił też funkcję w jej organach: był członkiem plenum komitetu miejskiego i gminnego PZPR, a więc w lokalnych strukturach zajmował dosyć eksponowane stanowisko. Należy z tego wnioskować, że swego czasu mógł wyznawać tę samą ideologię komunistyczną, co oskarżony, który wówczas zajmował nie tylko stanowiska rządowe, lecz także był członkiem organu stojącego wyżej w hierarchii partyjnej, czyli plenum KC PZPR. Jak wiemy, w PZPR obowiązywała zasada centralizmu demokratycznego, która w rzeczywistości oznaczała zasadę hierarchicznego podporządkowania. Dla oceny całej sprawy istotne jest też to,

Fot. Tomasz Gzell/PAP



► Architekci stanu wojennego: Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak; na zdjęciu: sala Sądu Okręgowego w Warszawie w dniu kolejnej rozprawy w sprawie pacyfikacji kopalni „Wujek”; 10 stycznia 2007 roku

że trzeba odróżnić działalność w PZPR niemalże do samego końca istnienia tej partii, od epizodycznego członkostwa, z którego następnie rezygnowano, na skutek chociażby takich posunięć komunistów jak masakra robotników na wybrzeżu w 1970 roku, wystąpień antysemitycznych w 1968 roku czy bezprawia zaistniałego po wprowadzeniu stanu wojennego. W przypadku tego procesu było to o tyle istotne, że zarzut dotyczył zamachu stanu, czyli siłowego utrzymania PZPR przy władzy. Sąd – w innym składzie niż ten orzekający w sprawie apelacji – oddalił ten wniosek, o czym zdecydował w czasie posiedzenia niejawnego. Odczytane publicznie uzasadnienie było właściwie jednozdaniowe: że prokurator nie uprawdopodobnił wątpliwości co do bezstronności sędziego. W dalszym ciągu stoję na stanowisku, że mój wniosek miał zarówno podstawę formalną, wynikającą z art. 41 par. 1 i 2 kodeksu postępowania karnego, jak i materialną, opartą na dokumentacji znajdującej się w archiwum IPN. Proces sądowy, z którym mieliśmy do czynienia, był jednym z istotniejszych w historii wymiaru sprawiedliwości po roku 1990. Dlatego też, kierując się zasadą ostrożności procesowej, dążyłem do tego, aby wydany wyrok z żadnych przyczyn nie mógł być przez nikogo kwestionowany. Działania te uznałem za ważne, ponieważ skazanie za zbrodnię komunistyczną osoby tak wysoko postawionej w strukturach władzy nie miało do tej pory miejsca zarówno w Polsce, jak i właściwie w żadnym z państw Europy zniewolonych przez Sowieców po II wojnie światowej. ■



Historie budzące grozę

Moi rozmówcy są głosem bohatera zbiorowego. Przez pryzmat jednostki trzeba tu szukać dramatu ogromnej grupy ludzi – mówi **Beata Hyży-Czołpińska**, reżyserka filmu dokumentalnego *Oblawa*, w rozmowie z Emilią Świętochowską

Film *Oblawa* to kolejny z kilkadziesiątu dokumentów, które zrealizowała Pani do tej pory. W jaki sposób poszukuje Pani tematów do swoich filmów?

Bardzo różnie. Wbrew pozorom, żeby zrobić ciekawy dokument, nie trzeba czekać na jakieś wyjątkowe wydarzenie. Ja bardzo uważnie obserwuję świat, interesują mnie ludzie. Wokół nas jest wielu, którzy pięknie żyją, których życie jest tak intrygujące, że po prostu trzeba się nad nim pochylić. Zdarza mi się też trafić na coś ciekawego w prasie, książce, audycji radiowej. No i są koledzy – dziennikarze, choć nie tylko – którym nierzadko zdarza się dzwonić z informacją: „Beata, jest taka historia, niesamowita, zrób to”. A ja po prostu to robię.

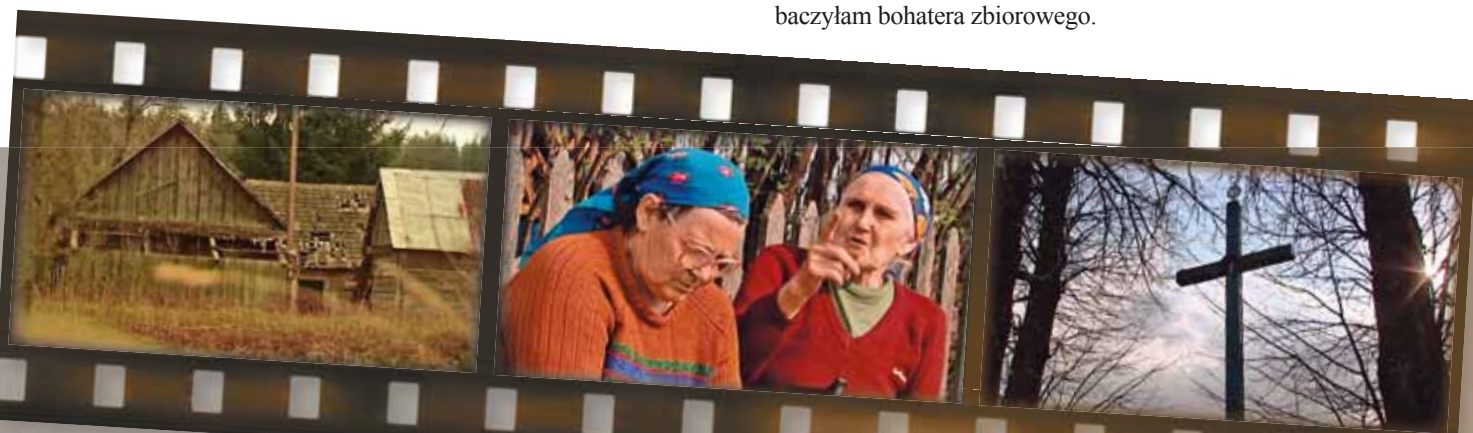
A jak było w przypadku *Oblawy Augustowskiej*?

Tym razem to temat znalazł mnie. Kiedy otrzymałam propozycję zrealizowania dokumentu na temat *Oblawy Augustowskiej*, początkowo się wahałam. To temat trudny, jeden z moich znajomych nawet powiedział: „Robisz coś z niczego, masz tylko dwa szyfrogramy”. Ale ponieważ historia jest mi bliska, realizowałam już wcześniej dokumenty o tematyce historycznej, podjęłam to wyzwanie.

Pani wcześniejsze filmy dotyczące trudnej historii XX wieku koncentrują się raczej na losach konkretnych jednostek: m.in. *Sprawiedliwi wśród...* (2000), *Ja, bezimienny...* (2008). W przypadku *Oblawy* jest trochę inaczej.

Beata Hyży-Czołpińska – reżyserka filmów dokumentalnych. Nagrodzona na wielu polskich i międzynarodowych festiwalach filmowych, m.in. Circom Regional (Dania 2006), Brazil's 3rd International Disability Film Festival (2007), International Film, TV & Radio Festival Tabor (2009), X Atlant International Sportsfilm Festival (Moskwa 2013) i XVI Międzynarodowym Festiwalu Filmów Przyrodniczych im. W. Puchalskiego (Łódź 2015). Jest również laureatką nagród Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za rok 2008 i 2009, nagrody głównej w konkursie dziennikarskim „Oczy otwarte” (2002 i 2007), nagród Przeglądu i Konkursu Dziennikarskiego Oddziałów Terenowych TVP S.A. (2000, 2004, 2007, 2008, 2010, 2011, 2012). Jej filmy o tematyce żydowskiej można oglądać w Instytucie Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie. W 2014 roku otrzymała Nagrodę Marszałka Województwa Podlaskiego w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury.

Tylko pozornie. Istotnie, w tej opowieści mamy kilkuset bohaterów – ofiary i ich rodziny. Potraktowałam ich jednak jak bohatera zbiorowego. Nie zapominając o tym, że mam do czynienia z tragedią poszczególnych ludzi – ten dramat dotknął każdego indywidualnie. Jednak w czasie rozmów z bohaterami mojego filmu zauważyłam, że oni wszyscy zgodnie przedstawiają scenariusz tej zbrodni: przyszli nad ranem, zabrali nie wiadomo dokąd, torturowali. To spowodowało, że w tych ludziach zobaczyłam bohatera zbiorowego.





Lat dwadzieścia miała i przed sobą życie,
Które przerwał pewnie jeden strzał nad rowem.
Chciałbym świeczkę móc zapalić jeszcze Zycie,
Chciałbym stanąć jeszcze kiedyś nad jej grobem.

To był lipiec, słowa i muzyka: Grzegorz Kucharzewski

Jak długo pracowała Pani nad tym filmem?

Od września 2014 roku. Wtedy zaczęłam ten temat niejako oswajać. Rozmawiałam z historykami i prokuratorami prowadzącymi śledztwo w sprawie Obławy Augustowskiej, zdobywałam kontakty do krewnych ofiar. I muszę przyznać, że od początku byłam przerażona. Sprawa obławy jest trudna, wielowarstwowa. Ale najbardziej przerażała mnie tragedia, która dotknęła tych ludzi. Z rozmów z nimi, z publikacji i dokumentów, które czytałam, przebijała groza. Bardzo chciałam, żeby również widzowie to poczuli.

Zdjęcia w filmie oddają ten nastrój. Słoneczny dzień, a niebo nagle zasnuwają ciemne chmury. Podobny dreszcz wywołuje pokazana przez Panią spokojna, ciemna, niemal czarna tafla jeziora. Takie obrazy, przeplatane opowieściami krewnych ofiar, rzeczywiście oddają dramat „małego Katynia”. W jaki sposób dobrała Pani rozmówców?

Rozmawiałam z wieloma osobami, ale oczywiście nie wszyscy mogli zostać pokazani w filmie. To się działo jakoś intuicyjnie, podczas rozmów po prostu czułam, że tę konkretną osobę chciałabym w filmie pokazać. To taki przywilej reżysera. Ale tak, jak mówię – ci, którzy opowiadają w filmie swoją historię, są głosem mojego bohatera zbiorowego. Przez pryzmat jednostki trzeba tu szukać dramatu ogromnej grupy ludzi.

Jakie emocje towarzyszyły Pani podczas spotkań z krewnymi ofiar obławy?

Oczywiście wzruszenie, kiedy wspominali swoich najbliższych, tęsknota, żal, że ktoś nie zdążył poznać swojego ojca czy brata. Moją uwagę zwróciło to, że żadna z osób, które prosiłam o rozmowę, mi nie odmówiła. Tak jakby ci ludzie czuli, że muszą dawać świadectwo, że jeśli nie opowiedzą tej historii, to będzie

ona w jakiś sposób niedopełniona. Wydaje mi się, że cieszyli się z tego, że mają ku temu okazję.

Jaki cel sobie Pani postawiła, kiedy zaczynała realizować *Obławę*: chciała Pani pokazać historię tej zbrodni, ludzi czy np. pytania, na które wciąż nie znamy odpowiedzi?

Przede wszystkim chciałam zrobić dobry film. Być wobec tej tragedii uczciwa. Stąd tak różne wątki, które są w nim pokazane. Poruszające są niewątpliwie świadectwa krewnych ofiar obławy, ale również śledztwo prowadzone przez IPN ma tu ogromne znaczenie. Historycy, których wypowiedzi zamieściłam w filmie, przedstawili najnowsze ustalenia dotyczące okoliczności obławy. Pytania, o których pani mówi, również w filmie padają – i rzeczywiście, część z nich pozostaje wciąż bez odpowiedzi. Ale chyba najbardziej zależało mi na tym, żeby poruszyć widza, żeby po obejrzeniu tego dokumentu została w nim świadomość tego przejmującego, ludzkiego wymiaru dramatu obławy.

Naturalnym dopełnieniem Pani filmu byłaby scena, w której rodziny ofiar zapalają świeczkę na grobach swoich bliskich. Czy chciałaby Pani sfilmować kiedyś taką puentę?

Bardzo. Taka myśl często pojawiała się w mojej głowie w czasie pracy nad *Obławą*. I mam nadzieję, że kiedyś uda się ten plan zrealizować. 🍷

Kadry z filmu *Obława*, reż. Beata Hyży-Czolpińska



Kiedyś rozwikłamy zagadkę obławy

Część rosyjskich historyków neguje Obławę Augustowską i nie chce jej ujawniać, inni chcieliby dotrzeć do prawdy. Myślę, że ta druga grupa jest mimo wszystko większa, choć niekoniecznie silniejsza. Obecna polityka Kremla zakłada, że historia ma kształtować patriotyzm. I dlatego wszelkie ustalenia historyków, które podważają autorytet państwa, są niepożądane – mówi **Nikita Pietrow, historyk ze Stwarzyszenia „Memorial”, w rozmowie z Emilią Świątchochowską**

Czy Obława Augustowska jest w jakiś sposób obecna w dyskusji publicznej w Rosji?

Nie można mówić o jakiejś poważnej debacie na ten temat. Natomiast w pewnym – niestety dość nielicznym – kręgu osób Obława Augustowska jest przedmiotem dyskusji czy rozważań.

Kto tworzy tę niewielką grupę?

Generalnie dyskusja czy nawet publicystyka związana z Obławą Augustowską na dobre zagościła w dyskursie publicznym w tym roku. Podtrzymują ją dziennikarze, ale również politycy. Duży wpływ na to miało przyjęcie przez polski sejm uchwały w sprawie uczczenia pamięci ofiar Obławy Augustowskiej [uchwała, której inicjatorem był poseł Jarosław Zieliński, została przyjęta 25 lipca 2014 roku – E.Ś]. Wydawać by się mogło, że to trochę dziwne, że Moskwa w ogóle reaguje na tego typu inicjatywy podejmowane przez inne państwo. Władze rosyjskie są jednak dość wyczulone na punkcie poruszania kwestii angażujących Rosję – również jeśli chodzi o historię, w tym szczególnie o zbrodnie stalinowskie. I stąd być może taki rezonans.

Władze rosyjskie nie zgodziły się dotąd na otwarcie archiwów i udostępnienie ich polskim historykom. Czy to się jakoś wpisuje w ten dyskurs?

Rzeczywiście, w Moskwie trwa dyskusja na temat otwarcia archiwów. Biorą w niej udział dwie strony: zwolennicy swobodnego dostępu do zachowanych dokumentów, materiałów źródłowych i przeciwnicy takiego otwarcia. Mamy tu do czynienia z pewnym dysonansem, bo dzisiaj w większości państw byłego bloku wschodniego archiwa są dostępne dla badaczy. W Rosji natomiast jest inaczej, możliwość korzystania z dokumentów archiwalnych – mówimy o historii najnowszej – jest mocno ograniczona. Wynika to

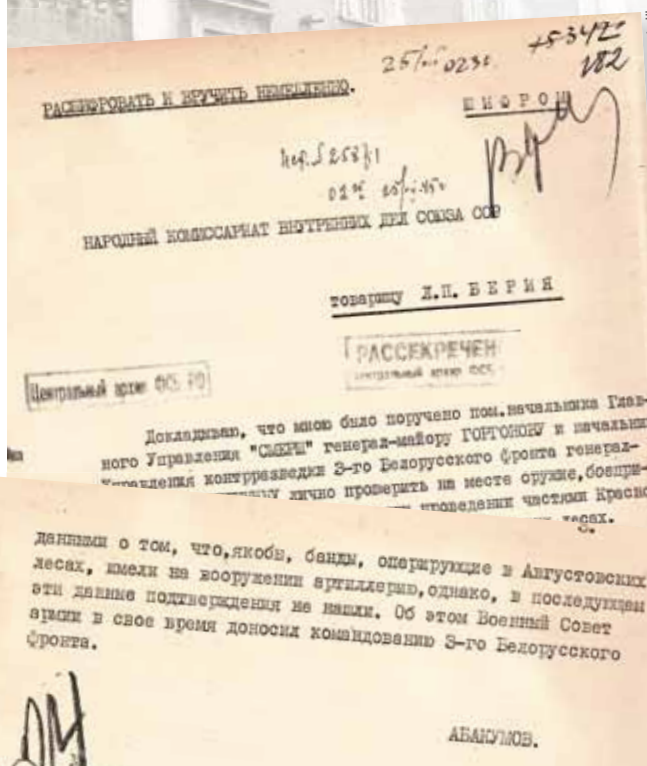
dr Nikita Pietrow (ur. 1957)

– rosyjski historyk i działacz na rzecz praw człowieka, filozof, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia „Memorial”. Był ekspertem Sądu Konstytucyjnego oraz Komisji Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej ds. przejęcia archiwów KPZR i KGB przez archiwa państwowe; autor publikacji naukowych na temat aparatu bezpieczeństwa ZSRR. Pisał m.in. o tzw. operacji polskiej NKWD, fałszowaniu referendum i wyborów w Polsce w latach 1946–1947 oraz o wykonawcach Zbrodni Katyńskiej. W 2011 roku opublikował nieznane wcześniej rosyjskie dokumenty dotyczące Obławy Augustowskiej, co ułatwiło śledztwo prowadzone w tej sprawie przez IPN.



Fot. Tomasz Danielecki

m.in. z punktu widzenia władz na Kremlu – dla nich otwarcie archiwów rosyjskich jest równoznaczne ze zrobieniem czegoś przeciwko własnemu krajowi. Wynika to pewnie z tego, że – o czym historycy przecież wiedzą – kraje byłego bloku wschodniego były w mniejszym lub większym stopniu podporządkowane Moskwie. Moskwa miała wpływ na politykę Polski, Bułgarii i wszystkich państw leżących w tej części Europy. Gierek, Jaruzelski, Żiwkow i inni byli w pewnym sensie ludźmi Kremla, a zatem odpowiedzialność za to, co działo się w ich krajach, spada również na Moskwę. A tu nie ma chęci, żeby to uzewnętrzniać przez otwarcie archiwów.



Fot. Stwarzyszenie „Memorial”

Толовых пашек немецкого образца - 62;
Взрывчатое советского производства - 78 кгг.;
Буриачей смеси (КС) - 50;
Радиостанций немецких - I;
Бикфордова шнура немецкого производства - 73 метра.



Daje to zresztą pewien obraz – niestety w dużej mierze pozostający w sferze domysłów – tego, co w tych archiwach może się znajdować.

Od wielu lat zajmuje się Pan Oblawą Augustowską. Czy w swoich badaniach dostrzega Pan moment przełomowy, który pozwolił się zbliżyć do poznania prawdy o tej zbrodni?

Za najistotniejsze należy uznać dwa dokumenty, w których jest mowa o tym, że ludzi zatrzymanych podczas Oblawy Augustowskiej postanowiono potajemnie zamordować bez jakiegokolwiek formalnego procesu sądowego. Dla mnie samo istnienie tych materiałów, to że one są fizycznie dostępne, że można je prezentować w publikacjach naukowych czy podczas konferencji, ma tu znaczenie podstawowe [chodzi o szyfrogramy gen. Abakumowa z 21 i 24 lipca 1945 roku – E.Ś].

Jakie są plany Memoriału co do dalszych badań nad Oblawą Augustowską?

Trudno mi mówić o jakichś szerokich zamierzeniach w sytuacji, kiedy wciąż nie mamy wszystkich dokumentów. Oczywiście, chcemy kontynuować badania, cały czas kierujemy zapytania do archiwów czy instytucji, które mogłyby pomóc. Niestety, odmowa dostępu do materiałów źródłowych z ich strony bardzo nam tę pracę utrudnia.

W Polsce od lat czekamy na rozwiązanie zagadki obławy. Czy tego typu zainteresowanie dostrzega Pan również w Rosji, a właściwie wśród Rosjan?

To dobre pytanie. Przeciętni Rosjanie, zwykli obywatele, nie są zainteresowani badaniami historycznymi, interesują ich raczej rzeczy codzienne, materialne. Oni mówią „Po co nam to? Czego się dowiemy? Kolejnych przykrych rzeczy. Są sprawy ważniejsze, pilniejsze. To nie ma sensu”. Natomiast w środowisku naukowców, historyków wygląda to oczywiście inaczej, oni są tym zainteresowani. Tylko że to środowisko też jest podzielone na dwie przeciwstawne grupy. Jedna neguje tę zbrodnię i nie chce jej ujawniać, druga chciałaby dotrzeć do prawdy.

A która z tych grup jest większa?

Myślę, że ta druga grupa jest mimo wszystko większa. Nie znaczy to jednak, że jest silniejsza czy głośniejsza. Obecna polityka Kremla zakłada, że historia ma kształtować patriotyzm. I dlatego wszelkie ustalenia historyków, które podważają autorytet państwa, są niepożądane.

Co Pan sądzi o obrazie społeczeństwa rosyjskiego, który w swojej ostatniej książce *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* nakreśliła Swietłana Aleksijewicz?

Znam i cenię twórczość Swietłany Aleksijewicz. W swoich książkach prezentuje ona swoje poglądy, swoje spojrzenie na rzeczywistość. Niewielu je podziela. Ludzie chcieliby

słyszeć czy czytać o rzeczach optymistycznych. Co zresztą też wpisuje się w jakimś stopniu w wymagania Kremla oczekujące, że publicystyka i literatura będą zgodne z jego polityką.

W *Czasach seconhand* jest mowa o bardzo wyraźnej nostalgii części społeczeństwa w Rosji za minionym systemem. Nie zaryzykuję oczywiście określenia, jakiej części, niemniej samo zjawisko jest zauważalne. Czy Pańskim zdaniem może to być przeszkodą w dotarciu do świadomości społecznej z trudnymi tematami historii XX wieku?

Taka nostalgia oczywiście nie stwarza dobrych warunków do prowadzenia rzetelnych badań historycznych. Bo istotnie, takie nastroje w społeczeństwie są obecne. Wydaje mi się jednak, że tu należałoby się zastanowić nad przyczynami tego zjawiska. Prawdopodobnie wynika ono z braku dobrych perspektyw na przyszłość, z czym duża część Rosjan się boryka. A to jest bardzo niebezpieczne. Bo jeśli nie ma przyszłości, ludzie wracają do przeszłości, do wspomnień starych czasów, których po prostu nie rozumieją. I jak refren wraca stwierdzenie, że „kiedyś było lepiej”. Co nie zawsze należy rozumieć dosłownie, często oznacza to po prostu, że „teraz nie jest dobrze”.

A młodsze pokolenie?

Młodzież jest wychowywana według wzorca patriotyzmu kibica sportowego. Zakłada on bezwarunkową miłość do swojego kraju, takie bezrefleksyjne przywiązanie i posłuszeństwo. W dłuższej perspektywie to nie jest dobre podejście. Bezkrytycznie kibicujemy naszemu państwu, a to jest dość szkodliwe, bo prawdziwa miłość do własnego kraju to w moim pojęciu podtrzymywanie tego, co dobre, ale jednocześnie zauważanie tego, co dobre nie jest, i podejmowanie prób naprawy. Do tego jest jednak potrzebna umiejętność krytycznego myślenia i analizy obserwowanych zjawisk. Taka polityka, która zakłada wpojenie społeczeństwu przekonania, że cokolwiek by się działo, wszyscy stanowimy jedną drużynę, bardzo się nasiliła w ciągu ostatniego roku. I nagle się okazało, że gdy pada pytanie o to, czy kiedy twoja drużyna postępuje źle, to nadal, mimo wszystko do niej należysz, ludzie stają się nerwowie, nie umieją na to odpowiedzieć. To jest właśnie skutek tego, że dotychczas nikt ich do takich refleksji nie zachęcał.

Na koniec proszę powiedzieć: jest Pan optymistą, jeśli chodzi o rozwiązanie zagadki Oblawy Augustowskiej? Czy uda nam się kiedyś poznać prawdę o tej zbrodni?

Oczywiście. Jestem przekonany, że tę sprawę uda się doprowadzić do końca. Wiemy przecież, że informacje na ten temat istnieją, wiemy gdzie. Problemem jest tylko – i aż – dostęp do dokumentów. Natomiast głęboko wierzę, że znajdziemy miejsce pochówku, dokładną listę osób tam pogrzebanych i poznamy okoliczności ich śmierci. ❀

Центральный архив ФСБ РФ

РАССЕКРЕЧЕНО
Центральный архив ФСБ РФ

Nieśliśmy do kraju wolne słowo

Nasza działalność wymagała mniej odwagi, a więcej wyczucia. Pracownicy ambasady PRL protestowali przeciwko udostępnianiu w czytelni instytutu wydawnictw nieobjętych cenzurą. Zwróciłem uwagę, że zaraz obok wystawione są też „Nowe Drogi”, oficjalny organ PZPR – mówi ks. Hieronim Fokciński SJ, dyrektor Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie, w rozmowie z Małgorzatą Chomą-Jusińską

Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie rozpoczął działalność, kiedy Rzym nie należał jeszcze do głównych punktów wyjazdów Polaków na Zachód. Czym się początkowo zajmował?

Początki instytutu sięgają roku 1958, czyli okresu przygotowań do obchodów millennium chrześcijaństwa w Polsce. Prymas Polski, kard. Stefan Wyszyński, wymyślił ten ośrodek po to, aby prowadził kwerendy, głównie w archiwach Stolicy Apostolskiej, i przekazywał wyniki tych badań do kraju. To zmuszało do ograniczania działań źle widzianych przez władze PRL. Zapamiętałem takie zdarzenie: po przyjeździe do Rzymu w 1970 roku poszedłem do kościoła polskiego na uroczystą mszę z okazji 11 Listopada. Potem przedstawiłem się arcybiskupowi (późniejszemu kardynałowi) Władysławowi Rubinowi. W odpowiedzi usłyszałem zagadkowe w pierwszej chwili dla mnie pytanie: „To ksiądz musiał przyjść dzisiaj tutaj?”. Powoli zacząłem się domyślać, że udział w takim nabożeństwie był oficjalnym protestem przeciwko władzom komunistycznym. W mojej sytuacji nie powinienem był się angażować w żadne inicjatywy polityczne, aby nie zaprzepaścić szansy, jaką stworzyło powołanie instytutu.

A jednak zaraz po przejściu kierownictwa instytutu, po śmierci ks. Eugeniusza Reczka SJ, włączył się Ksiądz w akcję, która przecież nie była dobrze widziana.

Na samym początku mojego pobytu w Rzymie – w 1971 lub 1972 roku – poznałem pana Stanisława Augusta Morawskiego, prezesa Fundacji Rzymskiej im. J.Z. Umiastowskiej. Wspominał mi o akcji dystrybucji książek, ale nie mówił o szczegółach. Bez wątplenia pierwsze kontakty nawiązał już wcześniej mój poprzednik, ks. Reczek, organizator instytutu. Zapropnowałem panu Stanisławowi, że mogę pomóc w wysyłce do kraju, bo mam pewne kontakty. Przede wszystkim zależało mi jednak na bibliotece samego instytutu. Nasi rodacy będący tylko przejazdem chętnie czytali książki i czasopisma na miej-

dr Hieronim Fokciński SJ – ur. w 1937 roku w Mirowicach k. Bydgoszczy, historyk. Od 1971 roku dyrektor Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie. Redaktor biuletynu naukowego „Informationes”. W latach 1991–2010 konsultor i relator Kongregacji do Spraw Kanonizacyjnych. Wykładowca w Studium Kongregacji do Spraw Kanonizacyjnych oraz na Uniwersytecie Gregoriańskim. Kieruje Komisją Kultury i Nauki Związku Polaków we Włoszech. Jest autorem licznych artykułów w czasopismach polskich i zagranicznych; opublikował także *Propozycje konsystorialne w XVI wieku*, *Polonię włoską*, *Słownik Polaków i instytucji polskich we Włoszech* (współredaktor z Kazimierzem Dopierałą). Działa na forum Konferencji Muzeów, Bibliotek i Archiwów Polskich na Zachodzie, jest członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Był kilkakrotnie odznaczony za szczególny wkład w upowszechnianie wiedzy o historii Kościoła w Polsce i popularyzowanie polskiej kultury, a także za działalność na rzecz społeczności polskiej we Włoszech.



Fot. ze zbiorów ks. Hieronima Fokcińskiego

scu lub prosili, aby fotokopie interesujących ich fragmentów wysłać im do kraju. Brałem zatem od pana Morawskiego sporo książek dla naszej biblioteki, także po to, by rozdawać innym. Dostawałem też książki od pana Witolda Zahorskiego, przewodniczącego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech. To chyba Morawski wyszedł z inicjatywą, aby instytut, którym kierowałem, włączył się w rozdawnictwo książek. Zapoznał mnie z panem Adamem Rudzkim, kiedy był przejazdem w Rzymie. Rudzki prowadził polską część programu dystrybucji książek wydanych na Zachodzie. Był to element amerykańskiej operacji rozpowszechniania publikacji z przyczyn politycznych niedostępnych w krajach za żelazną kurtyną.

Zatem miejscowa Polonia przyjęła Księdza życzliwie.

Długo uchodziłem za księdza reżimowca. Reprezentując instytut, zatrzymałem paszport polski i musiałem w związku z tym utrzymywać kontakty z przedstawicielami oficjalnych instytucji PRL. Chodziłem na odczyty w rzymskiej Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk, gdzie nie był żaden z szanujących się przedstawicieli Polonii. Panowało przekonanie, że władze w Polsce wysyłają za granicę tylko ludzi związanych ze służbami PRL, co w wielu wypadkach rzeczywiście miało miejsce. Mnie również długo traktowano z dużą rezerwą.

Takie były, jak rozumiem, same początki. A jak się potoczyły dalsze dzieje?

Oczywiście, powoli zmieniało się nastawienie władz polskich i rozpowszechnianie książek nie było uważane już za tak groźną działalność wywrotową jak wcześniej. Sytuacja, zwłaszcza naszego ośrodka, zaczęła się poprawiać w związku z pierwszymi rozmowami rządu z Watykanem. Korzystając z tej koniunktury, w 1974 roku wystąpiłem do Urzędu ds. Wyznań z propozycją otwarcia w Polsce czegoś w rodzaju filii instytutu rzymskiego, aby ułatwić wszystkim zainteresowanym naukowcom korzystanie z materiałów archiwalnych. Przewidziana była również biblioteka specjalistyczna, zaopatrzona także w najnowsze publikacje ukazujące się poza krajem. Oczywiście, „wysoki” urząd nie mógł wprost zatwierdzić podobnej inicjatywy. Byliśmy instytucją o statucie papieskim. Tymczasem ze Stolicą Apostolską PRL nie tylko nie miała konkordatu, ale wręcz z trudem nawiązywała pierwsze kontakty dyplomatyczne. Wysłane, na próbę, drogą oficjalną, pierwsze przesyłki książek, zostały – rzecz zrozumiała – zatrzymane. Podano tylko, ile ważyły, bez wymieniania tytułów. Doszło jednak i do sytuacji dotychczas nie do pomyślenia: po dalszych staraniach, po raz pierwszy, zarekwirowane pozycje zostały zwrócone nadawcy.

Miały jednak miejsce także przypadki bardziej zdecydowanej reakcji: kiedyś duszpasterz akademicki zatrzymał przed naszym ośrodkiem cały autobus i młodzież ogołociła niemal doszczętnie półki z zakazanych książek i czasopism. Na granicy skonfiskowano im przewożone publikacje, a później byli wzywani na przesłuchania.

I w takiej sytuacji zdecydował się Książd na kontynuowanie tej drażniącej władze działalności?

Tak. Ale wymagało to mniej odwagi, a więcej wyczucia: co można i czy już można, czy jeszcze nie. Bariere celną niekiedy udawało się ominąć. W pewnym okresie nie kontrolowano przesyłek zwyczajnych, tylko polecone. Polacy umyślnie wysyłali paczki z podaniem wysokiej sumy ubezpieczenia, bo w wypadku zaginięcia Poczta Polska byłaby zobowiązana pokryć straty. Nie mogło to trwać zbyt długo. Po jakimś czasie zmieniono przepisy.

Czy władze nie podejmowały prób zdyskredytowania instytutu w środowisku emigracyjnym?

Za taką próbę można chyba uznać propozycje, żeby Urząd ds. Wyznań załatwił nam bezpłatny dopływ pozycji krajowych. Pytali, czy będę to publicznie ogłaszał, z podaniem ofiarodawcy. Odpowiedziałem, że oczywiście za książki będę wdzięczny, zawsze odnotowujemy sobie ofiarodawców, ale nie publikujemy takich informacji. W konsekwencji tą drogą nigdy nic do nas nie dotarło. Nie o to zresztą chodziło. Zależało mi na utrzymaniu kontaktów z instytucjami krajowymi i wykorzystaniu coraz pomyślniejszej sytuacji.

Już samo wykładanie w czytelni instytutu nowych nabytków, nieobjętych przecież cenzurą, musiało razić. Pracownicy ambasady protestowali przeciwko udostępnianiu np. paryskiej „Kultu-

Magazyn biblioteczny Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie

ry”. Przy jakiejś okazji zwróciłem jednak uwagę, że zaraz obok wystawione są też „Nowe Drogi”, oficjalny organ PZPR. „No tak – padła odpowiedź – prowadzi książd instytucję naukową”.

To, o czym Książd wspominał, miało znaczenie dla przełamania monopolu komunistycznego, wróćmy jednak do samej akcji przesyłkowej.

Pan Adam Rudzki, składając wizytę w instytucie w 1983 roku, był zainteresowany przede wszystkim naszymi możliwościami prowadzenia akcji rozdawnictwa i wysyłki, zwłaszcza kanałami kościelnymi. Zależało mu zwłaszcza na tym, aby najwięcej książek docierało do kraju, bez względu na rodzaj odbiorców. Kiedyś wspominałem, że dochodzą mnie wieści, że otrzymane od nas pozycje są sprzedawane, i to po dość wysokich cenach. „Tym lepiej – padła odpowiedź – bo kto kupi za taką cenę, ten na pewno przeczyta”. I tak się zaczęło regularne dosyłanie książek na nasz adres. Nie było jednak żadnej pisemnej umowy między nami. Większość książek otrzymywaliśmy przez Bibliotekę Polską ▶

Finansowany przez USA projekt dystrybucji książek po wschodniej stronie żelaznej kurtyny ruszył w 1956 roku pod egidą Komitetu Wolnej Europy (Free Europe Committee). Od lat siedemdziesiątych do 1991 roku był realizowany przez dwie inne instytucje: Międzynarodową Radę Doradczą (International Advisory Council) oraz Międzynarodowy Ośrodek Literacki (International Literary Centre). Dzięki niemu do krajów bloku komunistycznego wpłynęło ponad 10 mln książek i czasopism wydanych na Zachodzie, z czego ok. 40 proc. trafiło do Polski. Wiele z tych publikacji ze względu na wymowę polityczną nie mogło się ukazać w kraju. Wśród tytułów wysyłanych do Polski były też specjalistyczne pozycje naukowe, ze względu na koszt niedostępne dla osób zainteresowanych nimi zawodowo. Sieć kilkudziesięciu instytucji i osób zajmujących się wysyłką oraz rozdawnictwem książek obejmowała przede wszystkim Paryż (i największy chyba ośrodek, podparyskie Maisons-Laffitte), Londyn i Rzym, ale także m.in. Genewę, Lund, Monachium, Wiedeń i Sztokholm.

w Londynie. Dostawałem listy z wykazem publikacji. Robiłem fotokopię dla siebie i odsyłałem im oryginał z adnotacjami, kiedy przyszły i w jakiej ilości. Nie otrzymywaliśmy żadnych funduszy na prowadzenie tej akcji. Nikt nie zwracał poniesionych kosztów. Natomiast organizatorzy akcji zgadzali się, abyśmy od czasu do czasu zamawiali dodatkowe publikacje, które nie figurowały na ich listach. Ze względu na charakter wydawnictw naszego instytutu, czysto naukowy i raczej specjalistyczny, nie trafiały one na listy książek proponowanych do rozdawnictwa.

Ile osób korzystało z tej darmowej dystrybucji?

Początkowo nie tak wiele osób przyjeżdżało do Rzymu i, oczywiście, nie wszyscy trafiali do nas. Większy napływ ludzi z kraju nastąpił pod koniec lat siedemdziesiątych. Przychodzili do nas czytać, siedzieli do wieczora, a nawet pożyczali na noc. Często jednak nie chcieli zabierać książek do Polski, szczególnie tych mocno antykomunistycznych. Byli jednak i tacy, którzy szukali, i to wyłącznie, literatury politycznej.

Najwięcej książek wywozili pracownicy naukowci. Oni mieli wytłumaczenie, że jest to niezbędne do ich pracy. Podobnie posiadanie książek mogli uzasadnić duchowni. Ale już studenci byli traktowani na granicy bardziej restrykcyjnie. Wśród naukowców byli też tacy, którzy szukali konkretnych książek, dotyczących ich wąskich zainteresowań, np. literatury. Pozycje z historii czy nauk społecznych niezbyt ich interesowały. Przychodzili też ludzie, którzy chcieli tylko zobaczyć, jak funkcjonuje instytut, co się ukazuje na Zachodzie, i chcieli się zapoznać z prasą polonijną. Wówczas mieliśmy duży wybór gazet, nie tylko europejskich, lecz także z USA, Kanady i Australii. Jeśli chodzi o studentów, byli to głównie studium duchowni. Wielu z nich reprezentowało młode zakony, które nie miały własnych dobrze zaopatrzonych bibliotek, więc starali się sprowadzać do kraju jak najwięcej nowości.

Osoba, która otrzymywała książki z instytutu, zazwyczaj nie więcej niż kilka, podawała informację o profesji i ogólnikowo o miejscu zamieszkania. Te dane jednak nie zawsze były prawdziwe. Inni jeszcze tłumaczyli, że biorą książki dla znajomych w kraju. To, czy ktoś przyszedł do nas po tę zakazaną literaturę, czy nie, zależało w jakiejś mierze od jego odwagi. Ważną rolę odgrywał punkt informacyjny dla pielgrzymów polskich, *Corda Cordi*, zorganizowany przez jezuitę, ks. Kazimierza Przydatka. Stamtąd wielu otrzymywało nasz adres dzięki niezwykle dynamicznej i ofiarnej postawie wolontariuszki, s. Benedykty (Marii Leśniak).

Na przełamanie bariery strachu wpłynął też rozwój niezależnego ruchu wydawniczego w kraju. Ludzie,

► „Dziatwa: Czasopismo miesięczne dla młodzieży”, Wydawnictwo P.C.K. przy Dowództwie 2. Korpusu, nr 4, rok I, Bari, kwiecień 1946 roku

którzy przyjeżdżali na Zachód, coraz chętniej – i w większej ilości – brali książki. Jednocześnie my dostawaliśmy coraz więcej książek do rozdania. Wraz z powstaniem Solidarności drastycznie spadło zainteresowanie sprawami naukowymi. Było to widoczne od razu. I nigdy już nasza współpraca z ośrodkami i indywidualnymi osobami z kraju nie była tak intensywna jak przed rokiem 1980. Za to w stanie wojennym ogromnie wzrosła liczba czytelników, którzy przychodzili do czytelnicy. Byli to przede wszystkim emigranci. Mieli dużo czasu. Dla nich uruchomiliśmy nawet tzw. biblioteczki ruchome. Ktoś brał odpowiedzialność za 60, 70 pozycji. Gdy ten zestaw już został przeczytany, wymieniano na inny.

Zaglądały do nas również osoby z innych krajów komunistycznych. Przychodzili głównie Słowianie, którzy lepiej lub gorzej radzili sobie z naszym językiem. Jednak takich osób nie było zbyt wiele.

Na podstawie sprawozdań dla pana Rudzkiego można oszacować, że do 1990 roku rozdaliśmy ok. 30 tys. tysięcy książek i czasopism. Wydaje mi się, że z czasem rozprawdzaliśmy nawet więcej i sprawniej niż inne ośrodki rzymskie.

W jaki sposób książki były przesyłane – czy może przemycane – do kraju?

Najwięcej kontaktów mieliśmy z instytucjami państwowymi: uniwersytetami, towarzystwami naukowymi, z Polską Akademią Nauk. Oprócz biblioteki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego najaktywniejsze były kontakty z Biblioteką Narodową w Warszawie. Rokrocznie przyjeżdżała na miesiąc jedna osoba z Zakładu Uzupełniania Zbiorów, żeby przejrzeć i wytypować pozycje zakazane, a także z naszych dubletów czy tytułów zbędnych w naszym zbiorze. Kiedyś nadeszło oficjalne zamówienie z Biblioteki Ossolińskich we Wrocławiu na tytuł potrzebny pewnemu profesorowi tamtejszej uczelni. Na ogół otrzymywaliśmy potwierdzenie odbioru takich przesyłek. Jednak ku mojemu zdziwieniu, będąc we Wrocławiu, dowiedziałem się, że osoba odpowiedzialna potwierdziła odbiór książki, bo otrzymała takie urzędowe polecenie, ale jej nie widziała. Aby z niej skorzystać, czytelnik musiał się wybrać do Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Okres do końca lat osiemdziesiątych wspominam raczej mile. Nawet w ministerstwach i innych urzędach wiele można było załatwić – powiedzmy – prywatnie i oczywiście bez rozgłosu. Czasem udało się coś przesłać przez osoby sprawujące różne oficjalne funkcje w instytucjach reprezentujących PRL w Rzy-

Oprócz rzymskiego instytutu dystrybucją polskich książek w Wiecznym Mieście zajmował się Witold Zahorski, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech. Od lat sześćdziesiątych robił to także Stanisław August Morawski, współtwórca instytucji współpracujących na polu nauki i kultury z przedstawicielami państw Europy Środkowo-Wschodniej: Centro Esperienze Internazionali, a następnie Centro Incontri e Studi Europei oraz wieloletni prezes zarządu Fundacji im. J.Z. Umiaostowskiej, instytucji o podobnym profilu działania.



mie. W latach siedemdziesiątych sporo wysyłał przez prof. Bronisława Bilińskiego, wieloletniego dyrektora Stacji Naukowej PAN w Rzymie. On przesyłał te książki na adres placówki PAN w Warszawie i tam ktoś je odbierał. Tą drogą wysyłałmy zarówno książki dotyczące historii Kościoła, jak i pozycje z akcji koordynowanej przez Rudzkiego. Nie były to jednak książki wyraźnie antykomunistyczne. Nie mogliśmy profesora zbyt mocno narażać. Zdarzyło się nawet, że pozycje o ostrej wymowie antykomunistycznej przewoził ktoś z samej ambasady. Miałem jednak sporo wątpliwości co do celowości korzystania z takich nieoczekiwanych propozycji współpracy. Takich obaw nie budziła natomiast gotowość badaczy polecanych przez środowiska naukowe. Jednym z tych profesorów był późniejszy ambasador przy Stolicy Apostolskiej, Henryk Kupiszewski. Pomagali nam również obcokrajowcy, głównie oczywiście Włosi. Często nie wiedzieli, co przewożą. Prosiłem tylko, aby przekazali przesyłkę osobie, która się po nią zgłosi.

Nowe pozycje wydawane przez nasz instytut, a także niektóre z rozdawnictwa, wysyłałmy niekiedy normalną pocztą, i to od razu na kilka adresów. Czekałmy następnie na informację, czy przesyłki doszły. Chcieliśmy, żeby cenzura oswoiła się z tymi publikacjami. Jeśli nie konfiskowali, to nadawaliśmy następne. Sytuacja zmieniała się z czasem. Raz przepuszczano mniej przesyłek, w innym okresie więcej. Staraliśmy się nie narażać adresatów, bo z zarekwirowaniem książek wiązały się też wezwania na przesłuchania i inne dokuczliwości. Z czasem jednak służba celna zaczęła łagodniej traktować same przesyłki i osoby przewożące publikacje w bagażu podręcznym.

Czy zdarzały się wpadki?

O młodości wspominałem już wyżej. Kiedyś znów, późnym wieczorem, otrzymałem telefon z prośbą od znanego mi profesora, który potrzebował akurat tytułu mocno antykomunistycznego. W naszym zbiorze już go nie było. Poradziłem, aby rano udał się pod inny adres, bo tam z pewnością otrzyma tę książkę. Skorzystał z tej rady i tą samą taksówką pojechał na lotnisko. Mieliśmy jednak już pewne wątpliwości co do tego miejsca rozdawnictwa. I rzeczywiście, kiedy przyleciał do Warszawy, celnik zażądał od niego wydania tej właśnie, konkretnej książki – „a z resztą może pan iść”. Nie było to pierwsze ani jedyne podobne ostrzeżenie.

Podobna przygoda spotkała kard. Karola Wojtyłę. W 1971 roku wydrukowaliśmy w Rzymie rozważania kard. Stefana Wyszyńskiego *Miłość na co dzień*. Kardynał Wojtyła zabrał ze sobą do podręcznej teczeki jeden egzemplarz. Na granicy celnik polecił zostawić książkę. „Ale dlaczego?” – zapytał kardynał. „Bo my do Polski pornografii nie wpuszczamy” – odparł stanowczo funkcjonariusz. Wyjaśnienie, że przecież autorem tej książki jest kard. Wyszyński, prymas Polski, niewiele pomogło. Celnik oświadczył, że nie zna żadnego prymasa Polski i książka nie może się znaleźć na terenie kraju.

Biskupom wracającym do kraju raz przepuszczano przewożone publikacje, innym razem nie. Było w tym wiele wyrachowania politycznego obliczonego na wzbudzenie podejrzeń, dlaczego

► Czytelnia biblioteczna Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie

jeden może coś przewozić, a drugi nie. Jeśli wiedzieliśmy, jaki kanał jest bezpieczny, to staraliśmy się wysłać natychmiast jak najwięcej. Gdyby takie wysyłki były centralnie organizowane, to władze na pewno by to rozbiły, ale skoro było to rozproszone inicjatywy, utrudniało to ich przejęcie.

Czy ta działalność, nie bardzo się wpisująca w główne cele instytutu, cieszyła się wówczas i spotyka się dzisiaj z jakimś zainteresowaniem?

Odpowiem tak: pani jest pierwszą osobą, która się zainteresowała tym tematem. Wiadomo było, że w ambasadzie PRL pracowało trzech panów – wysokich rangą funkcjonariuszy MSW – którzy w ramach komisji do rozmów z Watykanem rozwijali w Rzymie jeszcze inną działalność. W IPN zapytałem kiedyś o materiały dotyczące naszego instytutu, ale powiedziano mi, że zostały zniszczone. Jednak od czasu do czasu coś wypływa. Dostałem np. taką informację, że jeden z tych trzech panów napisał o mnie taką zwięzłą opinię: „Z tym to już nic nie da się zrobić”. Niezamierzony to, ale może jednak pewien dowód uznania.

A jak reagowało duchowieństwo?

O dystrybucji książek wspominałem w sprawozdaniach dla księdza prymasa oraz dla moich władz zakonnych. Ale swoich zwierzchników kościelnych nie wprowadzałem zbyt dokładnie w szczegóły tej działalności. Wołałem, żeby nie wiedzieli zbyt dużo, by nie robić im kłopotu. Mogli mieć zresztą zastrzeżenia z obawy o to, aby ta działalność nie odrywała instytutu od innych zadań. Czasem patrzyli krzywo na to, co robiłem, ale przekonywałem, że sytuacja jest wyjątkowa, „wojenna”, a inicjatywa ważna. Poza tym korzystała na tym nasza biblioteka. Prymas bynajmniej się nie sprzeciwiał udziałowi naszego instytutu w akcji rozdawnictwa. Doceniał to jako oczywisty wkład w rozwój kultury polskiej. Dla akcji rozdawnictwa to, że byliśmy instytucją kościelną, stanowiło nawet atut, którego nie miały inne ośrodki. Właśnie dzięki temu niektórzy liczyli na większą dyskrecję i nie obawiali się prowokacji. ■

Rozmowę przeprowadzono w Rzymie w lipcu 2011 roku. Pełna wersja wywiadu ukaże się w „Roczniku Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie”.

Dziś na Ukrainie nie ma jednolitej pamięci o II wojnie światowej. Najmocniej konkurują ze sobą narracje nacjonalistyczna i neosowiecka.

Ukraina: wyzwania pamięci

Andrij Portnow



Dla postsowieckiej Ukrainy II wojna światowa jest szczególnie istotnym wydarzeniem historycznym. Jej rezultatem są granice współczesnego państwa ukraińskiego. We wrześniu 1939 roku, w rezultacie niemiecko-sowieckiego porozumienia znanego jako pakt Ribbentrop–Mołotow, wojska sowieckie rozpoczęły okupację wschodnich terenów Polski. Niedługo okupację tę ogłoszono „zjednoczeniem” ziem ukraińskich (do dziś w niektórych ukraińskich publikacjach można spotkać ten termin). W wyniku ataku nazistowskich Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 roku całe terytorium dzisiejszej Ukrainy było okupowane przez III Rzeszę i jej sojuszników, następnie jej mieszkańcy powtórnie doświadczyli władzy Sowieców i towarzyszących temu represji.

Dzisiejszy skład narodowościowy kraju jest rezultatem Holokaustu, wojennych i powojennych czystek etnicznych, deportacji i tzw. wymian ludności. Co istotne, w odróżnieniu od Rosji, Białorusi i Polski, ukraińska pamięć o wojnie nie jest jednolita. Raczej wielowymiarowa i budząca ciągle spory, a nawet konflikty: od pamięci o podziemiu nacjonalistycznym po pamięć o zagładzie Żydów i sowieckiej deportacji Tatarów krymskich.

„Kanonizacja” Bandery

W Galicji Wschodniej (dzisiejsze obszary lwowska, iwanofrankowska i tarnopolska) i na Wołyniu (dzisiejsze obszary rówieńska i wołyńska) Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) działała do początku lat pięćdziesiątych XX wieku. W ramach zwalczania podziemia ukraińskiego Sowieci represjonowali ok. 10 proc. ludności tych terenów. Ten fakt głęboko zakorzenił się w lokalnej pamięci mieszkańców, których sympatie dla UPA – jak zresztą przyznawali sami aktywiści podziemia – „opierały się na świadomości narodowej i patriotyzmie, a nie na poparciu dla naszego programu politycznego czy socjalnego”. Od końca lat osiemdziesiątych XX wieku, w warunkach rozpadu Związku Sowieckiego, zakazana dotąd pamięć o podziemiu i re-



Fot. East News

► Prezydent Petro Poroszenko z weteranami UPA po specjalnej sesji Parlamentu Ukrainy, Kijów, 8 maja 2015 roku

presjach sowieckich szybko wyszła na jaw i stała się jednym z symboli desowietyzacji Galicji Wschodniej i Wołynia. Dzięki inicjatywie miejscowych władz i lokalnych organizacji rozpoczęło się masowe wznoszenie pomników poświęconych UPA i liderom nacjonalistów, przede wszystkim Stepanowi Banderze.

Bandera, zamordowany w 1959 roku w Monachium przez agenta KGB Bohdana Staszynskiego, stał się patronem i „imiennikiem” ukraińskich nacjonalistów – banderowców. Postsowiecka „kanonizacja” Bandery jest przykładem zewnętrznego zerwania z sowieckim kanonem ideologicznym, którego to właśnie Bandera był głównym antybohaterem. Słowo „zewnętrzny” jest tutaj bardzo istotne, ponieważ stylistyka pomników Bandery mocno przypomina monumenty wznoszone ku czci sowieckich generałów i bohaterów komsolców.

Kijów dał swego czasu milczące przyzwolenie na lokalną „kanonizację” UPA. Ideologiczna odpowiedź pojawiła się dopiero z inicjatywy Komunistycznej Partii Ukrainy, która zareagowała na apel ówczesnego prezydenta, Wiktora Juszczenki, o „pojednanie weteranów II wojny światowej” wznoszeniem własnych pomników. 14 września 2007 roku na głównym placu Symferopola na Krymie

odsłonięto pomnik ku czci „ofiar narodu sowieckiego, poległych z rąk współpracowników faszystów OUN-UPA”. Z kolei w maju 2010 roku w Ługańsku pojawił się pomnik „ofiar UPA – obywateli sowieckich”. Znamienne, że w obu przypadkach w centrum zainteresowania inicjatorów znalazły się jedynie „sowieckie ofiary” nacjonalistów ukraińskich, nie zaś Polacy czy Żydzi. Ważne jest również to, że oba pomniki znajdują się obecnie na terytoriach wyjętych spod władzy Kijowa.

Nie ulega wątpliwości, że rzeź wołyńska 1943 roku jest dużym wyzwaniem dla heroicznego obrazu ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. W 2003 roku Rada Najwyższa Ukrainy poparła uchwałę potępiającą akcję antypolską z czasów II wojny światowej, ale zrobiła to pod wyraźnym naciskiem prezydenta Leonida Kuczmy i przewagą tylko jednego głosu. Temat Wołynia stał się na Ukrainie przedmiotem szerokiej, publicznej debaty dopiero w 2013 roku, przy okazji siedemdziesiątej rocznicy tych tragicznych wydarzeń. Historykom ukraińskim, w przeciwieństwie do ich polskich kolegów, nie udało się wypracować konsensusu w sprawie oceny wydarzeń wołyńskich. W ukraińskiej historiografii dominuje określenie „tragedia wołyńska”; często zaprzecza się, aby antypolska ope-

racja UPA miała charakter planowy, oraz podaje się w wątpliwość tezę o jej ludo-bójczej kwalifikacji. W szkolnych podręcznikach do nauki historii temat Wołynia jest w całym kraju przedstawiany pobieżnie, nie dostrzega się także, że jest on niezwykle ważny dla polskiej pamięci o II wojnie światowej. Wielu historyków ukraińskich, w tym również ci o poglądach liberalnych, uważało, że rozmowa o ciemnych stronach historii podziemia będzie możliwa dopiero po uznaniu UPA za stronę walczącą (co nastąpiło wiosną tego roku) i przyznaniu jej członkom praw kombatanckich przez państwo.

„Wielka wojna ojczyzniana” i próby „pojednania weteranów”

Na postsowieckiej Ukrainie termin „wielka wojna ojczyzniana” (rozumiany jako wojna Związku Sowieckiego z hitlerowskimi Niemcami) nigdy nie zniknął z języka oficjalnej pamięci o II wojnie światowej. W 1995 roku powrócił do podręczników szkolnych jako przejaw strategii integracji tego pojęcia z nową narracją narodową. W nowych szatach zyskał bardziej „ludzki” wymiar, odwrócono bowiem uwagę od roli partii komunistycznej i skupiono ją na losach i ofiarach zwykłych ludzi, przy jednoczesnym zaakcentowaniu błędów i okrucieństwa władzy sowieckiej i dowództwa wojskowego. Znamienne, że nawet na terenie zachodniej Ukrainy masowe wznoszenie pomników poświęconych podziemiemu nacjonalistycznemu nie było równoznaczne z demontażem pomników sowieckich. Nie stały się one również obiektami wandalizmu. Ich adaptacja do nowych warunków często przebiegała w oryginalny sposób, np. przez dodanie do pomnika rzeźby Matki Boskiej oplakującej poległych (jak to miało miejsce w Sławsku w obwodzie lwowskim).

Po 1991 roku podstawą oficjalnej narracji święta 9 maja stała się jedność narodu ukraińskiego podczas wojny. Celem zwykłych Ukraińców walczących po różnych stronach frontu była – jak przekonywano – wolna i dostatnia Ukraina. Szczególnie prezydent Wiktor Juszczenko starał się łączyć zwycięstwo nad faszyzmem z państwowością („Nasze zwycięstwo



Fot. East News/Nikolaj Lazarenko

► Prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko podczas obchodów Dnia Zwycięstwa w 62. rocznicę zakończenia II Wojny Światowej, Kijów, 9 maja 2007 roku

– to święto ukraińskiej państwowości”), a jedność narodu podczas wojny miała wyrażać się jeśli nie w metodach walki, to w jej celu: „Oleś Gonczar, Olena Teliha, Oleksa Berest i wielu innych – każdy z nich i miliony pozostałych Ukraińców kochały swoją ojczyznę, swoją Ukrainę... Cały naród ukraiński walczył o swoje państwo”. W tym cytacie, w jednym zdaniu, zestawiono żołnierza sowieckiego i pisarza socrealistę Gonczara z poetką, członkinią Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), Teliha, rozstrzelaną przez Niemców w Babim Jarze. Jednak szczytem lansowanej przez Juszczenkę tezy o jedności narodu podczas wojny było zestawienie generała Nikołaja Watutina, zabitego z rąk UPA, i komendanta tej formacji, Romana Szuchewycza.

Z kolei prezydentowi Wiktorowi Janukowyczowi wielu zarzucało powrót do „wielokierunkowej” polityki historycznej, realizowanej za czasów Leonida Kuczmy, i korektę najważniejszych „odchyleń” powstałych na tym polu za prezydentury Juszczenki. W kwietniu

2010 roku, w przeddzień Dnia Zwycięstwa, Okręgowy Sąd Administracyjny w Doniecku uznał dekrety Juszczenki o przyznaniu tytułu Bohatera Ukrainy Stepanowi Banderze i Romanowi Szuchewyczowi za niezgodne z prawem. Swoją decyzję sąd argumentował tym, że obaj pośmiertnie uhonorowani działacze nie byli ani obywatelami Ukrainy, ani jej prawnej poprzedniczki – Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej.

Parada 9 maja 2010 roku odbyła się w stylistyce przypominającej czasy Leonida Breżniewa. Na uroczystościach oficjalnych nie wspomniano ani o pojednaniu weteranów, ani o takich wydarzeniach wojennych, jak: Holokaust, deportacje Tatarów krymskich, losy jeńców wojennych czy represje na terenach wyzwolonych od Niemców. Kilka dni przed obchodami 9 maja 2011 roku Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła ustawę o wywieszaniu w tym dniu, obok flagi państwowej, także „czerwonego sztandaru zwycięstwa”. Konsekwencją tej decyzji były zamieszki we Lwowie, gdzie grupa prorosyjskiej mło-

dzieży podążająca z czerwonym sztandarem pod pomnik żołnierzy sowieckich na tzw. Wzgórzu Sławy starła się z przeciwnikami tej symboliki. Podczas zajścia postrzelono jedną osobę. Dla spokojnej jeszcze wówczas Ukrainy to był szok. 17 czerwca 2011 roku Sąd Konstytucyjny uznał nową ustawę za niezgodną z konstytucją.

Holokaust: lokalna pamięć i narracja nacjonalistyczna

W okresie sowieckim ofiary Holokaustu zwykło się nazywać „cywilami – ofiarami faszyzmu”, bez wspominania o ich narodowości. Co prawda, od końca lat osiemdziesiątych władze państwowe nie przeciwdziałały procesowi przywracania pamięci o Zagładzie, ale też nie brały w nim żadnego udziału. Dlatego też szybko pojawiły się regionalne dysproporcje: w Galicji, gdzie w wyniku Holokaustu zginęli prawie wszyscy Żydzi, zabytkowe synagogi są dziś w opłakanym stanie. Z kolei w położonym na południowym wschodzie Ukrainy Dniepropietrowsku – mieście z liczną społecznością żydowską – pojawiło się wiele pomników poświęconych ofiarom Holokaustu, a także powstało potężne centrum „Menorah”, przy którym w 2013 roku otwarto muzeum historii Żydów ukraińskich.

Pojawienie się pomników ofiar Holokaustu, specjalistycznych publikacji czy letnich szkół i seminariów poświęconych temu tematowi było rezultatem wielu inicjatyw społecznych, a nie państwowych. Historia *Shoah* nie została wpleciona w ogólnonarodową narrację o wojnie czy obchody święta 9 Maja. Prezydent Leonid Kuczma w swoich oficjalnych wystąpieniach unikał pojęcia „Holokaust”. To słowo nie padło również podczas obchodów sześćdziesięciolecia zbrodni niemieckich w Babim Jarze – miejscu masowych egzekucji dokonywanych głównie na Żydach. Także prezydent Wiktor Janukowycz, występując w 2013 roku w Babim Jarze, nie wspomniał o Żydach, tylko użył sowieckiego zwrotu o „ofiarach cywilnych różnych narodowości”.

Historycy ukraińscy zajmujący się tematem Zagłady muszą borykać się nie

tylko z problemem politycznego tabu, lecz także z rezultatami świadomego fałszowania źródeł. Z takich metod korzystało już kierownictwo OUN, wydając w październiku 1943 roku – w iście orwellowskim stylu – polecenie przygotowania „specjalnego zbioru dokumentów świadczących, że antysemickie pogromy i likwidacje przeprowadzali sami Niemcy, bez pomocy ukraińskiej policji”.

Deportacja Tatarów krymskich

Sowieckie deportacje różnych grup narodowościowych oskarżanych *en bloc* o „zradę ojczyzny” stanowiły absolutne tabu w historii „wielkiej wojny ojczyźnianej”. Wiktor Juszczenko był pierwszym prezydentem Ukrainy, który wspominał o nich w przemówieniu przy okazji święta 9 Maja: „Jestem przekonany, że w ten dzień muszą paść słowa solidarności z naszymi rodakami – Tatarami krymskimi, których ze szczególnym cynizmem dotknęły i wojna, i powojenne represje” – mówił prezydent.

Oczywiście to przemówienie nie rozwiązało problemów Tatarów, którzy od 1989 roku, kiedy to uchylono zakaz osiedlania się ich na Krymie, wracali i osiedlali się na półwyspie. Dopiero wiosną 2014 roku, już po aneksji Krymu przez Rosję, parlament ukraiński przyjął wielokrotnie dyskutowany projekt ustawy o uznaniu Tatarów krymskich za ludność rdzenną. Proces aneksji półwyspu pokazał lojalność Tatarów wobec państwa ukraińskiego i zarazem niezdolność tegoż do ochrony ich praw.

Problem tożsamości krymsko-tatarskiej i pamięci o deportacjach pozostaje przede wszystkim sprawą jednej grupy narodowościowej, na której głos większość społeczeństwa ukraińskiego pozostaje głucha. W podręcznikach szkolnych znalazło się co prawda miejsce dla tematu deportacji Tatarów, jednak głównie dlatego, że wątek ten świetnie wpisuje się w narrację o represjach władzy sowieckiej wobec Ukrainy. Jednocześnie w tym samym podręczniku, przy okazji opisu wojen kozackich i powstania Chmielnickiego,

pozostawiono obraz Tatarów i Chanatu Krymskiego zgodny z sowiecką kliszą propagandową. Tatarzy zostali przedstawieni jedynie jako agresywni i krwiożerczy sąsiedzi Ukrainy, którzy napadali na ziemię ukraińskie i zdradzali swoich kozackich sojuszników. ▶

▶ Pomnik Stepana Bandery w centrum Lwowa



Konkurencja monologów historycznych

Na postsowieckiej Ukrainie współistnieją i konkurują ze sobą różne obrazy wojny. Najważniejsze miejsce zajmuje lekko zmodyfikowany schemat sowiecki, którego głównymi konkurentami są tradycje regionalne (Galicja i Wołyń) i narodowościowe (Żydzi, Tatarzy krymscy). Ukraiński obraz wojny w wariacie (neo)sowieckim nie jest tożsamy z rosyjskim – symptomatyczną różnicą jest tutaj np. odrzucenie postaci Stalina. Poza tym, zarówno na poziomie polityki oficjalnej, jak i w szerokiej świadomości społecznej Ukraina nie stara się konkurować z Rosją na polu „prywatyzacji” „wielkiego zwycięstwa”. Choćby dlatego, że bardzo ważny w autoprezentacji Ukrainy jest obraz „narodu – ofiary dwóch totalitaryzmów”, który nie tak łatwo pogodzić z obrazem „kraju zwycięzcy”.

Brak spójnej i przekonującej narracji ukraińskiej na temat wojny skutkuje próbami pogodzenia sprzeczności kosztem falsyfikacji, przemilczeń i żonglerki słownej. Dzieje się tak zwłaszcza na szczeblu państwowym. Powstały w kraju „zbawienny” pluralizm pamięci funkcjonuje nie jako przestrzeń dialogu, lecz jako samodzielne i agresywne narracje, które współistnieją, ponieważ nie są w stanie zwyciężyć przeciwnika. W dodatku każda z nich (nacjonalistyczna czy sowiecka) unika pytań o własną odpowiedzialność za pogromy, represje i działania odwetowe. W ten sposób odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie i przestępstwa czasów wojny jest przenoszona na siły zewnętrzne: Niemców, przebranych w mundury UPA funkcjonariuszy NKWD, polskie podziemie, Kreml.

Większość weteranów – i sowieckich, i UPA – czuje się moralnie i materialnie przegrany. Współczesna Ukraina jest daleka od obrazu państwa, za które przelali krew czerwononoarmięci i żołnierze UPA. Obie te grupy uważają, że są pomijane i jednocześnie oskarżają się wzajemnie o to, że otrzymują zbyt dużo uwagi ze strony państwa. Uparcie odmawiając dialogu z drugą stroną (wyjątki tylko potwierdzają regułę), zarówno organizacje

weteranów sowieckich, jak i bractwa walczących w UPA demonstrują oddanie propagandowej retoryce czasów wojny. I w tym są one bardzo podobne do siebie.

Rozdrobnienie organizacji weteranów powoduje, że nie odgrywają one znaczącej roli na współczesnej ukraińskiej scenie politycznej. Próby instrumentalnego wykorzystania „apeli weteranów” czy „postulatów weteranów” w celu rozwiązania konkretnych problemów politycznych na Ukrainie mają mniejsze znaczenie niż w Rosji czy na Białorusi, gdzie kontrolowane przez państwo jednolite struktury kombatanckie spełniają ważną funkcję w legitymizacji decyzji politycznych.

W realiach ukraińskich, w których programy socjalno-ekonomiczne poszczególnych sił politycznych zasadniczo nie różnią się od siebie, to właśnie temat II wojny światowej spełniał w społeczeństwie rolę papierka lakmusowego do wychwycenia różnic politycznych. Dlatego sprawy pomników i praw weteranów stawały się niezwykle aktualne wraz ze zbliżaniem się kolejnej kampanii wyborczej i przycichały zaraz po jej zakończeniu. Wydawało się w związku z tym, że problematyka wojenna wciąż jest niewyczerpanym źródłem politycznej retoryki, a władze w Kijowie nie mają innego wyboru, niż tylko pozwolić istnieć i rozwijać się kolejnym, lokalnym odsłonom obrazów wojny.

Z jednej strony brak ogólnego porozumienia w sprawie wojny uniemożliwił powstanie jednolitego obrazu ukraińskiej przeszłości, z drugiej jednak zapobiegał jego jednoznacznej instrumentalizacji. Umownie mówiąc, przestrzeń publiczna pozostaje podzielona między zwolenników narracji nacjonalistycznej i neosowieckiej, a tylko niewielki margines zajmuje postawa kompromisowa lub krytyczna.

„Wielka wojna ojczyzniana” za Ukrainę

Jeszcze podczas Euromajdanu, a tym bardziej podczas aneksji Krymu przez Rosję, Kreml starał się przedstawić masowy, prodemokratyczny ruch na Ukrainie jako złożony z samych prawicowych radyka-

łów inspirowanych przez USA. Ukraińskie wydarzenia tłumaczono na język propagandy „wielkiej wojny ojczyznianej”. I tak w oficjalnych środkach masowego przekazu aneksja Krymu oraz interwencja rosyjska w Donbasie były opisywane jako konieczność obrony „rodaków” przed „faszystami”, a ukraińska armia i bataliony złożone z ochotników były określane mianem *karatieli* (oprawców), popełniających zbrodnie w rodzaju „ukrzyżowania małego chłopca w Słowiańsku”. Ta propagandowa logika utożsamiała współczesną Rosję z Armią Czerwoną, która pokonała nazizm i oswobodziła Auschwitz.

Wydawałoby się, że Ukraina powinna odpowiedzieć na taką propagandę radykalizacją nastrojów nacjonalistycznych. Tym bardziej że przecież Majdan legitymizował nacjonalistyczne slogany: „Sława Ukrainie! Sława bohaterom!” – i mienił się czarno-czerwonymi flagami UPA. To prawda, jednak symbole te zostały wówczas użyte w nowym kontekście – postsowieckiej desowietyzacji. Jej najlepszym przykładem był demontaż pomników Lenina na wschodzie Ukrainy (od Kijowa po Dniepropietrowsk i Charków).

Skrajnie prawicowa ideologia (częściowo wypływająca z międzywojennej i wojennej tradycji OUN) jest obecna w ochotniczym batalionie „Azow” i w ugrupowaniu „Prawy Sektor”. Jednak nawet w retoryce tych formacji dominują symbole nawiązujące nie do tradycji UPA, lecz do narracji sowieckiej. Jeszcze we wrześniu 2014 roku lider „Prawego Sektora”, Dmytro Jarosz, mówił, że Ukraina prowadzi „naszą wielką wojnę ojczyznianą”. Po pewnym czasie „wojnę ojczyznianą” przywołał także prezydent Petro Poroszenko, a ukraińscy politycy i media porównywali trwającą od 26 maja 2014 do 22 stycznia 2015 roku obronę lotniska w Doniecku przed separatystami z obroną twierdzy Brześć (1941) i oblężeniem Stalingradu (1943) – dwoma ważnymi wydarzeniami w kalendarzu sowieckiej historii „wielkiej wojny ojczyznianej”.

Główną przyczyną takiej zależności jest to, że do tej pory na Ukrainie bardziej znana i rozpowszechniona – w porównaniu do narracji podziemia nacjonalistycznego



Fot. East News

► Lwów, „marsz chwały” upamiętniający UPA

– była narracja sowiecka. Jednocześnie postmajdanowe elity polityczne starają się odpowiadać na społeczną potrzebę symbolicznego odgródzenia się od Rosji jako państwa agresora. Przykładem są cztery ustawy „dekomunizacyjne”, uchwalone 9 kwietnia 2015 roku przez Radę Najwyższą Ukrainy. Jedną z nich uznaje weteranów UPA (jak również przedstawicieli wielu innych formacji politycznych) za „walczących o niepodległość Ukrainy”. Warto zaznaczyć, że ten status nie jest równoznaczny z uznaniem żołnierzy UPA za weteranów wojennych i nie gwaran-

tuje (lecz jedynie rekomenduje) nadanie im ulg socjalnych, którymi cieszą się na Ukrainie od 1991 roku weterani formacji sowieckich. Istotne jest również to, że nowy status nie obejmuje członków dywizji SS „Galizien”. Mimo to ustawa została ostro skrytykowana, głównie przez analityków międzynarodowych, m.in. za brak wzmianek o kolaboracji i zbrodni wołyńskiej.

W 2015 roku Ukraina po raz pierwszy świętowała zakończenie II wojny światowej 8, a nie 9 maja (choć ta druga data zachowała status dnia zwycięstwa). W Ki-

jowie nie było parady wojskowej, a w oficjalnych dokumentach wojna została po raz pierwszy nazwana „drugą światową”, która rozpoczęła się w 1939, a nie w 1941 roku. W taki sposób władze w Kijowie nie tylko wyszły naprzeciw europeizacji pamięci historycznej, lecz także zdystansowały się od narracji Putinowskiej, nie zrywając jednak z retoryką zwycięstwa nad faszyzmem i wkładu w nie Ukraińców.

Jedną z pułapek Putinowskiej retoryki zwycięstwa stało się zjawisko, dla którego zaproponowałem określenie „selektywna etniczacja”. W kontekście zwycięstwa nad nazizmem Kreml ciągle akcentuje decydującą rolę narodu rosyjskiego. Mówiąc jednak o Wielkim Głodzie z lat 1932–1933, wspomina o „wielonarodowościowym” składzie sowieckiego Politbiura. Ukraińskim przykładem selektywnej etniczacji może być, z jednej strony, podkreślanie przez ukraińskie media, że to właśnie Ukraińcy walczący w szeregach Armii Czerwonej oswojili więźniów obozu w Auschwitz, z drugiej – obecne w tych samych mediach opowieści o masowych gwałtach dokonywanych przez żołnierzy Armii Czerwonej, utożsamianych tym razem z Rosjanami.

Niewątpliwie Ukraina jest daleka od rozwiązania wszystkich sprzeczności dotyczących pamięci o II wojnie światowej. Jednak – w obliczu aktualnie toczzonej wojny w Donbasie – Ukraińcy pozostają społeczeństwem pluralistycznym, w którym współistnieją różne poglądy, a na poziomie państwowym mają miejsce różne, często niewolne od błędów, próby ich pogodzenia. Uważam, że w poszukiwaniach tego swoistego kompromisu dla Ukrainy nie można zapominać o polskiej pamięci o wojnie. Jednocześnie jednak, w polskich dyskusjach o Ukrainie zawsze warto brać pod uwagę jej postsowiecki rozwój. Tylko odpowiedzialne podejście do specyfiki obu państw i społeczeństw może stać się podwaliną dalszego dialogu polsko-ukraińskiego. ■

dr Andrij Portnow – ukraiński historyk i publicysta

Przekład z języka ukraińskiego:
Magdalena Senczyszyn



„Monter”: dowódca powstania

Katarzyna Utracka

Wielu odwiedzających Muzeum Powstania Warszawskiego jest przekonanych, że siłami polskimi w powstaniu dowodził gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, dowódca Armii Krajowej. Jest to przeświadczenie błędne. Dowódcą Powstania Warszawskiego był gen. Antoni Chruściel „Monter”, komendant Okręgu Warszawa AK.

Jedną z przyczyn tej niewiedzy – wskazuje na to Andrzej Pomian (właśc. Bohdan Sałaciński), historyk, a zarazem oficer Armii Krajowej – jest to, że w niemal wszystkich depešach i komunikatach z przebiegu walk w mieście figurował podpis gen. „Bora”. Innej przyczyny należy upatrywać w tym, że przez długie lata nikt nie napisał biografii „Montera”. Dopiero trzy lata temu w 2012 roku ukazało się długo oczekiwane opracowanie autorstwa Andrzeja Krzysztofa Kunerta (*General „Monter” Antoni Chruściel.*

Komendant podziemnej Warszawy). Nie bez znaczenia pozostaje również to, że gen. Chruściel nie zostawił po sobie wspomnień, w przeciwieństwie chociażby do gen. Komorowskiego. Ukazała się wprawdzie broszura jego autorstwa (*Powstanie Warszawskie*, Londyn 1948), ale ta zwięzła relacja dowódcy Powstania Warszawskiego pozostawia spory niedosyt.

Warto więc przy okazji 71. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego przypomnieć postać gen. „Montera”. Nie tylko dowódcy powstania, lecz także

niezwykle zasłużonej osoby dla rozwoju konspiracji warszawskiej. Człowieka, który na stałe zapisał się w dziejach Warszawy i historii Polski.

Komendant podziemnej Warszawy

Podpułkownik Antoni Chruściel szybko piął się po szczeblach hierarchii konspiracyjnej. W połowie 1940 roku został szefem Wydziału III (taktyczno-szkoleniowego) Okręgu Warszawa-Miasto Związku Walki Zbrojnej. To właśnie ten okręg stanowił centrum oporu i walki

► Dziedziniec Poczty Głównej przy pl. Napoleona (obecnie Powstańców Warszawy); od lewej plk „Monter”, dowódca oddziału „Chwatów” ppor. Lech Sadowski „Wasył” i szef Wydziału Propagandy w BIP KG AK por. Tadeusz Żencykowski „Kania” w rozmowie ze st. sierż. Franciszkiem Jabłońskim „Wilkiem”, dowódcą patrolu w plutonie „Chwatów”; 10 sierpnia 1944 roku

Polskiego Państwa Podziemnego. W październiku 1940 roku Chruściel awansował na szefa sztabu okręgu, a kilka miesięcy później był już jego komendantem (od 1942 roku był to Okręg Warszawa AK). Dodajmy, że tę funkcję pełnił aż do 5 października 1944 roku. Posługiwał się wówczas pseudonimami: „Adam”, „Cięciciwa”, „Dozorca”, „Konar”, „Madej”, „Monter”, „Nurt”, „Ryż”, „Sokół”, „X”.

W ciągu trzech lat stan liczebny okręgu zwiększył się z 298 do ośmiuset plutonów. O swojej służbie komendanta okręgu Chruściel pisał: „Pracowaliśmy po 10 do 12 godzin, nie wyłączając świąt i niedziel. W dni świąteczne urzędowało się kontrolę plutonów i drużyn, gdyż jedynie w dni wolne od pracy zarobkowej można było zbierać szeregowych w celach kontroli. Na normalne zajęcia wyszkoleniowe poświęcali oni przeciętnie cztery godziny tygodniowo”. Jego zasługi dla rozwoju konspiracji warszawskiej docenił gen. Stefan Rowecki, ówczesny komendant główny AK, który we wniosku o awansowanie Chruścienia do stopnia pułkownika napisał: „Na obu stanowiskach [szefa sztabu i komendanta okręgu] wykazał wysokie walory dowódcy i charakteru oraz umiejętności pracy konspiracyjnej”. Niemal dwa lata później wniosek odnaczeniowy

plk. „Montera” o Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami gen. Albin Skroczyński „Łaszcz”, komendant Obszaru Warszawa AK, uzasadnił: „Całkowicie oddany służbie. Uzyskał wyróżniające go wyniki pracy na poprzednim stanowisku szefa Sztabu Okręgu i obecnym k-dta Okręgu”.

Rozwój Okręgu Warszawskiego pod komendą „Montera” doskonale obrazuje ponad trzysta archiwaliów, które w 2008 roku trafiły do Muzeum Powstania Warszawskiego. Odnalazł je podczas remontu jeden z mieszkańców budynku na warszawskiej Ochocie. Dokumenty zapakowane w szczegółowo opisane koperty były ukryte pod parapetem okna. Po ich analizie okazało się, że są one częścią archiwum Komendy Okręgu Warszawa ZWZ/AK z lat 1940–1943. Miejsce odnalezienia dokumentów – Filtrowa 68 m. 48 – jak również kwerenda źródłowa wskazały, że pochodzą one ze skrzynki alarmowej, zwanej Skrzynką Ali, zorganizowanej przez szefową łączności konspiracyjnej Komendy Okręgu Warszawa AK i kierowniczkę kancelarii „Montera”, Stefanię Aluchną „Alę”. Znalezione archiwalia, wiele z nich sygnowanych podpisem komendanta okręgu, wnoszą nowe, niezwykle istotne informacje do dziejów konspiracji warszawskiej. Jest to tym cenniejsze znalezisko, że dysponujemy dość niewielką liczbą dokumentów dotyczących tego tematu. ▶

Przed konspiracją

Antoni Chruściel urodził się 16 czerwca 1895 roku w Gniewczynie Łańcuckiej w powiecie przeworskim. Jego ojciec był rolnikiem, wójtem miejscowej gminy. Jako czternastolatek Antoni podjął działalność w nielegalnym wówczas skautingu oraz w Organizacji Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”, która ukształtowała tak wybitne postaci Polskiego Państwa Podziemnego, jak generałowie Stefan Rowecki „Grot” i Tadeusz Pełczyński „Grzegorz” czy pułkownicy Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba” i Jan Rzepecki „Wolski”. Karierę wojskową rozpoczynał jeszcze w czasie I wojny światowej w armii austriackiej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wstąpił w szeregi odrodzonego Wojska Polskiego. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. We wniosku odnaczeniowym o Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Wirtuti Militari mjr Stanisław Dąbek napisał: „Przez cały czas wojny z bolszewikami odznaczał się osobistą odwagą, wielką inicjatywą i umiejętnością prowadzenia kompanii. Był w każdej walce przykładem”. Wkrótce Chruściel podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Ożenił się z Walerią Strońską, a w latach 1925 i 1928 przyszły na świat jego dwie córki: Kazimiera Wanda (używała drugiego imienia) oraz Jadwiga. Przez kolejne lata piął się po szczeblach kariery wojskowej. Już w 1926 roku otrzymał awans na majora. Rok później został mianowany dowódcą batalionu. Po ukończeniu w 1931 roku Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie uzyskał dyplom oficerski. W opinii końcowej komendant szkoły, gen. Tadeusz Kutrzeba, napisał: „Doskonały znawca działań piechoty. Nadaje się na każde stanowisko w sztabie oraz jako wykładowca taktyki w szkolnictwie. Doskonały typ oficera liniowego”. Następnie Chruściel był wykładowcą w szkołach wojskowych, a także dowódcą w Brześciu nad Bugiem, gdzie zastał go wybuch wojny. Jako dowódca 82. Syberyjskiego Pułku Strzelców im. Tadeusza Kościuszki walczył ze swoimi podkomendnymi aż do 29 września 1939 roku. Dzień wcześniej, zgodnie z rozkazem gen. Juliusza Rómmla – za wybitne zasługi dowódcze, męstwo i poświęcenie – został odznaczony Złotym Krzyżem Orderu Wojennego Wirtuti Militari. Po kapitulacji twierdzy Modlin dostał się do niewoli niemieckiej i został osadzony w obozie przejściowym w Działdowie, z którego został zwolniony w końcu października tegoż roku.

▶ Dowódca Powstania Warszawskiego
plk/gen. Antoni Chruściel
„Monter”

Dowódca Powstania Warszawskiego

W drugiej połowie lipca 1944 roku trwały intensywne przygotowania do powstania. Pułkownik „Monter” odbywał codziennie odprawy we wspomnianym lokalu przy ul. Filtrowej 68. Kiedy 31 lipca po południu dowódca Armii Krajowej, gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, po porozumieniu się z Delegatem Rządu RP na Kraj i wicepremierem Janem Stanisławem Jankowskim „Sobolem” wydał rozkaz rozpoczęcia akcji zbrojnej następnego dnia o 17.00, płk „Monter” udał się do kwatery swego sztabu przy ul. Filtrowej, gdzie o godz. 19.00 podpisał następujący rozkaz: „Alarm – do rąk własnych. Nakazuję »W« dnia 1.VIII godzina 17.00. Adres m.p. Okręgu: 35 7 2 26 62 85 [Jasna] – 22 m. 20 czynny od godziny »W«”.

1 sierpnia ok. 15.00 sztab okręgu wraz z płk. „Monterem” zebrał się w budynku przy ul. Jasnej 22 m. 20. Przed 17.00 powstańcy z Oddziału Dyspozycyjnego „B”

warszawskiego Kedywu opanowali pobliski hotel „Victoria” przy ul. Jasnej 26, który stał się pierwszą kwaterą dowódcy powstania. Po zbombardowaniu hotelu, 4 sierpnia, kwaterę przeniesiono do gmachu PKO przy ul. Jasnej 9 róg Świętokrzyskiej. Miesiąc później budynek PKO został zbombardowany i kwaterę „Montera” ulokowano w kinie „Palladium” przy ul. Złotej 7/9, gdzie pozostała do końca powstania.

Pułkownik „Monter” jako komendant Okręgu Warszawa AK objął dowodzenie nad całością sił powstańczych w Warszawie, łącznie z podporządkowanymi taktycznie oddziałami innych organizacji. Koordynował współdziałanie między dzielnicami, przyjmowanie i rozdział rzutów lotniczych, inspekcjonował odcinki bojowe. Nie były to jednak proste zadania. Działania niemieckie podzieliły Warszawę na odseparowane od siebie ogniska walki, rozdzielone siłami wroga. Utrzymanie łączności między poszczególnymi rejonami i dzielnicami miasta

► Generał Antoni Chruściel „Monter” (w środku)



stało się prawie niemożliwe. Ponadto dowództwo AK zakładało, że walki potrwać najwyżej kilka dni, po czym do Warszawy wkroczą oddziały Armii Czerwonej. Tak się jednak nie stało. Walki były trudniejsze, niż przewidywano.

Na barkach „Montera” spoczywały nie tylko ciężar dowodzenia, ale również współpraca z władzami cywilnymi w sprawach bezpieczeństwa, aprowizacji i opieki nad bezdomnymi, których w miarę przedłużania się walk stałe przybywało. Zachowały się rozkazy dowódcy powstania, które normowały wszelkie sprawy związane z prowadzeniem walki i życiem codziennym (opieką medyczną, aprowizacją, umundurowaniem, wymiarem sprawiedliwości, obroną przeciwpożarową i przeciwlotniczą, awansami, odznaczeniami itp.). „Monter” wysyłał również meldunki sytuacyjne do dowódcy AK, który w pierwszych dniach powstania urzędował na Woli, następnie na Starym Mieście i dopiero pod koniec sierpnia przeniósł się do Śródmieścia. O podziale kompetencji między Komendą Główną i Komendą Okręgu Warszawa AK gen. „Monter” pisał: „Faktem jest, że na terenie Warszawy dowodziłem oddziałami bezpośrednio ja – jako komendant okręgu warszawskiego. Generał »Bór«, jako dowódca całości A.K., dowodził na swym szczeblu, nie wkraczając w moje kompetencje. W poszczególnych wypadkach, jak to miało miejsce na Stawkach, Żoliborzu, gdy łączność moja z dowódcami tych ośrodków walki była zerowa, a sytuacja wymagała natychmiastowych zarządzeń, generał »Bór«, znajdując się właśnie w tym rejonie, wydawał bezpośrednio rozkazy moim podkomendnym”.

Dowódca powstania starał się być blisko swoich żołnierzy i ich problemów. Prawie każdego dnia prowadził inspekcje oddziałów, odwiedzając najdalej wysunięte placówki. Niezwykle trafnie scharakteryzował go mjr Kazimierz Larys „Adwokat”, szef Wydziału V (łączności) Komendy Okręgu Warszawa AK: „Wybitny żołnierz, który doskonale rozumiał ciężar odpowiedzialności na swoich barkach. Był pełen entuzjazmu dla powstania [...]. Ofiarą jako żołnierz w obliczu nie-

bezpieczeństwa, chodził do pierwszych linii bojowych i miał zawsze kontakty ze swoimi żołnierzami i z dowódcami na poszczególnych odcinkach. Żołnierze nieraz byli zaskoczeni, że w takich miejscach, gdzie rzeczywiście było niebezpiecznie, w nocy, generał w eskorcie jednej ze swoich córek zjawiał się na odcinku”. Należy w tym momencie dodać, że obie córki „Montera” – ppor. Wanda Chruściel „Kalina” (zmarła w 2006 roku) i łączniczka Jadwiga Chruściel „Kozaczek” – były żołnierzami Armii Krajowej i uczestniczkami Powstania Warszawskiego.

„Monter” za „wybitne dowodzenie całością walk w Warszawie” 18 sierpnia 1944 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Wojennego Virtuti Militari, a niespełna miesiąc później Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, uznał jego zasługi, awansując go do stopnia generała brygady.

W ostatnim, pożegnalnym rozkazie do żołnierzy powstańczej Warszawy gen. „Monter” napisał: „Po wypełnieniu naszego żołnierskiego zadania do końca, pokonani nie przez nieprzyjaciela, lecz przez niedostatek i głód – musimy przerywać walkę. Złożenie broni jest dla bitnego żołnierza najcięższą chwilą w życiu”. Dowódca powstania wyszedł do niewoli 5 października z oddziałami Śródmieścia Północnego. Niemcy proponowali mu przewiezienie samochodem. On jednak odmówił, nie chcąc zostawiać swoich żołnierzy. Dopiero w rejonie Dworca Zachodniego nastąpiło przymusowe oddzielenie dowódcy od podkomendnych. Wywieziono go do oflagu Langwasser, po czym przebywał w Colditz koło Lipska, skąd uwolniły go oddziały amerykańskie.

Emigrant z przymusu

Po zakończeniu wojny Antoni Chruściel wiódł żywot emigranta w Londynie. Pracował tam m.in. jako drugi zastępca Szeffa Sztabu Głównego Polskich Sił Zbrojnych, inspektor Komisji Likwidacyjnej, a od marca 1947 roku członek Rady Naczelnej Koła Żołnierzy Armii Krajowej. W 1946 roku – decyzją Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zdominowanego przez komunistów – został po-



J. Sielicka, MPW

► Dzwon „Monter” w Murze Pamięci przy Muzeum Powstania Warszawskiego

zbawiony obywatelstwa polskiego, co uniemożliwiło mu planowany powrót do kraju. Decyzję tę uchylono, bez podawania tego do publicznej wiadomości, dopiero jedenaście lat po śmierci „Montera”. W 1956 roku Chruściel przeniósł się do Stanów Zjednoczonych – do Waszyngtonu, gdzie do końca życia pracował jako tłumacz i radca prawny.

Generał źle się czuł na emigracji. Tęsknił za krajem i wielokrotnie deklarował chęć powrotu, czemu dawał wyraz w licznych listach, adresowanych m.in. do płk. Jana Rzepeckiego, w konspiracji szefa Biura Informacji i Propagandy KG AK. W jednym z nich pisał: „W maju 1945 r. chciałem dopłynąć do wschodniego brzegu, ale fala odrzuciła mnie gwałtownie w kierunku przeciwnym. Wbrew mej woli znalazłem się w obcym mi świecie anglosaskim. [...] Opanowałem język w słowie i piśmie i daję sobie radę w rozmowach. Rysują się tu pewne możliwości okazania się pożytecznym. Ale mimo wszystko tęsknię za swoją ziemią, gdzie najładniej słońce świeci, najpiękniejsze kwiaty rosną i najlepsi ludzie żyją. Trudni do prowadzenia, tak jak i my obaj, ale tacy jedyni”. Był tak zdeterminowany, że na fali nadziei związanych z dojściem Władysława Gomułki do władzy, zwrócił się doń listownie

z prośbą o przywrócenie obywatelstwa polskiego i zgodę na powrót do kraju. Nie otrzymał jednak żadnej, nawet odmownej odpowiedzi.

Generał Antoni Chruściel „Monter” zmarł 30 listopada 1960 roku w Waszyngtonie, gdzie został pochowany. W dziesiątą rocznicę śmierci z inicjatywy Polonii amerykańskiej jego szczątki przeniesiono do sanktuarium w Doylestown w Pensylwanii, nazywanego amerykańską Częstochową. Wielkie marzenie „Montera” o powrocie do kraju spełniło się dopiero w 60. rocznicę Powstania Warszawskiego. Wówczas to urny z prochami generała i jego żony Walerii zostały sprowadzone do Polski i uroczyste złożone na Stołecznym Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Pamiętki po generale

W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajdują się nieliczne, ale szczególnie cenne pamiętki po gen. „Monterze”. Najważniejsza z nich to białoczerwona opaska powstańcza z numerem jeden. Jest ona eksponowana, obok stu innych należących do podkomendnych generała, w szklanej gablocie przecinającej wszystkie poziomy wystawy. Można zobaczyć również mundur generała z okresu po wyzwoleniu z oflagu. Te cenne eksponaty przekazały do muzeum córki generała z okazji otwarcia wystawy w 2004 roku. Cztery lata później córka Jadwiga przekazała kolejne pamiętki po ojcu. Tym razem były to najwyższe polskie odznaczenia wojskowe – trzy Krzyże Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Odwiedzając Muzeum Powstania Warszawskiego, warto również zwrócić uwagę na dzwon „Monter”, poświęcony pamięci dowódcy powstania, zainstalowany w centralnej części Muru Pamięci w Parku Wolności przy budynku muzeum. Pierwszy raz zabił on 31 lipca 2004 roku, kiedy to prezydent Warszawy Lech Kaczyński uroczysto otworzył muzeum. Odtąd dźwięk dzwonu rozbrzmiewa co roku 1 sierpnia o 17.00. 🇵🇱

Katarzyna Utracka – historyk, zastępca kierownika Działu Historycznego Muzeum Powstania Warszawskiego

Głos Polski spod Londynu

Piotr Stanek

Jeśli ktoś w okupowanej Polsce włączył 10 września 1942 roku zakazane przez Niemców radio, usłyszał głos Jana Karskiego: „Tu mówi tajna radiostacja warszawska [...]. Mówimy do Was z Warszawy, dziś cierpiącej iubożalej, ale nie uległej, z której możemy być dumni, że godna jest być stolicą wielkiego państwa. [...] Warunki, w jakich odbywa się nasza audycja, nie pozwalają na dłuższe jej trwanie”.

Niemieckie służby goniometryczne, zajmujące się namierzaniem radiowym, bezskutecznie poszukiwały miejsca, skąd od tej pory codziennie nadawała (fonicznie, nie Morsem!) nowa radiostacja. Dopiero w lutym 1944 roku gestapo w Generalnym Gubernatorstwie otrzymało informację o właściwej lokalizacji rozgłośni. Przez długi czas szukano jej w Warszawie i w okolicach, a ona nadawała... spod Londynu.

„Hallo Burza – mówi Czeremcha”

Radiostacja „Świt” (w korespondencji z krajem używano m.in. kryptonimu „Anusia”) została utworzona przez specjalny departament brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odpowiedzialny za prowadzenie tzw. czarnej propagandy. Ta nowa tzw. czarna radiostacja, która nadając z terenu Wielkiej Brytanii, pozorowała stację krajową, miała podnosić ducha oporu i zachęcać do walki z okupantem.

Brytyjczycy przekazali radiostację premierowi Władysławowi Sikorskiemu. Autorami audycji i spikerami byli wyłącznie Polacy, obsługą techniczną

► Stefan Korboński, specjalny krajowy korespondent rozgłośni „Świt”, z żoną Zofią – szyfrantką i łączniczką



Fot. AAN

zajmowali się zaś Brytyjczycy. Stacja miała – oprócz wspierania na duchu walczących Polaków i osłabiania morale Niemców – podnosić w Polsce prestiż Wielkiej Brytanii i innych aliantów. Miała także politycznie instruować żyjące pod okupacją społeczeństwo, pomagać w organizowaniu samoobrony przed Niemcami, a przede wszystkim „mówić to, czego Rząd Polski oficjalnie mówić nie może od siebie, ale na co chciałby móc się powołać jako na głos z kraju wobec opinii z kraju, czy też nawet wobec własnego społeczeństwa”.

Szczególnie trudną i delikatną kwestią był stosunek do ZSRR i komunistów krajowych. Zgodnie z wolą władz brytyjskich, dyrektywy polityczne obliżowały radiostację do niewyrażania negatywnego stanowiska wobec Sowietów, pozwa-

lały jedynie na zwalczanie polskich komunistów.

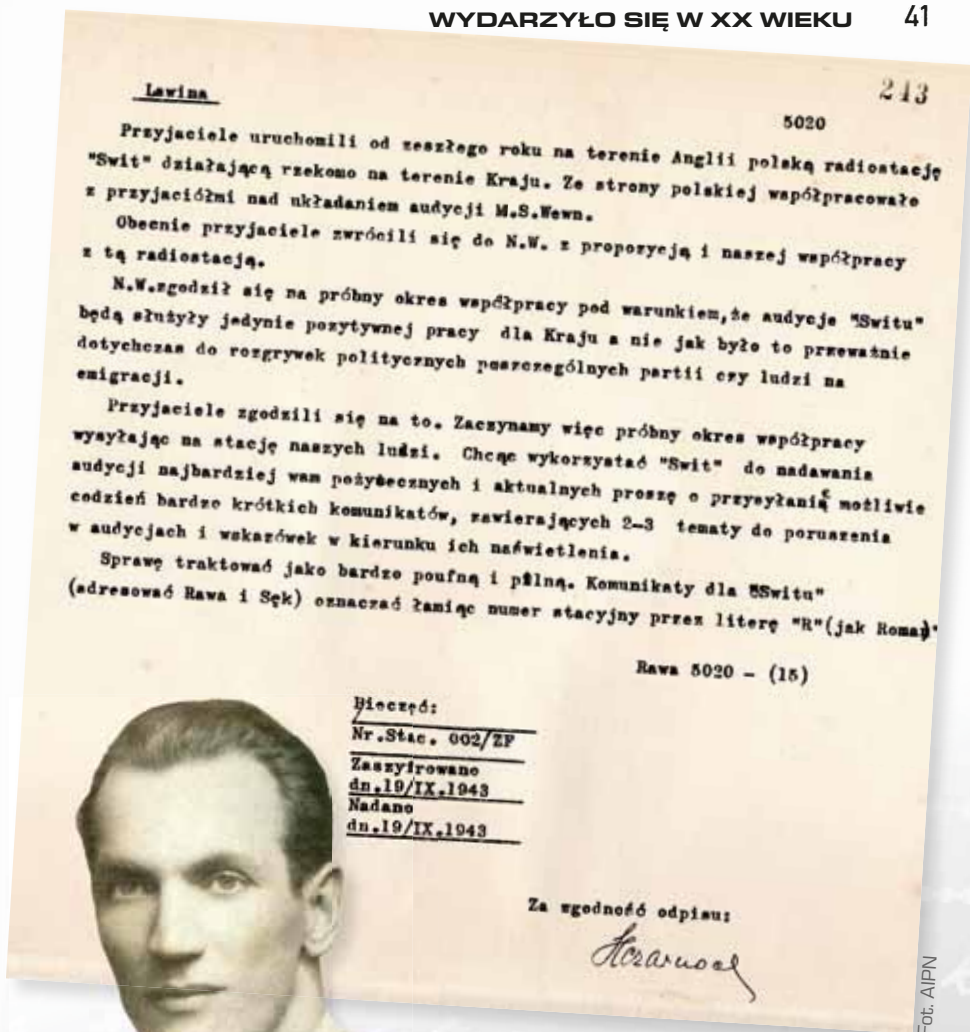
Mimo że audycje nadawali Polacy, Brytyjczycy zastrzegli sobie prawo do ingerencji cenzorskich, nie mieli jednak prawa narzucać Polakom żadnej wiadomości czy interpretacji; mogli jedynie wysuwać sugestie. Zakres swobody był nieco większy niż sekcji polskiej BBC czy nadającego na falach BBC Polskiego Radia. Jednak w praktyce bywało różnie.

Rozgłośnia została zlokalizowana w tajnym ośrodku opodal Bletchley koło Londynu (na krótko przeniesiono ją do Amersham), pozorowała zaś przenośną radiostację rzekomo nadającą z różnych miejsc w Polsce. Zastosowanie fali kierunkowej, opadającej na Polskę z odbicia, powodowało, że sygnał – w przeciwieństwie do sygnału Polskiego Radia czy sek-

cji polskiej BBC – był prawie niesłyszalny na Wyspach. Aby lepiej uwiarygodnić polską lokalizację, uciekano się do najrozmaitszych sposobów: przerywano audycje w pół zdania, rzekomo z uwagi na grożące niebezpieczeństwo, dodawano nagranie szczekającego psa, co miało sugerować, że transmisja odbywa się akurat na wsi, emitowano tajemnicze szyfry i kryptonimy (np. „Hallo Burza – mówi Czeremcha”), a nawet napomykano o aktualnie panującej pogodzie w Warszawie. Triki te na niewiele by się zdały, gdyby nie najnowsze wiadomości z kraju od specjalnego korespondenta, który informacje te codziennie zbierał i dostarczał do Londynu. Korespondentem tym był Stefan Korboński „Nowak”, w Polskim Państwie Podziemnym stojący na czele Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC). Plan działania „Świtu” był uzależniony głównie od wiadomości nadsyłanych przez Korbońskiego i KWC, choć stacja wykorzystywała także inne materiały. Dlaczego akurat Korboński? Otóż 2 sierpnia 1941 roku nawiązał on odrębną łączność radiową z władzami naczelnymi RP w Londynie i używał szyfru, którego nie udało się Niemcom złamać, bo tylko trzy osoby wiedziały, że jego podstawą jest powieść Józefa Wittlina *Sól ziemi*. Współpracownicy Korbońskiego nadawali – oprócz depeš – także jego przemówienia retransmitowane przez zachodnie stacje. A przecież niemieckie służby goniometryczne mogły namierzyć radiostację. Dlatego ich praca była niesamowicie ryzykowna.

Postrach Sturmführerów

Radiostacja mogła działać skutecznie, pod warunkiem że informacje napływały jak najszybciej i że było ich jak najwięcej. Z czasem opracowano sposób, który umożliwiał podawanie przez „Świt” wiadomości jeszcze tego samego dnia, w którym miały miejsce wydarzenia. „Wychodziłem wcześniej na miasto – wspominał Korboński. – Rozpoczynałem w ten sposób polowanie za jakąś sensacyjną wiadomością, która by dała »Świtowi« temat do audycji tego samego lub następnego dnia. Jeżeli nie-szczęście chciało, że Niemcy w nocy –



▶ Jan Karski (właśc. Koziulewski), kurier i emisariusz władz Polski Podziemnej, redaktor radiostacji „Świt”

na przykład – rozplakatowali listę osób rozstrzelanych [...] lub rozlepili jakieś rozporządzenie, lub też w ogóle coś się stało, o czym całe miasto mówiło, wówczas wracałem do kryjówki i po ułożeniu tekstu i zaszifrowaniu go przez Zofię [Korbońską – żonę Stefana], depeša wędrowała na stację, tak by zdążyć na rozpoczęcie pracy z Londynem. [...] Wieczorem słyszymy je nadawane przez »Świt«, rozbudowane i skomentowane. Słyszą je tysiące Polaków, słuchających w kraju radia potajemnie, nie bacząc na grożącą im za to karę śmierci”.

▶ Depesza do gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, informująca o powstaniu rozgłośni „Świt”

Żaden Polak czy Niemiec nie był w stanie wyobrazić sobie, że w ciągu czterech godzin (uwzględniając różnicę czasu) można z innego miejsca niż Warszawa lub jej najbliższe okolice nadać audycję nawiązującą do wydarzenia z tego samego dnia. A radiostacja Korbońskiego z wyprzedzeniem informowała także o tym, co ma się ukazać w podziemnej lub w „gadzinowej” prasie. Jak? Współpracujący z nim drukarze dostarczali mu mokre jeszcze płachty „gadzinówek”, zanim trafiały do sprzedaży. Dzięki temu wieczorne audycje rozgłośni mogły rozpoczynać się słowami: „Dzisiejszy »Nowy Kurier Warszawski« przynosi wiadomość”. Był to koronny – w mniemaniu odbiorców – dowód na to, że jest to rozgłośnia krajowa. System spisywał się na medal.

W prasie podziemnej informowano o istnieniu tajnej radiostacji „Świt”, podając jednocześnie godziny jej pracy oraz długości fal, na których można było jej słuchać. Audycje były pilnie śledzone i kontrolowane przez Niemców, którzy bezskutecznie szukali owej mitycznej krajowej radiostacji fonicznej. „Świt” ogłaszał nazwiska i funkcje Niemców wyróżniających się szczególnym okrucieństwem, wyliczał ich zbrodnie i ostrzegał przed dalszym takim postępowaniem. Niekiedy tak napiętnowany Niemiec łągodził swe poczynania, obawiając się podziemnego wymiaru sprawiedliwości, wiedział bowiem o tym, że wiele takich wyroków zostało wykonanych. „Ja specjalizowałem się w ostrzeżeniach oraz wyrokach śmierci – wspominał Czesław Straszewicz, spiker radiostacji „Świt”. – Nie znając języka niemieckiego, ćwiczyłem się w poprawności wymawiania nazwisk różnych Sturmführerów i Obersturmführerów, aby ich z właściwym umlautem nastraszyć. Te ostrzeżenia na nas samych robiły ogromne wrażenie. Tym bardziej jeśli po nadanym ostrzeżeniu przychodziła wiadomość o wykonanym wyroku śmierci. Owa kampania ostrzeżeń, prowadzona z ramienia Polski Podziemnej, siała panikę wśród dręczycieli na Pawiaku, w Oświęcimiu czy też na Majdanku. Jak nam depeszo-



Fot. NAC

▶ Czesław Straszewicz, spiker rozgłośni „Świt”, prozaik, po wojnie współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa

wano, zapobiegła niejednej zbrodni”.

Redaktorami byli tzw. ludzie zaufania czterech stronnictw konspiracyjnych. Pierwsze audycje przygotowali Witold Mieczysławski, Stefan Świetlik oraz wspomniany już Jan Karski (właśc. Kozielewski). Później dołączyli: Janusz Laskowski (jesienią 1943 roku zastąpiony przez Stanisława Młodożeńca), Czesław Straszewicz, Tadeusz Kochanowicz, Walentyna Pacewicz (sekretarka), a także Tadeusz Chciuk-Celt, który wprowadził specyficzny sygnał rozpoznawczy rozgłośni: graną na fujarce melodię „Bar-

toszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei”. Mimo różnic politycznych wszystkim przyświecał wspólny cel – by ich działalność pomagała w walce z III Rzeszą. Ten dowód harmonii Straszewicz podsumował następująco: „W naszym składzie byli piłsudzczy, którym nikt nie przeszkadzał w nadawaniu pięknych audycji w dniu imienin Marszałka; byli w nim PPS-owcy, którzy krzepili robotników wspomnieniami o Daszyńskim i Niedziałkowskim; i byli, owszem, ludowcy, którzy znowuż ujmowali się za chłopami masakrowanymi na Zamojszczyźnie i pisali piękne wiersze o Rataju i Witosie”.

Wymóg pozorowania nadającej codziennie stacji krajowej „niewątpliwie utrudniał pracę, zmuszał pracowników do morderczego tempa i całodobowej aktywności. W dodatku była to praca [...] czysto umysłowa, ogromnie odpowiedzialna. Wszyscy uczestnicy tego przedsięwzięcia zdawali sobie przeciw sprawę, że wykonują swego rodzaju brudną robotę, polegającą na oszukiwaniu nie tylko wroga, ale i słuchaczy w Polsce. Pracownicy [...] udają bohaterów. Udają, że nad głowami ich czai się gestapo, że są głodni, zmarznięci, że rzucili swoje życia na szalę śmierci i walki. Ale w rzeczywistości są [...] pełni doskonałego jedzenia, żyją w ciepłe, są bezpieczni i otrzymują wysokie pensje. Pisząc, myśląc, przemawiając, muszą zdawać sobie z tego sprawę. Muszą wczuć się w kraj i w swoją rolę” – wspominał Straszewicz. Dla słuchaczy radiowcy pozostawali anonimowi. Wiedzieli również, że nie należy przesadzać z lojalnością wobec gospodarzy – Brytyjczyków, którzy przecież zamierzali przede wszystkim forsować własne interesy polityczne.

W Polsce tajemnicę tego przedsięwzięcia znało początkowo niewielkie grono osób, m.in. delegat rządu RP na Kraj i komendant główny AK. „Świt” był tajemnicą gen. Sikorskiego, początkowo tak ścisłą, że sam Korboński przekonywał wielu najwyższych przedstawicieli władz podziemia, iż jest to radiostacja krajowa, kierowana przez niego samego. Budziło to zazdrość innych. Podejmowali różne wysiłki, by

▶ Tadeusz Chciuk-Celt, redaktor rozgłośni „Świt”, po wojnie zastępca dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa



Fot. NAC

Dla Nowaka - jego nowym szyfrem

2

Po za [redacted] 1 rozpoczęła pracę Anusia. Jej zadanie - 2 [redacted]
 [redacted] tak jak 3 - a więc 4. Nasze czynniki z Anusią współpracują
 - ale bez odpowiedzialności - mamy jednak wpływ na 5. Dajemy
 własne 6 całokształtu 7 - i tu nakreślamy potrzebną linię -
 szczególnie aktualizując 8. [redacted] musimy poruszać 9 - 1 codziennie -
 ale brak nam jeszcze materiału. Znaczenie Anusi może być duże -
 gdyż będzie się można tutaj na nią powoływać. Spodziewamy się
 że Anusia ułatwi pracę 10 - może dawać ogólne 10 zachowania się
 wobec 11 oraz 12 te okolice 1 - gdzie 13 słabo docierają. Może
 dawać 6 dla 14. Wyjaśnijcie nam czy Anusia powiększy 15 czy też
 raczej skieruje 16 na fałszywe tory i ułatwi pracę 3. Komunikujcie
 systematycznie czy 17 dobrze 18 - krytykujcie 5 oraz 6 - ale
 rozumiejcie brak materiału odnośnie 9 - 1. Wadzącej własne
 uwagi - co przede wszystkim 19 oraz zasilajcie 13 z dnia - 20 -
 21 - 22 - 23 - 24 - 25 - 26 - [redacted] likwidacja 27 - 28 - ceny
 - 29 - ich 30 - 31 - 32 i tak dalej. Ty te 13 opracujemy i niszczą
 cznie podamy przez Anusią. Złazajcie do nas postulaty do 33 -
 podamy je: wyżej. Całość traktujcie jako bardzo poufny i trudny
 do prowadzenia ale wydajny 34. Stem. nr .

zdożyć dostęp do mikrofonu rozgłośni. Tajemnica radiostacji została ujawniona dopiero po śmierci Sikorskiego. Dlatego zarówno w okupowanym kraju, jak i w Wielkiej Brytanii krążyło wiele plotek. Zdaniem niektórych, rozgłośnia miała być umiejscowiona w... Moskwie, inni twierdzili, że nadaje z pokładu jednego z brytyjskich statków, a pewna zachodnia gazeta zaliczyła nawet „Świt” do grupy tajnych radiostacji kierowanych przez... Niemców.

Powstańcza mordęga

Sytuacja „Świtu” pogorszyła się znacznie po przerwaniu w kwietniu 1943 roku polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. Brytyjczycy uznali, że należy zawiesić działanie stacji aż do wyjaśnienia sytuacji. Po kilkutygodniowej przerwie, 2 sierpnia, radiostacja wznowiła pracę. Zmieniono nieco treść audycji. Zrezygnowano z podawania tych wiadomości, które łatwo można było znaleźć w innych mediach. Nacisk położono na instrukcje dotyczące zachowania się wobec okupantów. Planowano również rozszerzyć działalność na Ukrainę i Litwę, a nawet Estonię.

Brytyjcy mocodawcy odmawiali emisji programów na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku. Wyjątkowo zezwolili na nadanie 29 lipca krótkiej audycji wieczornej, poświęconej ogólnemu omówieniu sytuacji w Warszawie. Nie wyrazili jednak zgody na nadanie 1 sierpnia audycji z informacją o wybuchu Powstania Warszawskiego. Spikerów wysłano... na urlop. Zakaz zniesiono dopiero 4 sierpnia i od tej pory programy koncentrowały się na omawianiu walk toczonych w Warszawie. Ton tych audycji był starannie wyważony – z jednej strony, by nie dawać przesadnych nadziei, z drugiej zaś – by nie siać nastrojów klęski.

Sugestywny opis pracy rozgłośni w czasie Powstania Warszawskiego zawarł we wspomnieniach Straszewicz: „Po wybuchu Powstania deszcz depezb z Warszawy; zaczęliśmy otrzymywać obfitość, jak dotąd nigdy. Depesze napływały co pół godziny. Wymagało dużej

► Szyfrowana depesza wraz ze słownikiem do szyfru, informująca Stefana Korbońskiego o powstaniu rozgłośni „Świt” i zawierająca wytyczne dla niego jako korespondenta

Dla Nowaka - jego nowym szyfrem.

3

Podajemy słownik do nr [redacted] który nadal będziemy stosowali i uzupełniali.

- 1 - krajem
 2 - mówić.
 3 - tajna stacja nadawcza w kraju.
 4 - imitować.
 5 - program.
 6 - naświetlenia.
 7 - polityka zagraniczna.
 8 - stosunki polsko-sowieckie.
 9 - [redacted] wydarzenia. kxx
 10 - instrukcje.
 11 - okupanci.
 12 - informować.
 13 - wiadomości.
 14 - tajna prasa krajowa.
 15 - terror.
 16 - inwigilacja.
 17 - audycja.
 18 - słychać.
 19 - nadawać.
 20 - prześladowania.
 21 - łapanki.
 22 - wysiedlenia.
 23 - pobór do robót przymusowych.
 24 - pobór rekruta.
 25 - volksdeutsche.
 26 - renegaci.
 27 - Ghetta.
 28 - sprawy gospodarcze.
 29 - zapowietwienie okupantów.
 30 - bałagan administracyjny.
 31 - dezercje z frontu.
 32 - tarcia między wojskiem i Gestapo.
 33 - Alianci.
 34 - instrument polityczny. Espe. nr .

Nota dla korespondenta Amur

Nota dla Salamandry.

I. Co do trzeci to uchodzi ona powszechnie za robotę krajową, o której wszyscy mówią z wielkim namiętnością. Odczytuje ona wielką rolę. Co do trzeciej audycji to z uwagami, które się mnie dochodzą, nie należy się lękać. Wynikają one bowiem z szkieletu politycznego na tak ważny instrument,

Fot. AIPN

z zatwardziałości, żeby je na gorąco przerabiać na tekst. Przerabiał się. Mówiło się. Dzień po dniu zrywało się gardło. Gardłem człowiek robił huk bomb i rozpadających się murów, oraz walkę, triumf i rozpacz. Robiło się w »Świcie«, co się mogło. Orało się... Całe piekło warszawskie na małych zwitkach papieru przeszło przez nasze ręce. [...] Walki o Stare Miasto i ulica Piusa z jeńcami przywiązanymi do tygrysów i panter, i wszystkie naloty sztuków, i wszystko po kolei. Oblędna radość z pierwszego nalotu awionów południowoafrykańskich wraz z koniecznym żądaniem, żeby ogłosić, iż strąceni Brytyjczycy zostali pochowani jak relikwie; i codzienne biuletyny o zbliżaniu się i oddalaniu huku sowieckich armat. A gdy się miało pod koniec tego wszystkiego, dano znać o zrzutach sowieckich z amunicją, która nie pasowała do posiadanej w Warszawie broni. [...] W czasie Powstania człowiek robił, co mógł, nateżał się, jak umiał, grzmiał w mikrofon i zmordowany, jak nieboskie stworzenie, kładł się spać”.

W czasie Powstania „Świt” zdobył drugiego, po Korbońskim, korespondenta powstańczej Warszawy. Był nim brytyjski oficer lotnictwa, por. John Ward, były jeńiec wojenny. Został uznany za oficjalnego korespondenta dziennika „The Times” i korzystając

z systemu łączności „Nowaka”, nadał aż 65 depesz o przebiegu walk.

Po upadku powstania audycje „Świt” (pracującego w okrojonym składzie) koncentrowały się głównie na opisywaniu losu przymusowo wysiedlonej ludności Warszawy: „Mówiliśmy o pędzeniu umęczonych ludzi do obozu w Pruszkowie. Opisywaliśmy warunki bytowania w brudnych halach warsztatów kolejowych, z których Niemcy już poprzednio wywieźli sprzęt naprawczy. Mówiliśmy wreszcie, że wiele osób cywilnych zesłanych zostało do obozów koncentracyjnych, a ogromna liczba ludzi została odtransportowana do Niemiec na przymusowe roboty” – wspominał Straszewicz. W ostrych słowach wypominano brytyjskiemu premierowi Winstonowi Churchillowi porzucenie sojuszniczej Polski, mimo jej ofiar i wysiłków.

24 listopada 1944 roku podał się do dymisji premier Stanisław Mikołajczyk. Decyzja ta stworzyła nową sytuację. Od tej pory Brytyjczycy cenzurowali każdą depeszę pochodzącą od rządu polskiego i jego agend oraz wszystkie depesze przychodzące. 30 listopada „Świt” zlikwidowano, a ostatnią audycję nadano trzy dni wcześniej. Zbieżność dat dymisji Mikołajczyka oraz zamknięcia stacji nie była przypadkowa. Zdaniem niektó-

rych, rozgłośnia była oddana do niemal prywatnej dyspozycji Mikołajczyka, ale tylko jako premiera.

„Mówić, jak czują Polacy”

Stacja nie była tylko kolejną tubą propagandową na użytek aliantów zachodnich. Trafnie ocenił to Straszewicz: „Nasi ofiarodawcy, Anglicy, chcieliby, abyśmy tylko podsycali opór polski przeciw Niemcom i mieli taki raczej spontaniczny charakter. W porządku. Ale nie możemy przy tym zaniedbywać innych spraw. Musimy być czujni na niebezpieczeństwo ze Wschodu, przypominać los dzieci polskich wymierających na Syberii i oficerów polskich, wygrzebanych właśnie w Katyniu. Musimy być stacją polityczną, gdyż jesteśmy stacją polską, nas obchodzi Polska i własny kraj. Musimy mówić albo tak, jak myślą i czują Polacy, albo natychmiast zamilknąć”.

W odróżnieniu od wielu innych, „Świt” nie był stacją brytyjską, nadającą w języku polskim i udającą polskie radio. Była to stacja polska, udająca tajną placówkę w kraju. Rozgłośnie tę, reprezentującą interesy ogólnonarodowe, kontrolował legalny rząd polski w Londynie. Radio informowało o życiu w okupowanym kraju, przede wszystkim o zbrodniach niemieckich i sowieckich, w tym o Zbrodni Katyńskiej, o likwidacji getta warszawskiego, o przebiegu Powstania Warszawskiego, o niemieckich doświadczeniach na więźniarkach w Auschwitzu. Przełamując informacyjny monopol okupanta, wywierało tym samym pewien wpływ na kształtowanie wydarzeń politycznych. Zdaniem Zofii Korbońskiej, dostarczane do rozgłośni depesze z kraju znacząco pomogły Stanisławowi Mikołajczykowi objąć fotel premiera rządu RP na emigracji. W opinii niektórych, powojenna Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa Jana Nowaka-Jeziorańskiego w pewnej mierze nawiązywała do „Świt”.

Fot. AIPN

dr Piotr Stanek – kierownik Działu Naukowego Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, autor m.in. biografii *Stefan Korboński (1901–1989). Działalność polityczna i społeczna* (2014)



Dla Nowaka.

Amusia podaje - trzynastcie - po raz ostatni drugiego sierpnia rano - potem przerwa ok. 10 dni. W połowie przyszłego tygodnia daj im sześć siedemnaście do czternaście te szesnastcie i dwadzieścia uniemożliwiły wszystkie wysiłki aby ponowić dziewiętnastcie jaknajszybciej. O dokładnej dacie zawiadomimy - prosimy telegrafować treść trzynastcie i gdzie była umieszczona. Espe. 28.7.



Sürgünlik znaczy wygnanie

Magdalena Semczyszyn

Deportacja Tatarów krymskich była ostatnim aktem rozpoczętej w początkach lat dwudziestych sowieckiej polityki narodowościowej na Krymie. W roku 1944 – gdy szala wojennego zwycięstwa przechylała się na stronę Stalina – Tatarzy padli ofiarą sowieckiego triumfu. Sürgünlik (krym.-tat.) – „wygnanie”, które niebawem stało się ich udziałem, do dziś jest największą raną w pamięci zbiorowej tej społeczności.

Półwysep Krymski od wieków kusił swą atrakcyjnością ludy Europy i Azji. Około roku 1223 najechali na niego władcy seldżuccy z Anatolii, rozpoczynając etap długotrwałej kolonizacji tureckiej. W okresie panowania Złotej Ordy, powstałej po podziale imperium Chyngis-Chana w 1227 roku, zaczęli napływać na Krym pierwsi osadnicy tatarscy. W XV wieku ich pozycja stała się na tyle silna, że z rodem Gerejów na czele mogli się wyzwolić spod panowania chanów Złotej Ordy. W latach 1428–1430

powstał Chanat Krymski, który jednak w 1478 roku przyjął protekcję państwa tureckiego.

„Słodkie rządy carycy”

W 1783 roku półwysep został przyłączony do Rosji. Rok wcześniej wojska carycy Katarzyny II interweniowały na jego terytorium pod pretekstem obrony zdezonizowanego chana Szahina. Feldmarszałek Grigorij Potiomkin miał za zadanie zachęcić miejscową ludność, aby dobrowolnie oddała się pod „słodkie rządy carycy”. W rzeczywistości Tatarzy szybko

odczuli twarde realia pod nowym panowaniem. Krym został objęty systemem pańszczyźnianym, zmalała liczba meczetów, wzrosły podatki. Już w 1783 roku na miejscu tatarskiej osady Ak-Jar rozpoczęto budowę Sewastopola – potężnej twierdzy i portu dla floty rosyjskiej. Postępowała rusyfikacja półwyspu, znaczna część arystokracji tatarskiej udała się na emigrację. W XIX wieku na Krym napływali osadnicy rosyjscy, ukraińscy (ruscy), Niemcy, Grecy i Żydzi. W roku 1795 Tatarzy stanowili 88 proc. ludności półwyspu, w 1917 – już tylko 29 proc. Bunt przeciwko rusyfikacji, a zarazem proces odrodzenia narodowego Tatarów, zaczął się na dobre w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Po doświadczeniach z lat 1905–1907 działacze tatarscy zaczęli wiązać nadzieje z upadkiem caratu, a niektórzy opowiedzieli się wręcz za komunizmem w wydaniu bolszewickim. Komuniści jednak potraktowali Tatarów instrumentalnie. W toku rewolucji październikowej ►

poczyniono wobec muzułmanów pewne ustępstwa, próbując zaprząć islam do realizacji własnych planów ekspansji. 18 października 1921 roku Rada Komisarzy Ludowych ogłosiła powstanie Krymskiej Radzieckiej Republiki Autonomicznej z językami urzędowymi rosyjskim i tatarskim. Józef Stalin, ówczesny ludowy komisarz ds. narodowościowych, głosił hasła wolności wszystkich „narodów sowieckich”. Jednak już w epoce NEP-u zaczął przygotowywać grunt pod ostateczne uderzenie w „zdradziecki nacjonalizm”. W dodatku sowiecka polityka na Krymie przyniosła jego mieszkańcom klęski głodu (1921–1922, 1931–1933), represje kolektywizacji oraz czystki wśród miejscowej elity (1937–1938).

„Zdrajcy ojczyzny i sprzedawczyki”

Dla Stalina pretekstem do pozbycia się „problemu tatarskiego” na Krymie stało się zwycięstwo ZSRR nad Niemcami. Już w 1944 roku przyszedł triumfator rozpoczął pospieszną likwidację skutków wojennego rozprężenia w ZSRR. Ofiarami tej polityki stały się najpierw mniejszości narodowe, w tym mieszkańcy Kaukazu i Krymu: Tatarzy, Bałkarzy, Czeczeńcy, Kałmucy, Ingusze, Niemcy

krymscy i nadwołżańscy, Turcy meschetyńscy, Grecy, Bułgarzy, Żydzi (Krymczacy) i Ormianie. Wszyscy zostali oskarżeni o kolaborację z wrogiem i w kilku akcjach wywiezieni w głąb ZSRR, do obozów pracy lub na bezludne stopy. Jak twierdzą historycy, zarys planu deportacji Tatarów krymskich do Uzbekistanu powstał najprawdopodobniej już w 1941 roku. Konkretny projekt autorstwa szefa NKWD, Ławrientija Berii, i jego zastępcy, Wsiewołoda Mierkułowa, był gotowy 13 kwietnia 1944 roku, pięć dni po ofensywie Armii Czerwonej na Krymie. Plan nosił znamienity tytuł: „O środkach mających na celu oczyszczenie Krymskiej ASRR z elementów antysowieckich, czyli agentów szpiegowskich i rezydentur wywiadu i organów kontrwywiadu niemieckiego i rumuńskiego, zdrajców ojczyzny i sprzedawczyków, aktywnych współpracowników i kreatur niemiecko-faszystowskich okupantów, członków organizacji antysowieckich, formacji bandyckich i innych elementów antysowieckich okazujących pomoc okupantom”. Jego dopełnieniem był rozkaz Stalina o deportacji Tatarów z 11 maja 1944 roku, w którym postawiono mieszkańcom Krymu następujące zarzuty: masowa dezercja z oddziałów Armii Czerwonej, masowe wstępowanie do niemieckich oddziałów ochotniczych, masowy udział w „tatarskich komitetach narodowych” powsta-

jących pod egidą niemiecką, znęcanie się nad żołnierzami Armii Czerwonej oraz „udział w przygotowaniach do oderwania Krymu od Związku Radzieckiego przy pomocy niemieckich sił zbrojnych”.

Argument o masowej kolaboracji z Niemcami był jednak chybiony. Faktycznie, przez trzy lata niemieckiej okupacji półwyspu (1941–1944) ludność tatarska uzyskała spore prawa. Muzułmanom pozwolono tworzyć własne organizacje, pojawiła się tatarska prasa, otwarto kilka nowych meczetów. W formacjach wojskowych takich, jak np. Waffen-Gebirgsjäger-Regiment der SS (późniejsza Waffengruppe Krim), oddziałach porządkowych, milicyjnych i samoobrony brało udział około 20 tys. Tatarów, w większości dezertów z sowieckiej 51. Armii podczas odwrotu z Krymu jesienią 1941 roku. Jednak większa część męskiej populacji półwyspu walczyła podczas wojny w Armii Czerwonej. W 1939 roku na Krymie w szeregi sowieckie zmobilizowano 137 tys. mężczyzn, z których 57 tys. zginęło przed 1944 rokiem. Spora część działała w komunistycznym ruchu oporu na półwyspie. Na przełomie 1943 i 1944 roku za współdziałanie z partyzantką sowiecką Niemcy spalili 128 wsi tatarskich.

Obarczenie *en bloc* ludności tatarskiej Krymu odpowiedzialnością za „kolaborację” było znanym wybiegiem retoryki sowieckiej, za którą kryła się chęć „wyko-



➤ Tatarska rodzina na Krymie, lata dwudzieste lub trzydzieste XX wieku

zrzenia lokalnych nacjonalizmów”. Na decyzję o deportacji mogły mieć wpływ także stosunki dyplomatyczne ZSRR z Turcją i obawa przed wzrostem jej politycznego znaczenia na Krymie. Turcja miała podstawy historyczne do rozszereżeń terytorialnych na tym obszarze. Ze względu na wielowiekową podległość Chanatu Krymskiego, a także wspólny krąg kulturowy i religijny, Tatarzy byli uważani za „tureckich popleczników”. Ponadto argumenty historyczne spłotyły się z tradycyjną rywalizacją Rosjan z Turkami o wpływy w basenie Morza Czarnego. Obawy przed wpływami tureckimi w jego północnej części potwierdzają także późniejsze posunięcia władz sowieckich. W latach 1945–1946 minister spraw zagranicznych ZSRR Władysław Mołotow żądał od rządu tureckiego rewizji konwencji z Montreaux (1936), mówiącej o sprawowaniu kontroli żeglugi w cieśninach Bosfor i Dardanele wyłącznie przez Turcję. Dzięki temu, że na Krymie zabrakło Tatarów, których opiekunką zawsze mieniła się Turcja (ze względu na wielowiekową zależność chanatu miała do tego podstawy), Sowietci mieli rozwiązane ręce. Niewątpliwie w wyniku tego, że na Krymie zabrakło Tatarów, którym Turcja udzielała schronienia w dobie prześladowań ze strony caratu, a następnie bolszewików, Sowietci mieli rozwiązane ręce.

„Doczyszczanie” Krymu

Wiosną 1944 roku na Krymie znajdowało się około 220 tys. Tatarów, z czego kobiety powyżej 18 roku życia stanowiły 39,1 proc., dorośli mężczyźni (głównie starcy) 13,1 proc., dzieci 47,3 proc. Fala deportacji rozpoczęła się osiemnastego maja 1944 roku. Według relacji świadków: „po wkroczeniu na Krym armii sowieckiej cała ludność tatarska na mocy specjalnego rozkazu dowództwa została na dwa tygodnie pozostawiona do wyłącznej dyspozycji oddziałów NKWD [...]. Bezbronni ludzie byli grabieni, rozstrzelani, wieszani. Przez dwa tygodnie ponad Krymem rozlegały się przeraźliwe krzyki gwałconych, torturowanych, mordowanych ludzi”. O sprawności całej akcji zdecydowały warunki jej przeprowadzania: godziny nocne oraz kordon wojska ota-

czający każdą wioskę. W operacji wzięło udział ponad 23 tys. żołnierzy i oficerów NKWD. Ogółem wywieziono 187 859 Tatarów krymskich oraz 6252 Tatarów nadwołżańskich. Parę tygodni później ich los podzieliło 36 349 Bułgarów, Greków, Ormian i około 50 tys. Niemców.

Przez następne miesiące trwała akcja tzw. doczyszczania półwyspu. Polegała ona na eksterminacji wszystkich tych, którzy nie zmieścili się w transportach. Przykładowo, pominiętych uprzednio w wyniku przeoczenia mieszkańców wiosek na Mierzei Arabańskiej (między Zatoką Siwasz a Morzem Azowskim) spędzono na barki i utopiono w morzu. Jeden ze świadków tak wspominał „doczystkę” w swojej miejscowości: „Rosjanie przeczesywali chaty, żeby nikt nie został [...]. Żołnierzowi, który wszedł do chaty, nie chciało się schylać. Pociągnął serią z automatu po izbie, a pod ławą schowało się dziecko. Spod ławy zaczęła płynąć krew [...]. Brakowało wagonów. Nadwyżkę ludzi rozstrzelali. Zasyпали piaskiem, ziemią, byle jak. Strzelali też byle jak. I ci ludzie zaczęli wypelzać z piasku. Enkawudziści dobijali ich całą noc”.

Wśród deportowanych mężczyzn tatarskiego pochodzenia byli inwalidzi, starcy, a także partyzanci i członkowie konspiracji antyniemieckiej. Później dołączyli do nich Tatarzy zdemobilizowani z Armii Czerwonej. Jeden z sierżantów tatarskiego pochodzenia wspominał: „Za walki w Mołdawii latem 1944 roku dostałem medal i przepustkę do domu. Gdy przyjechałem, cała wioska była pusta i wymarła. Chodziłem w mundurze, brzęcząc medalami, i szukałem po górach jakichś ludzi [...]. Trafiłem w końcu na placówkę NKWD. Po dwóch tygodniach wywieziono mnie w bydłym wagonie do Azji Środkowej”.

Głównymi miejscami docelowymi przesiedlenia Tatarów krymskich były sowiecki Uzbekistan (151 604 osób), obozy koncentracyjne na Uralu w rejonie Swierdłowska, Przesmyk Karelski w rejonie Wyborga, sowiecki

Kazachstan, Jakucja i Baszkiria. Ponadto ok. 6 tys. skierowano do pracy w wojskowych przedsiębiorstwach naftowych, dalsze 5 tys. przekazano do dyspozycji trustu węglowego „Moskowuogol”. W ciągu półtora roku od wysiedlenia z powodu złych warunków materialnych, a także prześladowań, zmarło kilkadziesiąt tysięcy deportowanych. Tych, którym udało się przeżyć, czekały w nowych miejscach zamieszkania niestanne szykany.

Prawie całkowitej zagładzie uległa kultura materialna mieszkańców Kry- ➤

➤ Krymski Tatar, początek XX wieku





► Podróż w niehumanitarnych warunkach: druga deportacja Tatarów, 1969 rok

mu: architektura, zabytki piśmiennictwa, cmentarze i folklor. Usuwane były świadectwa pobytu Tatarów na półwyspie, a także deformowany był krajobraz przez masowe wycinanie cyprysów i drzewek oliwnych. W swojej gorliwości władze posuwały się do absurdów, np. aby pozabawić krajobraz krymski charakterystycznych cech orientalnych, w łańcuchu gór odcinających południowe wybrzeże od reszty Krymu posadzono brzozy na wysokości 1500 m n.p.m. Drzewa nie zaadaptowały się w nowych warunkach i uschły. Zmienione zostało wielowiekowe nazewnictwo miast i wsi.

Prezent dla Ukrainy

W lutym 1945 roku na konferencji w krymskiej Jalcie nie poruszono tematu ludobójczych przesiedleń. Oprócz protestów prasy tureckiej, pakistańskiej i niemieckiej, kwestia ta nie wzbudziła międzynarodowych reperkusji. Na zorganizowanej w 1948 roku w Symferopolu sesji poświęconej „jedynej słusznej” historii Krymu, rolę byłych mieszkańców potraktowano marginalnie, wspominając głównie o ich „kapitalistycznym usposobieniu”. Późniejsze publikacje sowieckiej historiografii w większości milczały o wielowiekowej obecności Tatarów na półwyspie.

Początkowo Stalin rozważał pomysł Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego dotyczący stworzenia na Krymie republiki

żydowskiej. Jednak ostatecznie zdecydował się na bezpieczniejszy – z jego punktu widzenia – wariant. 30 czerwca 1945 roku Krymską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Radziecką przekształcono w Obwód Krymski o powierzchni 25,6 tys. km kw., podzielony na 21 rejonów, 13 miast i 30 wsi typu miejskiego, i zasiedlono ludnością rosyjską z obwodów: moskiewskiego, jarosławskiego, kurckiego, penzanowskiego i rostowskiego. Szacuje się, że w 1945 roku przybyło na półwysp łącznie 228 tys. nowych osadników. W 1961 roku 72 proc. ludności Krymu stanowili Rosjanie, 22 proc. – Ukraińcy. Poza budową kołchozów i turystyką, władze wykorzystywały głównie walor strategiczny półwyspu. Rozbudowano Flotę Czarnomorską, prowadzono szkolenia wojskowe, w tym manewry desantowe.

Przełomem, który zaważył na przyszłości Krymu, było włączenie obwodu w skład Ukraińskiej SRR. Decyzję taką podjęła Rada Najwyższa ZSRR 19 lutego 1954 roku, z okazji trzechsetnej rocznicy ugody perejaśławskiej. Od stycznia do września 1954 roku na Ukrainie trwały wielkie propagandowe obchody na cześć *wozjednannja* („zjednoczenia”) z Rosją, organizowano wiece, parady i niezliczone odczyty. sowiecka Ukraina i jej stolica, Kijów, zostały odznaczone orderami Lenina. Przyłączenie Krymu było głównym punktem ceremonii propagandowej, komentowanym wówczas jako „dowód

zauwania i bezgranicznej miłości narodu rosyjskiego do narodu ukraińskiego”. Do 1991 roku gest ten nie miał żadnego znaczenia. Poza kilkoma marginalnymi przywilejami aparatu partyjnego USRR w stosunku do półwyspu, jego polityczno-prawne położenie nie uległo zmianie. Motywy tego „prezentu” nie wynikały bynajmniej z „braterskiej miłości”, lecz były spowodowane w głównej mierze potrzebą odciążenia moskiewskiego aparatu administracyjno-gospodarczego. Pochodzący z Ukrainy I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Nikita Chruszczow, liczył niewątpliwie także na większą lojalność swoich rodaków w stosunku do władzy komunistycznej. Dopiero rozpad ZSRR w pełni unaocznili Rosjanom konsekwencje tego aktu.

16 lipca 1990 roku Rada Najwyższa Ukraińskiej SRR podjęła uchwałę o suwerenności Ukrainy. Miesiąc później sowieckie władze Krymu rozpiwały referendum, w którym 93 proc. głosujących opowiedziało się za reaktywowaniem Krymskiej Republiki Autonomicznej w ramach Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. To w zasadzie rozpoczęło rosyjsko-ukraiński konflikt o Krym. Powracający Tatarzy aktywnie wspierali w nim stronę ukraińską. W lutym 1991 roku w drodze kompromisu ustanowiono Krymską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Radziecką, która formalnie istniała do 8 grudnia 1991 roku, czyli do rozpadu ZSRR. Rywalizacja o półwysp trwała do 1995 roku, gdy powstała Republika Autonomiczna Krymu w ramach niepodległej Ukrainy. Na półwyspie nadal silne były jednak struktury Komunistycznej Partii Krymu, w Sewastopolu – na mocy umowy ukraińsko-rosyjskiej z 1997 roku – cały czas stacjonowała rosyjska Flota Czarnomorska, a wśród rosyjskich mieszkańców przeważała orientacja promoskiewska. Rosja nigdy nie zrezygnowała z pretensji terytorialnych do półwyspu, co udowodniła w 2014 roku, zajmując Krym.

Buldożerami w styropian

Odwilż lat pięćdziesiątych w ZSRR przyniosła pierwsze próby powrotu Tatarów na

Krym. Od 1956 roku wysyłano do władz petycje, delegacje i memoriały w tej sprawie. Jednak do 1967 roku – w którym na mocy specjalnego zarządzenia Rady Ministrów ZSRR zrehabilitowano Tatarów, uwalniając ich od zarzutu współpracy z Niemcami – nie mieli oni prawa poruszania się po półwyspie. Później również utrudniano reemigrację, wprowadzając nowe rozporządzenia i okólniki, m.in. ograniczające Tatarom możliwość zameldowania na Krymie. Z kolei niemożność zameldowania przekreślała prawo do ubiegania się o pracę. Milicjanci wylapywali powracających i wywozili ich do sąsiednich obwodów ukraińskich. Zwłaszcza rok 1969 Tatarzy wspominają dziś jako „drugą deportację”. Brutalnie niszczone powstające we wsiach prowizoryczne osiedla tatarskie i urządzano oblavy na powracających.

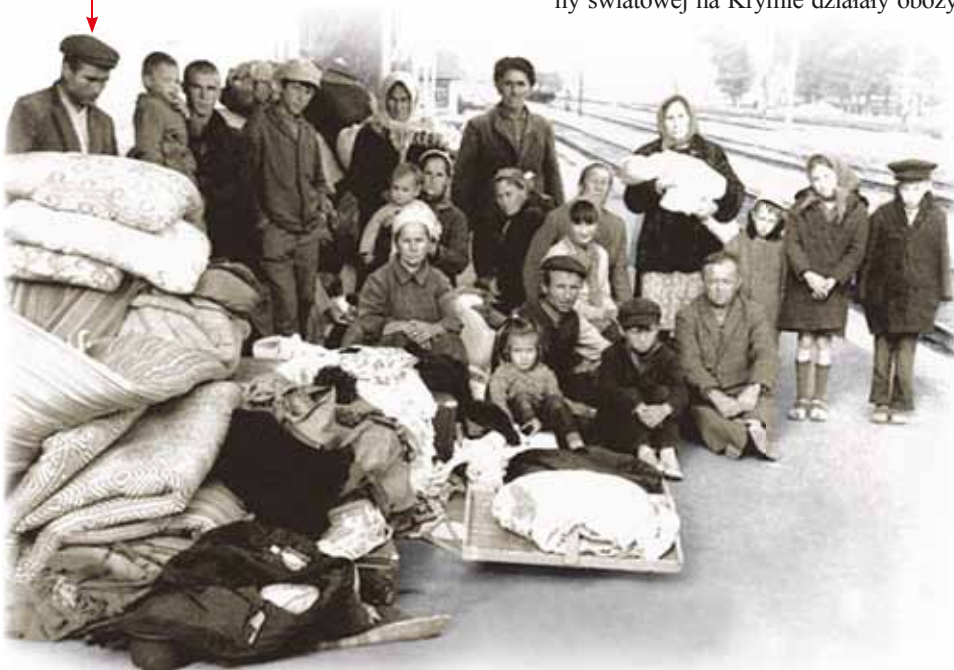
Siła Tatarów krymskich tkwiła w ich solidarności, w konsekwentnym działaniu na rzecz tzw. *awdetu* (krym.-tat.) – powrotu do ojczyzny. Było to działanie dwojake – z jednej strony starano się w pełni korzystać ze skromnych praw, z drugiej – energicznie działano w podziemiu. W Uzbekkiej SRR powstawały tajne komitety tatarskie, po kryjomu nauczano języka krymskotatarskiego i utrzymywano kontakty z rosyjskimi dysydentami. Organizowano także mityngi i demonstracje, których skutkiem były najczęściej represje,



a nawet ofiary śmiertelne. W połowie lat sześćdziesiątych ważną osobą w kręgach tatarskich stał się Mustafa Dżemilew – prześladowany przez KGB, kilkakrotnie więziony za propagowanie „hasel nacjonalistycznych”, niebawem został uznany za faktycznego przywódcę ruchu odrodzenia Tatarów w ZSRR, a w 1988 roku stanął na czele Organizacji Narodowego Ruchu Krymskotatarskiego.

Kolejne fale repatriantów tatarskich budowały na Krymie tzw. *samostroje*, czyli prowizoryczne, koczownicze budowle ze styropianu, drewna i tektury. Władze moskiewskie starały się zahamować rozwój wydarzeń i po raz kolejny sięgnęły po narzędzia propagandy. W 1986 roku Rada Najwyższa ZSRR wydała oświadczenie mówiące o tym, że podczas II wojny światowej na Krymie działały obozy

koncentracyjne, gdzie Tatarzy pod okiem Niemców mordowali rosyjskich jeńców. Wywołało to falę niespotykanych dotąd demonstracji Tatarów rozsiansych po republikach sowieckich. W czerwcu 1987 roku do Moskwy przybyło siedmiuset przedstawicieli organizacji tatarskich. Akcji towarzyszyły manifestacje na ulicach Moskwy i tzw. siedząca demonstracja pod ścianą Kremla. Zapoczątkowało to prawną (mającą sankcję ustawy państwowej) gwarancję powrotu wygnańców krymskich do ojczyzny. Na fali *pierestrojki* Kreml ugiął się pod żądaniem Tatarów i uchylił zakaz osiedlania się na półwyspie. Powstał także program zakładający reemigrację 600 tys. osadników i ich potomków. Nie zakończyło to jednak kłopotów doświadczonych przez historię Tatarów. Gdy w 1989 roku liczba chętnych do powrotu zbliżyła się do 100 tys., lokalne władze Krymu oznajmiły, że nie ma już wolnej ziemi pod osadnictwo. Oddziały OMON oraz rosyjscy mieszkańcy półwyspu przeganiaли Tatarów z zajmowanych działek, a prowizoryczne osiedla równano z ziemią za pomocą buldożerów. Problem powrotu trwał przez kolejne lata i choć Tatarzy otrzymali pomoc ze strony rządu niepodległej Ukrainy, polegającą m.in. na interwencji w ONZ i zagwarantowaniu miejsc w krymskim parlamencie, to jednak z chwilą ubiegłorocznej, bezprawnej aneksji i okupacji Krymu przez Rosję, powróciła realna obawa o losy tatarskiego odrodzenia narodowego na półwyspie. ❄️



► Uroczyste otwarcie Pałacu Kultury i Nauki, Warszawa, lipiec 1955 roku; wstęgę przecinają ambasador ZSRR Pantielejmon Ponomarienko i premier PRL Józef Cyrankiewicz



Fot. PAP/CAF

Niechciany dar Stalina

Konrad Rokicki

Ten budynek jest jednym z symboli komunizmu w Polsce, więcej – symbolem sowieckiej dominacji. Wokół niego przez lata narastało wiele emocji, plotek, anegdot. Mowa o Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Już sama geneza tego „socjalistycznego drapacza chmur” jest ciekawa. To „dar” – jak oficjalnie głośzono – „narodów radzieckich dla narodu polskiego”. Dar kłopotliwy, bo nie takiego prezentu oczekiwali polscy towarzysze, zapytani w jeszcze w 1945 roku o ewentualne formy pomocy ZSRR przy odbudowie stolicy. Strona polska proponowała budowę osiedla mieszkaniowego – co było wówczas najpilniejszą potrzebą – lub linii metra, do której przymierzano się jeszcze przed wojną, ale propozycje te pozostały bez odpowiedzi. Dopiero

w 1951 roku rząd sowiecki zaoferował postawienie budynku wysokościowego, „drapacza chmur”, na wzór tych, które powstały w Moskwie, w stolicach republik związkowych i niektórych państw satelickich. Był to dar nie do odrzucenia. I stał się symbolem sowietyzacji Polski.

Trochę Moskwy, trochę Kazimierza

Wieżowiec miał powstać na koszt radziecki i z radzieckich materiałów. Poza tą kwestią wszystkie pozostałe były otwarte. I – powiedzmy sobie szczerze – jest winą polskich architektów, że bu-

dynek ten na całe lata zdominował sylwetkę i przestrzeń symboliczną stolicy. To Polacy przesądziли o jego wysokości – darczyńcy nie spodziewali się takiego rozmachu. To również nasi architekci i dygnitarze zdecydowali o lokalizacji tego kolosa na olbrzymim placu, który miał się stać nowym centrum Warszawy. Pałac umiejscowiono tak, żeby był widoczny z każdego punktu miasta.

Również ostateczny kształt budynku, jego sylwetka i proporcje zostały przez radzieckich projektantów przedyskutowane z polskimi architektami. Dzięki temu Pałac Kultury znacznie różni się od swoich radzieckich krewniaków, jest smuklejszy i sprawia wrażenie „lżejszego”. Za ornamentykę wieżowca odpowiadają już jednak konstruktorzy radzieccy. Chcieli bowiem nadać budynkowi jak najbardziej polski charak-

ter, wzorce zaczerpnęli z renesansowych fasad i attyk Kazimierza, Baranowa, Sandomierza – tylko w skali wieżowca straciły one zupełnie swój urok (upodobniając gmach do gigantycznego tortu). Pałac był więc narodowy w formie, tak jak wyobrazili to sobie darczyńcy.

Kwestię socjalistycznej treści pozostawiono obdarowanym. W ZSRR gmachy tego rodzaju wykorzystywano na cele administracyjne lub edukacyjne (np. Uniwersytet Łomonosowa). Polacy zdecydowali, że warszawski wieżowiec będzie miał „program kulturalno-naukowy”, co nawiązywało do wcześniejszej koncepcji stworzenia Centralnego Domu Kultury. Docelowo umieszczono w gmachu teatry, sale kinowe, muzealnicze, Pałac Młodzieży, baseny, Salę Kongresową, pracownię Polskiej Akademii Nauk.

Budowa pałacu rozpoczęła się oficjalnie 21 lipca 1952 roku, w przeddzień rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN, czyli powstania Polski Ludowej. Oczywiście, wiele prac przygotowawczych wykonano wcześniej. Oczyszczono teren pod wykop, rozpoczęto burzenie budynków znajdujących się na terenie przewidzianym pod wieżowiec i otaczający go plac – część z nich była zamieszkała i ludność trzeba było wykwaterować. W mieście cierpiącym na zupełny brak lokali zastępczych, wśród ludzi zamieszkałych częstokroć w ruinach i lepiankach – musiało to budzić niezadowolenie i krytyczne komentarze.

Fetysz propagandy

W propagandzie – która towarzyszyła pałacowi jeszcze przed rozpoczęciem budowy, a później przez cały okres jej trwania – podkreślano, że jest on „darem przyjaźni”, „darem braterstwa”. Akcentowano przy tym współpracę polsko-radziecką. W tym układzie Polacy byli uczniami, radzieccy inżynierowie i budowlancy – mistrzami. Powstała stacja naukowo-badawcza dokumentująca nieznaną dotąd w Polsce metody budowlane i organizację pracy na tak wielkiej budowie. W prasie przedstawiano sylwetki radzieckich inżynierów i budowniczych PKiN, często ludzi z awansu społecznego, pracujących



Fot. Karol Szczeciński/East News

► Widok z windy budowlanej powstającego Pałacu Kultury i Nauki, 1953 rok

wzorowo, przekraczających normy, ale też związanych emocjonalnie z Warszawą – np. jako żołnierze Armii Czerwonej biorący udział w wypieraniu Niemców ze stolicy. Opisywano mechanizację pracy – obok ruchu stachanowskiego to przecież drugi fetysz stalinowskiej propagandy.

Wbrew oficjalnym ustaleniom, a i późniejszym przekazom, pałac nie powstał wyłącznie na koszt Związku Radzieckiego, siłami i przy użyciu materiałów z ZSRR. Pracami kierował przez cały czas radziecki Zarząd Budowy PKiN, z wiceministrem budownictwa przedsiębiorstw maszynowych Georgijem Karawajewem. Kadra techniczna i robotnicy byli początkowo wyłącznie radzieccy. Wybudowano dla nich osiedle mieszkaniowe na Jelonkach, które później zostało przeznaczone na potrzeby studentów. Po-

wstała także baza produkcyjno-składowa, do której ściągano materiały z ZSRR. Jednak w miarę „rozszerzania frontu robót” konieczne stały się również udział polskich robotników i wykorzystanie w coraz większym stopniu polskich materiałów. Aby sprostać zapotrzebowaniu zgłaszanemu w krótkich terminach przez zarząd budowy, strona polska musiała zamykać niektóre budowy prowadzone w stolicy, m.in. na Trakcie Królewskim, i przerzucać robotników do udziału w bu- ►

► PKiN w trakcie budowy, 1953 rok



Fot. Stanisław Dąbrowiecki (PAP/CAF)



dowie wieżowca. Co ciekawe, wcale się do tego nie palili, nie traktowali tej pracy jako szczególnie prestiżowej, wręcz uciekali z niej ze względu na wysokie wymagania i niskie zarobki. Do tego jeszcze dochodziło niebezpieczeństwo prac wysokościowych i szczególna dyscyplina (łącznie z nadzorem komórki Urzędu Bezpieczeństwa na terenie budowy). A przecież w odbudowywanej stolicy murarze mogli przebierać w ofertach...

Polacy uczestniczyli w budowie, dostarczając również materiałów budowlanych – jak się to kiedyś mówiło – „w szerokim asortymencie”. Od cegieł, specjalnie produkowanych według nowej radzieckiej technologii (musiały być lekkie i wytrzymałe), przez parkiety, drzwi i okna (a trochę ich jest w pałacu), wyroby kowalstwa artystycznego, aż po elementy wyposażenia wnętrz – ze słynnymi żyrandolami w roli głównej. Ten wątek był akurat eksponowany w prasie.

Udało się natomiast ukryć sporne kwestie w rozliczeniach za wykonaną przez Polaków pracę i za dostarczone materiały. Zarząd budowy stale bowiem zaniżał obliczenia polskich przedsiębiorstw co do ilości materiałów, zakresu prac (nigdy nie mogli się porozumieć w sprawie ilości tynku – cóż się dziwić, w tej kubaturze!),

ich jakości. Polacy się denerwowali, niektóre prace musieli wykonywać podwójnie za tę samą zapłatę (bo np. przed położeniem instalacji wodnej ułożono glazurę w sanitariatach). Ostatecznie nikt nie jest w stanie policzyć, ile Polacy dołożyli do tego budynku. Rozliczenia są niejasne, ceny – abstrakcyjne, liczby umowne. Radzieckich kosztów w ogóle nie znamy, nawet szacunkowo. Ale to, zdaje się, nie grało większej roli. Liczył się efekt.

Pałac wyrastał z głębokich fundamentów i wznosił się na oczach warszawiaków (a także specjalnie zwożonych z całego kraju wycieczek). Po śmierci Stalina pierwszą decyzją rządu polskiego dotyczącą upamiętnienia „wodza postępowej części ludzkości” było nadanie pałacowi jego imienia. Także plac wokół pałacu miał nosić imię Stalina, a na nim, przed frontem budynku, miał stanąć pomnik generalissimusa. Aby podkreślić jego znaczenia dla narodu polskiego, postanowiono dodać mu asystę w postaci odpowiednio pomniejszych pomników Kopernika i Mickiewicza! Z planów tych nic nie wyszło, gdyż przeciągał się konkurs na projekt monumentu. Wyłącznie w sferze dyskusji pozostał pomysł umieszczenia na szczycie pałacu zamiast iglicy posągu Stalina. Wówczas radziecki dyktator rzeczywiście miałby stolicę Polski u stóp. Było to jednak niewyko-

nalne ze względów technicznych. Zresztą gdy w czasie odwilży stalinizm został potępiony (oficjalnie i częściowo), imię wodza ZSRR zniknęło nawet z nazwy Pałacu Kultury.

Gmach został przekazany Polakom 21 lipca 1955 roku, trzy lata po oficjalnym rozpoczęciu budowy. Wówczas już większości robotników radzieckich nie było w Warszawie, odesłano ich do domów, w ślad za nimi powędrowały odznaki (Budowniczy PKiN) i medale polskie (najwyższy, Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, otrzymał nadzorca budowy – wiceminister Karawajew). Z dyskusji prowadzonych przez rosyjskich internautów wynika, że budowniczowie PKiN zachowali dobre wspomnienia z tego okresu.

Wyburzyć? Zasłonić? Zostawić!

Pałac przez lata samotnie górował nad stolicą. Białe jeszcze wtedy odcień piaskowca, z którego wykonano elewację, oraz rozmiary gmachu kontrastowały z otoczeniem. Dziesięć lat po wojnie Warszawa w znacznym stopniu była jeszcze w gruzach. Dysonans między pałacem a resztą Warszawy widziano już w czasie jego budowy – ale starano się mu zaradzić zgodnie z duchem epoki. Zaplanowano nawet budowę siedmiu wysokościowców w stylu PKiN, mniejszych oczywiście, które miały zmieniać wcześniejszy charakter miasta, „królewsko-magnackiej” czy „burżuazyjnej”

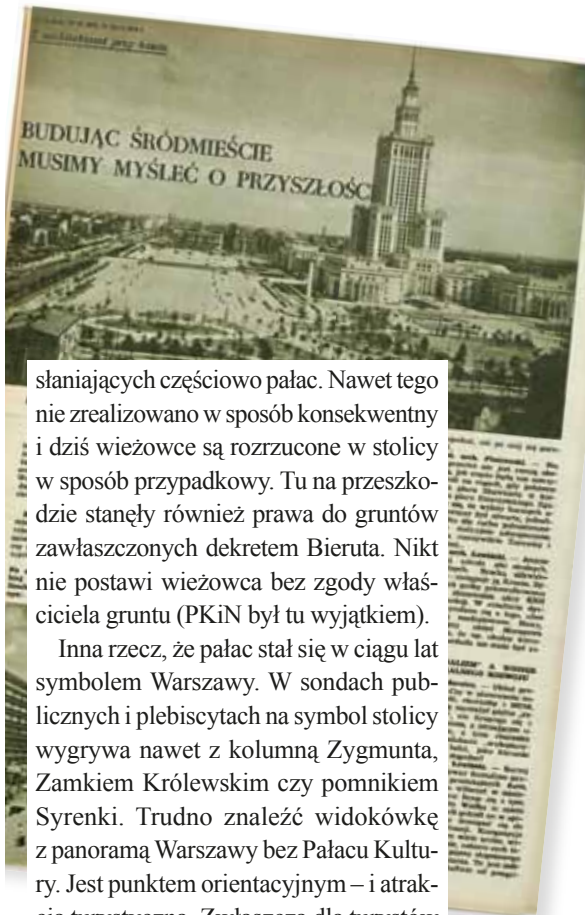


Warszawy. Jeden z takich wieżowców proponowano nawet postawić na miejscu... Zamku Królewskiego.

Inną szokującą propozycją, która padła w dyskusjach architektów, a nawet została przedstawiona w formie graficznej w książce, był pomysł Edmunda Goldzamt, aby wyburzyć cały obszar od frontu pałacu w kierunku skarpy wiślanej, aby w ten sposób wyeksponować ten po-

mnik polsko-radzieckiej przyjaźni. Książka wyszła już w okresie odwilży i nie trafiła do dystrybucji, lecz na przemiał.

Pałac Kultury i Nauki miał być symbolem nowoczesności, odpowiedzią na amerykańskie drapacze chmur, i to odpowiedzią ideologiczną, jego przeznaczenie było bowiem inne – nie pomnażanie kapitału, lecz udostępnienie społeczeństwu instytucji kulturalno-naukowych... Ale już u schyłku jego budowy odchodzono od socrealizmu, w architekturze przejawiającego się monumentalnością i naspikowaniem budynków elementami propagandowymi. Dlatego pałac był krytykowany przez architektów, zresztą tych samych, którzy wcześniej potulnie aprobowali narzucony wieżowiec. Póki jednak istniała PRL, rówieśniczka pałacu, jego samotne królowanie (*nomen omen!*) nad Warszawą nie było zagrożone. Wraz z upadkiem komunizmu w Polsce i rozpadem ZSRR rozpoczęły się – namiętne niekiedy – dyskusje, co z tym „darem” zrobić. Najradzykalniejsi przeciwnicy komunizmu proponowali zburzyć pałac – co nie byłoby tak łatwe, jak się wydaje. Propozycją mającą na celu zmianę symboliki gmachu było umieszczenie w jego murach Muzeum Komunizmu, jednak mimo wielu lat starań do sfinalizowania sprawy nie doszło (za to pojawiła się nostalgia za Polską Ludową i powstało wiele małych, prywatnych muzeów – rynek nie znosi próżni!). Rozpisywano konkursy na zagospodarowanie „centrum Warszawy”, czyli placu wokół PKiN. Miała powstać „korona Warszawy”, zespół wieżowców za-



słaniających częściowo pałac. Nawet tego nie zrealizowano w sposób konsekwentny i dziś wieżowce są rozrzucone w stolicy w sposób przypadkowy. Tu na przeszkodzie stanęły również prawa do gruntów zawłaszczonych dekretem Bieruta. Nikt nie postawi wieżowca bez zgody właściciela gruntu (PKiN był tu wyjątkiem).

Inna rzecz, że pałac stał się w ciągu lat symbolem Warszawy. W sondach publicznych i plebiscytach na symbol stolicy wygrywa nawet z kolumną Zygmunta, Zamkiem Królewskim czy pomnikiem Syrenki. Trudno znaleźć widokówkę z panoramą Warszawy bez Pałacu Kultury. Jest punktem orientacyjnym – i atrakcją turystyczną. Zwłaszcza dla turystów zachodnich, nieprzywykłych do architektury tego typu.

Zresztą właśnie niektórzy cudzoziemcy w pierwszej chwili mają wrażenie, że stoi przed nimi ogromny kościół. I, choć się możemy uśmiechać z miną wtajemniczonego, to nie jest to całkiem bezzasadne. Pałac pełnił funkcję bazyliki komunizmu. W jego murach, w Sali Kongresowej, odbywały się najważniejsze wydarzenia partyjne – zjazdy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (począwszy od III Zjazdu PZPR w 1959 roku, aż do XI Zjazdu, który partię rozwiązał). Przed pałacem stała trybuna honorowa, z której „władze partyjno-rządowe i zaproszeni goście” mieli pozdrawiać uczestników pochodów pierwszomajowych, których kulminacyjnym momentem był właśnie przemarsz w jego cieniu. Na pl. Defilad przed PKiN odbywały się obchody Święta Odrodzenia i wówczas sunęły tędy kolumny czołgów i innych rodzajów broni. Również apogeum obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego – zorganizowanych w kontrze do świętowania przez Kościół katolicki Milenium ▶





Fot. Zdzisław Wdowiński/PAP

► Uroczyste otwarcie PKiN w dniu Narodowego Święta Odrodzenia Polski; na pierwszym planie wciąż nieuprzątnięty teren

Chrzta Polski – miało miejsce w cieniu pałacu. Wówczas przeszedł tędy, obok typowej defilady, również „orszak historyczny” w strojach nawiązujących, czasem dosyć luźno, do wybranych tradycji polskiego wojska – a zakończony pokazem najnowocześniejszej broni.

Świadek historii

Pałac był wielokrotnie świadkiem wielkich wydarzeń. Może V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów do nich nie należał, ale warto go tu wspomnieć, bo miał miejsce tuż po inauguracji działalności PKiN. Za to do wydarzeń wręcz symbolicznych trzeba zaliczyć wiec, który odbył się 24 października 1956 roku, po powrocie Władysława Gomułki do władzy. Trudno oszacować, ile tak naprawdę osób przyszło wówczas na pl. Defilad – mówi się o 300 tys. lub nawet 500 tys. (co zdaje się grubą przesadą). W każdym razie było to najliczniejsze w Polsce zgromadzenie autentycznie popierające politykę kierownictwa partii komunistycznej.

Na takie tłumy, przybyłe dobrowolnie pod Pałac Kultury, trzeba było czekać ponad trzydzieści lat. W 1987 roku papież Jan Paweł II odprawił na pl. Defi-

lad mszę, a ołtarz był oparty o trybunę honorową, zaprojektowaną przecież dla kierownictwa partyjnego. Socrealistyczny pałac, zafundowany przez Stalina i obdarzony jego imieniem, stał się tłem, dekoracją dla uroczystości religijnej. Historia czasem płata figle...

Nie można nie wspomnieć plotek krążących wokół tego gmaszyska. Te najpopularniejsze koncentrują się wokół dwóch tematów: ofiar i podziemi pałacu. W dokumentacji sporządzonej po zakończeniu budowy potwierdzono śmierć co najmniej siedmiu osób – ale ta statystyka obejmuje zapewne ofiary śmiertelne na samym placu budowy. A tymczasem robotnicy ginęli również w innych okolicznościach: samobójstwo, śmierć na torach, utonięcie. Samych grobów budowniczych radzieckich na cmentarzu prawosławnym jest więcej, bo trzynaście. W statystykach nie uwzględniono ofiar wypadków drogowych powodowanych przez radzieckich kierowców. Do fantazji natomiast można zaliczyć podejrzenia, że w fundamentach (lub nawet ścianach) pałacu zamurowano wrogów systemu.

Bardzo żywa jest też legenda o podziemiach PKiN, zwłaszcza o korytarzach

mających łączyć wieżowiec z odległym o niecały kilometr Domem Partii. Motyw ten jest popularny w literaturze (od *Wniebowstąpienia* Tadeusza Konwickiego po *Morderstwo w Alei Róż* Tadeusza Cegielskiego). Narodziny tej plotki zapewne są związane z pracami przy pierwszej linii warszawskiego metra, które prowadzono w latach pięćdziesiątych (próbnie odwierty, projekty odcinków, tunel doświadczalny). Inwestycję wstrzymano, ale *vox populi* na tyle łączył ze sobą partię i pałac, że prostą kontynuacją było powstanie plotki o tunelu. Sprawdzano już wielokrotnie, tunelu nie ma, istniało jedynie tzw. zaplecze pod trybuną (pokój do wypoczynku dla dygnitarzy).

Po transformacji otoczenie pałacu uległo przemianom charakterystycznym dla epoki. Na pl. Defilad stało wesołe miasteczko. Nowi ludzie, „rekiny biznesu”, rozłożyli wokół wieżowca swoje stragany (metalowe budy zamykane na noc, zwane „szczękami”) i handlowali ubraniami, zabawkami, nielegalnymi kopiami filmów, gier, muzyki, zamieniając centrum Warszawy w azjatycki bazar. Gdy handlarze ci przenieśli się na Stadion Dziesięciolecia (równolek Pałacu Kultury), przed frontem PKiN powstały hale targowe, które przez lata psuły i tak wątpliwą estetykę placu. Nic nie wyszło z planów budowy Centrum Sztuki Nowoczesnej (kto jest w stanie prześledzić historię kolejnych przetargów i odwołań?) ani z innych prób zagospodarowania terenu.

A sam pałac stoi, jak stał, towarzyszy (*sic!*) mieszkańcom stolicy wysiadającym na stacjach metra Centrum i Świętokrzyska, przyjezdnym wychodzącym z otchłani dworców PKP Śródmieście i Centralnego. Na przełomie tysiącleci dodano mu zegar na wieży, mający przypominać londyńskiego Big Bena, wcześniej zaś obleczone girlandą anten i nadajników radiowo-telewizyjnych. Nadal jest najwyższym budynkiem w Warszawie (dzięki iglicy, ale się liczy). Został też wpisany na listę zabytków, co gwarantuje mu ochronę konserwatorską. 🍷

dr Konrad Rokicki – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie

Bolesław Sulik

– między emigracją a krajem

Krzysztof Tarka

W 1965 roku dziennikarz Bolesław Sulik po latach spędzonych na emigracji w Wielkiej Brytanii po raz pierwszy przyjechał do Polski. Dla niezłomnych z Londynu sama wizyta w kraju rządzonym przez komunistów była równoznaczną ze zdradą etosu emigracyjnego. Sulik argumentował, że nie chce się odwracać plecami od kraju, że chce uczestniczyć w życiu narodu. W następnych latach był częstym gościem nad Wisłą. Nic dziwnego, że zainteresował się nim wywiad PRL. ➤

➤ Bolesław Sulik z premierem Tadeuszem Mazowieckim, Warszawa, 15 grudnia 1990 roku

Kim był niepoprawny emigrant? Urodził się w 1929 roku w Toruniu. Jego ojciec, Nikodem, był oficerem Wojska Polskiego. W 1939 roku dowodził pułkiem Korpusu Ochrony Pogranicza na Polesiu. W okupowanym przez Sowieców Wilnie został komendantem okręgu Związku Walki Zbrojnej. W kwietniu 1941 roku został aresztowany przez NKWD. Po zwolnieniu z więzienia wstąpił do armii gen. Władysława Andersa. Już na początku 1940 roku NKWD aresztował matkę Bolesława. Dorastający chłopiec wraz ze starszymi siostrami okres wojny spędził na białostockiej wsi u rodziny ojca. W 1946 roku przedostał się do Włoch, gdzie jego ojciec, już w stopniu generała brygady, był dowódcą 5. Kresowej Dywizji Piechoty w 2. Korpusie Polskim. Po spotkaniu z ojcem Bolesław wstąpił do wojska i wkrótce wraz z oddziałami polskimi został ewakuowany do Wielkiej Brytanii. Po zdaniu matury próbował się na studiach ekonomicznych i humanistycznych, których jednak nie ukończył. Pracował również dorywczo w restauracjach Lyons', fabryce kiełbasek Walls', a następnie w wytwórni kółder „Limba”. Tę ostatnią firmę prowadził jego szwagier – Kazimierz Sabbat, późniejszy emigracyjny premier i prezydent.

W „ciasnym” Londynie

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych Sulik wchodził w skład redakcji „Konturów”, młodzieżowej kolumny ukazującej się na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Był także redaktorem emigracyjnego miesięcznika „Kontynenty”. Jego miłością stał się jednak film. W 1959 roku ukończył kurs techniki filmowej. Niebawem nawiązał kontakty ze znanymi polskimi reżyserami: Andrzejem Wajdą i Jerzym Skolimowskim.

Choć ojciec Bolesława był jednym z niezłomnych emigrantów, on sam źle się czuł wśród polskiej emigracji na Wyspach. Krytykował polityczny konserwatyzm wychodźstwa i życie przeszłością. Po Październiku '56 rozważał nawet możliwość powrotu do kraju. Kilka lat później

-4-

ZAREGISTROWANO
1962

I. DANE PERSONALNE

Nazwisko i imię SULIK Bolesław, Andrzej

Nazwiska poprzednio używane lub pseudonimy _____

Imiona rodziców Nikodem, Aniela

Nazwisko panieńskie (u kobiet) nie dotyczy

Data i miejsce urodzenia 8.04.1929 Toruń

Miejsce zamieszkania 49 Tyrnhitt Road, London SE4 (Anglia)

Poprzednie miejsca zamieszkania _____

Narodowość Polska Obywatelstwo 8/1 Brytyjskie

Rysopis: wzrost _____ oczy _____ znaki lub cechy szczególne _____ wlosy _____

Stan cywilny żonaty Wykształcenie _____

Zawód wyuczony _____ Zawód wykonywany dziennikarz

Miejsce pracy (nazwa i adres m. pracy) tygodnik „TRIBUNE”, typ. polonijny „KRONIKA”

Poprzednie miejsca pracy _____

Przynależność partyjna _____ Przynależność organizacyjna _____

Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany _____

Pobyt za granicą Nijmegen, Holandia w 1946 r.; tam przebywał na stałe (stały wyjazd, długie przerwy w pracy - służbowe dni przesłania) obywatelstwo brytyjskie przyjęł dopiero w 1966 roku.

Czy posiada powiązania z zagranicą _____ (rodzina, koleżanki, znajomości)

Czy był rozpracowywany _____ (nazwa służbowej sprawozd. nr sprawy, powód rozpracowania)

Karalność _____ (kraj, do kogo)

II. POWÓD ZAŁOŻENIA KWESTIONARIUSZA

Potrzeba ujednolicenia charakteru bander szwedzkich kontaktów (niezależnie od miejsca) posiada na terenie Warszawy w środowisku trawersy (artyści, literaci, dziennikarze).

2ca Maciejka Wydz II
Zarząd Stowarzyszenia MO
Warszawa

14.06.67r. Ledemlin
klasa I przedk. sform. organizacyjny

► Kwestionariusz ewidencyjny o kryptonimie „Działacz”, dotyczący Bolesława Sulika

wspominał, że życie polityczne na emigracji już wtedy wydawało mu się „dławiąco ciasne i jałowe”: „Wybór pomiędzy młodymi endekami, młodymi socjalistami, młodymi piłsudczykami, dla mnie, który z Kraju nie zdążył, na szczęście, wynieść żadnych partyjnych lojalności, nie ofiarowywał niczego, byłby decyzją udziału w bezsensownej kabale”. Politycznie sympatyzował z brytyjską „nową lewicą” i ruchem antynuklearnym.

Odwiedzał też reżimowy Instytut Kultury Polskiej w stolicy Anglii, co sprawiło, że w „polskim” Londynie powszechnie uważano go za agenta Warszawy. Od pierwszego numeru z końca 1962 roku

Sulik współpracował z tygodnikiem „Kronika”, redagowanym przez Bolesława Świdorskiego, znanego emigracyjnego wydawcę i księgarza. Pismo było finansowane przez wywiad PRL. Przez kilka kolejnych lat Sulik niemal w każdym numerze „Kroniki” publikował recenzje filmowe i teatralne, pisał reportaże o tematyce sportowej, dał się również poznać jako publicysta polityczny.

Kandydat na TW

W marcu 1971 roku, przed kolejnym wyjazdem do Polski, tym razem na stypendium Towarzystwa „Polonia”, Sulik spotkał się z Tadeuszem Pivińskim,

jakże więcej wymieniony posiada na terenie Warszawy w środowisku trawersy (artyści, literaci, dziennikarze).

oficjalnie kierownikiem wydziału polonijnego w Konsulacie Generalnym PRL w Londynie, a w rzeczywistości oficerem wywiadu. „Dyplomata” wypytywał o jego kontakty z Radiem Wolna Europa. Sulik zaprzeczał współpracy z monarchijską rozgłośnią. Opowiadał natomiast o niedawnej wizycie w Londynie Wajdy i Skolimowskiego oraz o planach Jerzego Giedroycia, który zamierzał zorganizować na emigracji „nową lewicę”.

Piwiński raportował: „S[ulik] ma duże ambicje dziennikarskie oraz filmowe, te ostatnie tego typu, że z krytyka filmowego chciałby wejść do filmu jako scenarzysta. Pierwszym etapem poważniejszym jest jego obecna współpraca ze Skolimowskim, następna będzie z Wajdą, kolejna z [Romanem] Polańskim – a więc z grupą reżyserów liczących się aktualnie w czołówce europejskiej, a nawet światowej. W perspektywie zamierza się usamodzielnic w tym zakresie”. Oficer ocenił, że „Bass” (kryptonim nadany Sulikowi przez wywiad PRL) to wartościowy kandydat na tajnego współpracownika. Po kolejnej rozmowie z Sulikiem Piwiński proponował złożonym, aby – wykorzystując ambicje zawodowe „Bassa” – stopniowo wciągać go do współpracy: „Elementów jest wiele – przy czym groźba zamknięcia mu drogi przyjazdu do Polski uniemożliwi mu zarówno karierę dziennikarską, jak i reżyserską” – tłumaczył.

Wydawało się, że sprawa się rozwija – z punktu widzenia Służby Bezpieczeństwa – pomyślnie. Z nieznanых powodów podczas pobytu Sulika w PRL nie doszło jednak do rozmowy werbunkowej, którą sugerował Piwiński. W późniejszym o pięć lat raporcie znajdujemy jedynie lakoniczną informację na ten temat: „Rozmowy takiej nie przeprowadzono”.

Na początku lat siedemdziesiątych Sulik nawiązał również kontakt ze środowiskiem byłych „komandosów”. Często podróżując na linii Londyn–Warszawa, stał się łącznikiem między rodzącą się w PRL opozycją polityczną a paryską „Kulturą”. W 1971 roku, w trakcie jednego z pobytów w Polsce, otrzymał od Adama Michnika i Jana Lityńskiego ta-

śmę magnetofonową z zapisem spotkania Edwarda Gierka ze stoczniovcami szczecińskimi. Taśmę przewiózł przez granicę kuzyn Sulika, a ten po powrocie na Wyspy przesłał ją do redakcji „Kultury”. Jeszcze w tym samym roku Giedroyc opublikował zbiór dokumentów *Rewolta szczecińska i jej znaczenie*. Bezpieka nigdy nie się dowiedziała, jaką rolę odegrał Sulik przy dostarczeniu nagrania na Zachód.

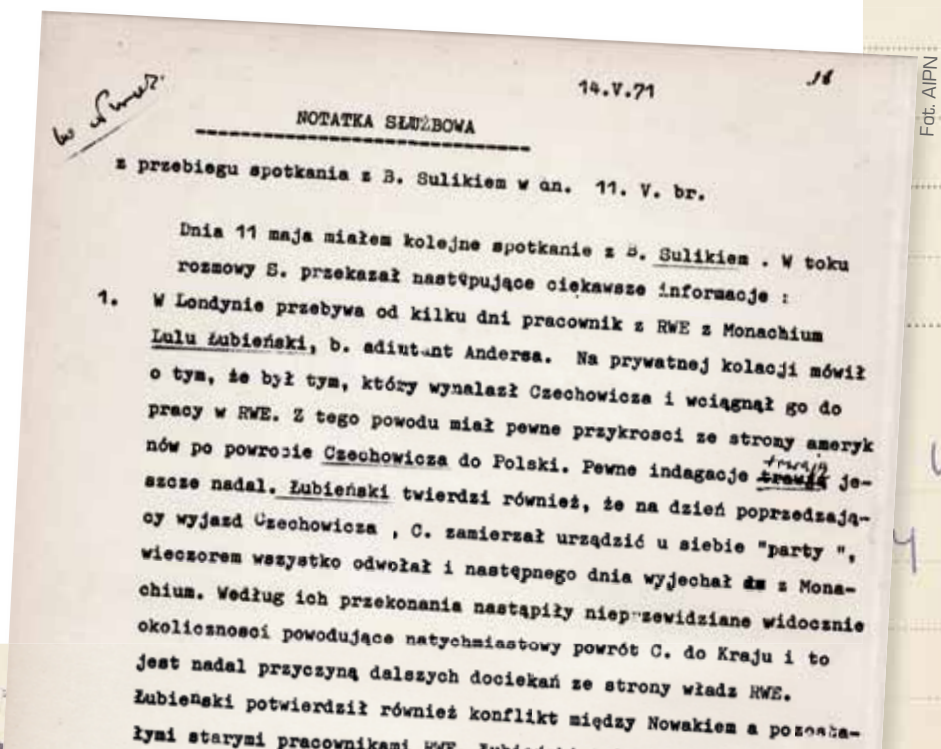
Początkowo – z uwagi na częste wizyty Sulika w Warszawie – niektórzy z „komandosów” podejrzewali go o współpracę z SB. W obronie dziennikarza stanął jednak Michnik. Wydaje się, że sprawa taśm szczecińskich była swego rodzaju testem na lojalność Sulika i momentem przełomowym w jego współpracy z „komandosami”. Od tego czasu utrzymywał bardzo bliskie kontakty z Adamem Michnikiem, Jackiem Kuroniem, Janem Lityńskim i Wiktorem Woroszyłskim. Świadectwem zaufania wobec Sulika stało się zaproszenie go na bal sylwestrowy opozycji w 1971 roku.

Gdy w połowie lat siedemdziesiątych Sulik ponownie przyjechał do Polski (po raz dziewiętnasty w ciągu dziesięciu lat), SB uzyskała informację, że odwiedził żonę Edmunda Bałuki, przywódcy strajku w Szczecinie, który od blisko dwóch

lat przebywał na emigracji. Na łamach paryskiej „Kultury” Sulik wspominał później, że zawsze wyruszał z Warszawy do Szczecina w nastroju nerwowego podniecenia: „Inaczej mówiąc – bałem się. [...] W Warszawie czułem się zadowolonym, dorobiłem się tam setek przyjaciół i znajomych, w Warszawie istniało gniazdo dysydentów. [...] Na swój sposób stolica była miastem otwartym, co na co dzień stwarzało poczucie bezpieczeństwa. Do Szczecina wjeżdżałem jak w miasto Dzikiego Zachodu, miasto bezprawia, które w swych podziemniach nie toleruje wścibskich intruzów. Wszystko, co słyszałem, wzmacniało we mnie te paniczne, subiektywne odczucia”. Starając się dotrzeć do uczestników strajków grudniowo-styczniowych z przełomu 1970 i 1971 roku, musiał też przełamać ich barierę strachu i nieufności. Spotykani robotnicy uważali go początkowo za naslanego ubeka, wypytywającego ich o sprawy sprzed kilku lat.

Tajny współpracownik SB „Orfeusz” (pod tym pseudonimem krył się Zygmunt Dzieciolowski, filolog, tłumacz, jeden z przywódców strajku studentów na Uniwersytecie Warszawskim w 1968 roku) donosił, że Sulik był „atrakcyjnym partnerem” dla działaczy rodzącej się opo-

► Notatka służbowa z akt sprawy kryptonim „Bass”, dotyczącej Bolesława Sulika



zycji ze względu na łatwość poruszania się po świecie. Z drugiej strony opozycja interesowała Sulika, bo dzięki kontaktom z nią mógł poprawić swą reputację wśród emigrantów. Informator wyjaśniał, że Sulik był też bezcennym źródłem wiadomości z kraju dla Giedroycia. Po powrocie z Polski natychmiast dzwonił do Maisons-Laffitte, przekazując najnowsze wiadomości. „Orfeusz” podejrzewał, że to Sulik przekazał do „Kultury” głośny artykuł Kuronia o opozycji politycznej w Polsce czy esej Michnika o Piłsudskim. Sulik miał również odegrać istotną rolę w rozbudzeniu zainteresowania opozycji „polskim” Londynem. To on uświadomił Michnikowi i Kuroniowi, że oprócz paryskiej „Kultury” na Zachodzie funkcjonują także inne ośrodki, zwłaszcza rząd emigracyjny.

Na indeksie

Mimo „wrogiej” postawy Sulika SB nie zrezygnowała z pomysłu zwerbowania emigracyjnego publicysty. Gdy jednak w końcu września 1976 roku brytyjska stacja telewizyjna ITV nadała film o strajku w stoczni szczecińskiej (Sulik był autorem scenariusza), plan pozyskania „Bassa” stanął pod znakiem zapytania. Złudzenia co do postawy Sulika ostatecznie rozwiązał jego „napastliwy” (czyli krytyczny wobec władz PRL) artykuł o strajku w Szczecinie, opublikowany w numerze październikowym paryskiej „Kultury”. Wywiad PRL otrzymał w dodatku informację, że „Bass” przygotowuje „wrogą” książkę o Grudniu '70. Kandydat na tajnego współpracownika przepoczwarzył się w oczach SB w „agresywnego” i „zdecydowanego” wroga PRL.

2 listopada 1976 roku płk Sławomir Lipowski przygotował postanowienie o wpisaniu Sulika do indeksu osób niepożądanych w PRL. W piśmie do Biura Paszportów MSW tłumaczył: „Od 1971 roku [Sulik] działa aktywnie przeciwko podstawowym interesom Polski Ludo-

wej. Autor wrogich nam publikacji w paryskiej »Kulturze«. Współautor i scenarzysta filmu, paszkwilu emitowanego przez telewizję brytyjską. Przyjazdy do Kraju wykorzystywał do kontaktowania się, inspirowania wrogich nam elementów, zbierania danych dla ośrodków dywersji ideologiczno-politycznej”.

Mimo zakazu wjazdu do Polski Sulik nadal kontaktował się z opozycją. W końcu maja 1977 roku w MSW przygotowano plan śledztwa przeciwko Jackowi Kuroniowi i innym działaczom Komitetu Obrony Robotników, podejrzanym



► Dokumenty z teczki paszportowej Bolesława Sulika

o przekazywanie korespondentom zagranicznym „fałszywych informacji dot[yczących] stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w Polsce”. Sulik był jednym z kilku zachodnich dziennikarzy, z którymi telefoniczny kontakt utrzymywali Kuroń czy Michnik. Spotykał się również z działaczami bądź współpracownikami KOR podczas ich podróży na Zachód.

W maju 1978 roku Sulik chciał ponownie odwiedzić Polskę. Gdy konsul w sposób „dość obcesowy” odmówił mu wizy, odwołał się do ambasadora Artura Starewicza. Interwencja okazała się jednak bezskuteczna. Z Warszawy nadeszło do ambasady stanowcze potwierdzenie: „Utrzymujemy indeks [osób niepożądanych]. Nie pójdziemy z nim [Sulikiem] na żadne rozmowy. Dał dość dowodów swej wrogości, a więc i podstawy do odmowy”.

Półtora roku później MSW jednorazowo pozwoliło jednak Sulikowi na wjazd do Polski. Powodem były śmierć i pogrzeb jego drugiej żony – mieszkającej w kraju Elżbiety Sulik-Wasilewskiej. Podczas tygodniowego pobytu w PRL „Bass” był objęty „operacyjną kontrolą”. W notatce służbowej płk Henryk Wróblewicz podkreślał, że figurant (w żargonie SB osoba rozpracowywana) wykorzystał wypadek losowy do nawiązania „szerokich kontaktów z czynnie działającym środowiskiem antysocjalistycznym”. Inwigilacja wykazała, że po przylocie do Warszawy Sulik odwiedził Woroszyłskiego, u którego spotkał się z Michnikiem. W pogrzebie żony „Bassa” uczestniczyło też kilkoro kowców: Adam Michnik, Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Halina Mikołajska, Jan Lityński, Barbara Toruńczyk, Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn oraz Wiktor Woroszyłski. Jeszcze tego samego dnia Sulik gościł u Lipskiego, a dwa dni później ponownie był u Woroszyłskiego oraz spotkał się z Gustawem

Gottesmanem i Tadeuszem Konwickim. Odnotowano również, że Sulik był w ambasadzie brytyjskiej, a po wyjściu dzwonił z budki telefonicznej do nieznanego rozmówcy. Gdy wyjeżdżał z Polski, na lotnisku żegnał go Michnik.

Gdy jesienią 1980 roku – już po pamiętnych strajkach sierpniowych – Sulik po raz kolejny wybierał się do kraju, oficer wywiadu PRL o pseudonimie „Scot”

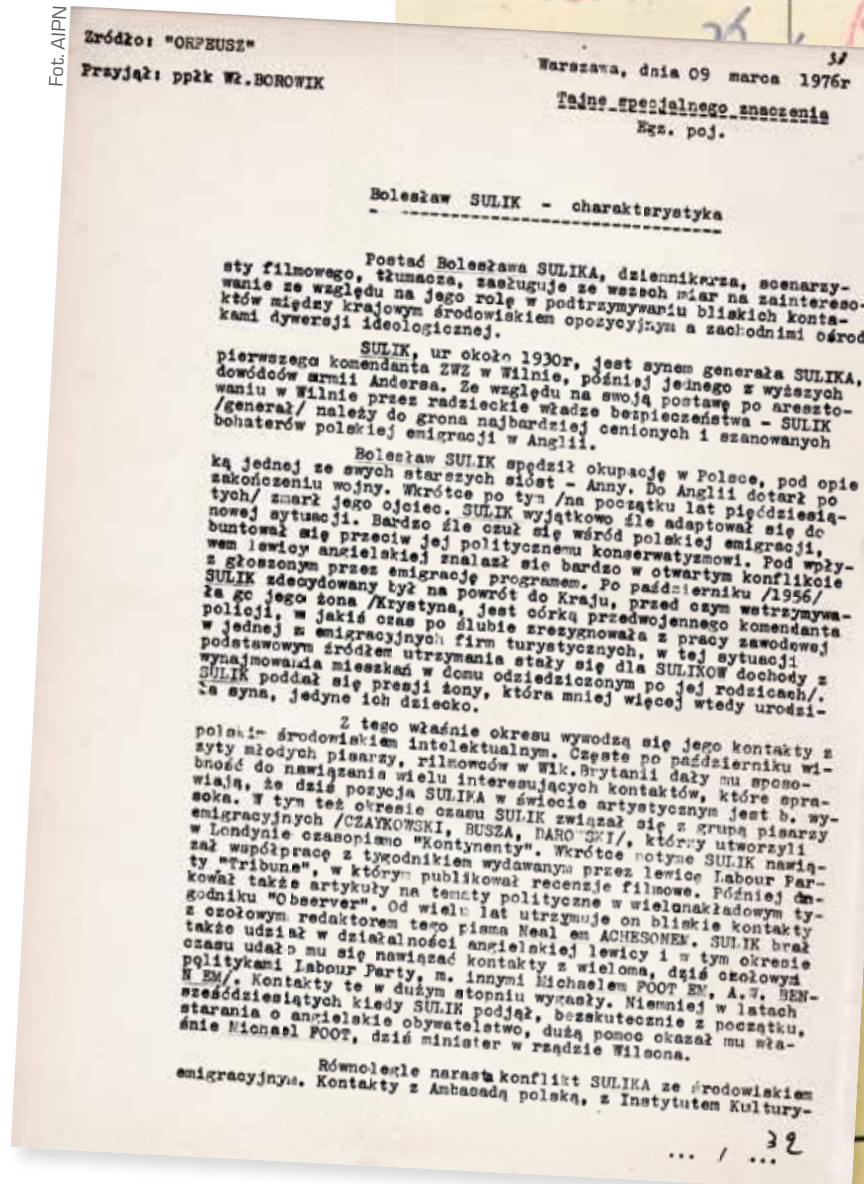
alarmował z Londynu, że emigracyjny publicysta i filmowiec „chce złamać zakaz, korzystając z obecnej sytuacji i faktu, że wielu jego kolegów i przyjaciół w Polsce zajmuje kierownicze stanowiska w »Solidarności«”. „Scot” przekonywał, że ewentualne skreślenie Sulika z indeksu osób niepożądanych w PRL będzie błędem: „Jest on tu nadal aktywnym organizatorem różnego rodzaju pomocy dla wrogów socjalizmu w Polsce”. Gdy w połowie listopada Wajda przyjechał do Londynu na pokaz swoich filmów w Instytucie Kultury Polskiej, już w pierwszych słowach po wyjściu z samolotu zażądał od dyrektora IKP, by Sulik pełnił rolę tłumacza. Grożąc zerwaniem imprezy, wprowadził też dziennikarza do instytutu. „Tak więc sytuacja jest taka – raportował »Scot« – że »Bass«, który jeszcze dwa miesiące temu demonstrował na czele bandy antykomunistów pod Ambasadą [PRL], obecnie razem z Wajdą wystąpił na scenie IKP”.

Inwigilację Sulika formalnie zakończono w czerwcu 1985 roku. Jeśli celem podjętych dziewięć lat wcześniej działań było „wypracowanie dialogu operacyjnego z »Bassem«, a więc pozyskanie publicysty do współpracy agenturalnej, to trzeba jasno stwierdzić, że nic z tych planów nie wyszło.

Jesienią 1985 roku, po kilkuletniej przerwie, Sulik znów przyjechał do PRL. W trakcie pobytu w kraju zbierał materiały do serialu dokumentalnego o historii Polski w XX wieku. Cykl zatytułowany *Walki o Polskę* składał się z dziewięciu odcinków i był realizowany na wspólne zamówienie telewizji brytyjskiej, amerykańskiej oraz zachodnoniemieckiej. Rok później Sulik ponownie nie otrzymał jednak wizy. Z zachowanej dokumentacji wynika, że w tym czasie SB nadal interesowała się dziennikarzem i filmowcem z Londynu, choć teoretycznie nie był już osobą rozpracowywaną.

W wolnej Polsce

Latem 1991 roku Sulik na stałe wrócił do kraju. W tym samym roku zrealizował dokument *W Solidarności*, będący swoistym zapisem życia społeczno-politycz-



► Charakterystyka Bolesława Sulika z akt sprawy o kryptonimie „Bass”

nego w pierwszym roku po upadku PRL. Film wzbudził kontrowersje, bo twórca wyraźnie opowiedział się po jednej stronie sporu w obozie solidarnościowym – poparł premiera Tadeusza Mazowieckiego i jego zwolenników, a w negatywnym świetle przedstawił Lecha Wałęsę. Kontrowersyjny był też kolejny dokument Sulika – *General* (1992), czyli wywiad rzeka z Wojciechem Jaruzelskim. Ze względu na pozytywny wizerunek autora stanu wojennego filmu nie chciała wyemitować żadna z krajowych stacji telewizyjnych.

Politycznie Sulik związał się ze środowiskiem Unii Demokratycznej. W 1993 roku z rekomendacji UD wszedł do

Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, a w latach 1995–1999 był nawet jej przewodniczącym. Następnie zasiadał w radzie nadzorczej TVP. Prezydent Aleksander Kwaśniewski odznaczył go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bolesław Sulik zmarł 22 maja 2012 roku. ❄

Tekst jest skróconą, popularnonaukową wersją artykułu *Bolesław Sulik – łącznik z Londynu*, który ukazał się w czasopiśmie „Archiwum Emigracji” (nr 1–2/2012).

prof. Krzysztof Tarka – historyk, kierownik Katedry Historii Najnowszej w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego, autor m.in. książki *Jest tylko jedna Polska? Emigranci w służbie PRL* (2014)

Butik samizdatowy nad Dunajem

Gábor Danyi

Na początku lat osiemdziesiątych w centrum Budapesztu, niedaleko starej restauracji Stuletniej, w mieszkaniu László Rajka przy ul. Galami, działał tzw. butik samizdatowy. Można tam było kupić – niedostępne w oficjalnym obiegu – materiały dotyczące polskiej opozycji, rewolucji w 1956 roku, mniejszości węgierskiej za granicą oraz zakazane dzieła literackie i czasopisma samizdatowe. Informacje o butiku były przekazywane z ust do ust i przez Radio Wolna Europa.

Biurowo samizdatowe – jak inaczej nazywano ten punkt kolportażowy – było otwarte tylko we wtorki między 20.00 a 22.00. Każdy mógł wówczas wejść do małego, jednopokojowego mieszkania na trzecim piętrze: ani zaproszenie, ani hasło, ani zgoda właściciela nie były potrzebne. Oczywiście przychodzili tutaj nie tylko klienci, lecz także agenci węgierskiej Państwowej Służby Bezpieczeństwa. Reżim tolerował działanie sklepiku od jego otwarcia na początku 1981 roku do wiosny 1983 roku, kiedy to został zamknięty z powodu wielokrotnych najść policji, konfiskaty kilku ton materiałów oraz szykan wobec wytwórców, kolporterów i klientów.

Polski przykład

Historia węgierskiego samizdatu jest silnie związana z Polską. „Koncepcja KOR-u wywarła wielki wpływ na kształtującą się wówczas opozycję węgierską. Można wręcz powiedzieć, że opozycja demokratyczna na Węgrzech wyrosła z polskiej inspiracji. Także i u nas różne osoby starały się utworzyć instytucje kulturalne i społeczne” – mówił Ferenc Kószeg, działacz opozycji antykomunistycznej, w wywiadzie dla niezależnego polskiego czasopisma „Obóz” w 1988 roku.

We wrześniu 1978 roku rozpoczęły się na Węgrzech seminaria Uniwersytetu Latającego, organizowane w poniedziałki w prywatnych mieszkaniach. Słuchacze mogli zdobywać niedostępną skądinąd wiedzę, m.in. o historii partii komunistycznych, o rewolucji 1956 roku oraz o sytuacji mniejszości węgierskich w krajach sąsiedzkich. Jesienią 1979 roku zaczęła działać SZETA, czyli Fundusz Wspierania Ubogich, który – poza tym, że zbierał dary i rozdawał potrzebującym – zachęcał do refleksji nad sytuacją biednych, będącą tematem tabu w systemie komunistycznym. Powstawały również inne organizacje niezależne, tzw. MUKI (Instytut Poszukujący Pracy) i KUKI (Instytut Poszukujący Wyrzuconych).

Drugi obieg, rozwijający się stopniowo od 1977 roku, znacznie rozrósł się w roku

1981. Po otwarciu biura samizdatowego zaczęło się ukazywać „Beszélő” – pierwsze czasopismo samizdatowe odbijane w dużym nakładzie na powielaczu. Powstała też – wzorująca się na polskiej NOW-iej – Niezależna Oficyna Wydawnicza AB. W następnych latach stworzono kilka kolejnych czasopism i wydawnictw samizdatowych, chociaż większość tych ostatnich wydawała nie więcej niż kilka publikacji.

Sklepik z samizdatem

Plan stworzenia biura samizdatowego powstawał w latach 1978–1979. Już wtedy działał na Węgrzech wąski krąg opozycjonistów przekazujących sobie bibułę. Z dwóch powodów poprosili oni trzydziestoletniego architekta László Rajka, aby pełnił rolę gospodarza. Po pierwsze,

► Okładka z serii „Dokumenty ucisku i oporu”, publikowanej przez niezależną oficynę AB, zawierającej zbiory tekstów omawiających sytuację w Polsce



Fot. Open Society Archives, Budapeszt

jego mieszkanie znajdowało się w centrum Budapesztu. Po drugie, dysydenci sądzili, że nazwisko Rajk gwarantuje im nietykalność. László Rajk senior, komunistyczny minister spraw wewnętrznych w latach 1946–1948, był traktowany jak ofiara reżimu, ponieważ w 1949 roku został stracony po procesie pokazowym. Júlia Rajk, wdowa po ministrze, a zarazem uznana działaczka ruchu komunistycznego, była – jak trafnie mówiono – „ucieleśnionymi wyrzutami sumienia reżimu”. Dzięki tej wyjątkowej pozycji i kontaktom na wyższym szczeblu mogła załatwiać takie sprawy, jak np. pozytywne rozpatrzenie próby o paszport, i w wielu przypadkach stawała w obronie aresztowanych czy oskarżonych. Teraz nazwisko Rajk miało obronić biuro samizdatowe przed represjami. „Przy starcie butiku niektórzy mówili, że sklep ani przez pół godziny nie będzie otwarty, inni mówili, że będzie otwarty 24 godziny, ale następnego dnia już nie. Dzięki Bogu prorocy nie mieli racji” – wspominał László Rajk.

Butik funkcjonował dzięki świadomeму oddzieleniu działalności jawnej od konspiracyjnej. Przygotowania do otwarcia biura samizdatowego były oczywiście tajne, organizatorzy rozmawiali o najważniejszych szczegółach na wolnym powietrzu, przeważnie podczas spacerów. „Nigdy w życiu nie spacerowaliśmy tyle co w tamtych latach” – wspominał Bálint Nagy, który później został jednym z redaktorów czasopisma „Beszélő”. Sam butik działał, a nawet reklamował się w sposób jawny, co miało ułatwić uformowanie



Fot. Open Society Archives, Budapeszt

► „Beszélő” było pierwszym na Węgrzech czasopismem odbijanym na powielaczu; fragmenty dziennika Witolda Gombrowicza (poniżej) należały do rzadszych publikacji literackich

się kręgu nabywców. Twórcy biura samizdatowego mieli nadzieję, że siła opinii publicznej obroni ich przed szykanami. Praca na drugim planie – jak powielanie i magazynowanie – przebiegała już jednak w warunkach konspiracyjnych. Pozwalało to na regularne uzupełnianie materiałów konfiskowanych w czasie akcji policyjnych i ponowne działanie już w następnym tygodniu. Według wspomnień László Rajka, pewnego razu po uzupełnieniu zapasów butik był otwarty nieprzerwanie przez cztery tygodnie.

Zamówienia były przyjmowane na słowo. W ten sposób przerzucano niebezpieczeństwo na klientów, którzy podejmowali ryzyko, przychodząc ponownie

w celu odebrania zamówionych materiałów. Egzemplarze okazowe trzymano w innym mieszkaniu, a zamówienia realizowały pracujące na czarno maszynistki, do których materiały trafiały przez pośredników. W następnym tygodniu część gości przychodzących z torbą przynosiła, a druga wynosiła przepisane egzemplarze. Na początku bardzo rzadko można było kupować samizdaty na miejscu, ale później taka sprzedaż stała się coraz bardziej popularna. W sklepie trzymano wówczas tylko tyle egzemplarzy, ile spodziewano się sprzedać w danym dniu. Reszta zostawała w magazynie, znajdującym się gdzieś indziej. Do sprzedaży na miejscu zachęcało to, że od końca 1981 roku była do dyspozycji technika „ramki”, zapożyczona od Polaków, która umożliwiała szybsze powielanie w większym nakładzie. Działacze opozycyjni tak bardzo byli przekonani o nietykalności butiku, że czasami zapominali o zasadach konspiracji. Zdarzało się na przykład, że egzemplarze powielano w mieszkaniu Rajka. Jak pisała Róza Hodosán, działaczka ruchu opozycyjnego, obowiązywała nawet niepisana umowa, że „jeżeli ktoś zostanie schwytany z drukiem, z samizdatem – ufając w »nietykalność« Laciego [zdrobnienie imienia Rajka] – powie, że stanowią one własność László Rajka”.

Sklep samizdatowy z miesiąca na miesiąc zyskiwał coraz większą rozpozna- ►

Fot. Open Society Archives, Budapeszt



Fot. Viktor Gyöng

walność, ponieważ informowano o nim na seminariach Uniwersytetu Łatającego, podczas wydarzeń organizowanych przez SZET-ę i w Radiu Wolna Europa. Sława butików szerzyła się też dzięki ulotkom. Pewien nadgorliwy obywatel dostarczył władzom znalezioną na jednym z siedzeń autobusu numer 7 ulotkę z adresem, godzinami otwarcia sklepu i listą wydawnictw do kupienia. Ulotki reklamujące Niezależną Oficynę Wydawniczą AB i biuro samizdatowe pojawiały się również w budynku Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu im. Loránda Eötvösa, znajdującym się blisko butików. W pierwszym półroczu funkcjonowania sklepu, od lutego do lipca 1981 roku, czytelników znalazło ok. 80 tys. stron bibuły. Rok później, w listopadzie 1982 roku, agent o pseudonimie „Zóna” zauważył ze zdziwieniem, że popularność biura samizdatowego mocno wzrosła – w ciągu zaledwie 20 minut naliczył w mieszkaniu 25–30 osób.

Klienci i towary

Butik zapewniał opozycji ramy organizacyjne. Zaglądały tu osoby, które pomagały porządkować materiały, zbierać i księgować pieniądze itp. W mieszkaniu Rajka regularnie pojawiali się również inni ludzie związani z opozycją, którzy – chociaż nie byli zaangażowani w działanie biura samizdatowego – korzystali z tego, że miejsce sprzyjało kontaktom i rozmowom. Wśród klientów byli przede wszystkim studenci i intelektualiści ze starszego pokolenia; oprócz nich pojawiali się kolporterzy, którzy – czasami wydając na miejscu tysiące forintów – przekazywali bibułę do innych punktów w Budapeszcie i na prowincji. Odwiedzający butik często słyszeli rozmowy po angielsku albo po polsku, prowadzone na miejscu bądź przez telefon. Dziennikarze i reporterzy z Zachodu też odwiedzali mieszkanie Rajka, by przeprowadzić wywiady z członkami opozycji lub zebrać materiał do artykułów o działaniu biura



▶ W ciasnej przestrzeni butików samizdatowych przebywało czasami jednocześnie dwudziestu, trzydziestu klientów; Budapeszt, 1981 rok

samizdatowego. Agenci bezpieki podsywający się pod klientów mieli za zadanie zreferować, co słyszeli i widzieli w butikach. Interesowali się charakterem wydawnictw do sprzedaży, osobami odwiedzającymi sklep i ich rozmowami, planami opozycji itp. Niekiedy kupowali wydawnictwa, by przekazać je oficerowi prowadzącemu. „Oczywiście mieliśmy świadomość tego, że wśród klientów znajdują się też agenci. Ale kto trudził się właśnie nad zgromadzeniem publiczności, nie mógł być wiecznie podejrzliwy. Przed tym mogliśmy się chronić za pomocą siły czystej przyjaźni” – pisał Miklós Haraszti, redaktor czasopisma „Beszélő”.

Chociaż w latach 1980–1981 dwie trzecie literatury samizdatowej publikowanej na Węgrzech pochodziło z Polski, w butikach można też było kupić rodzime wydawnictwa, które powstały na podstawie wcześniejszych publikacji oficjalnych, niedostępnych lub wycowanych z obiegu. Gracja Kerényi, tłumaczka m.in. ma-

teriałów polskiej opozycji, sprzedała w butikach swoją książkę *Dalok könyve* „Księga pieśni”, wydaną oficjalnie własnym sumptem. W sklepie pojawił się węgierskojęzyczny egzemplarz powieści Danilo Kiša *Borisz Davidovics síremléke* „Grobowiec dla Borysa Dawidowicza”, wydany w Jugosławii dzięki Oficynie Wydawniczej Forum. Można też było kupić wydawnictwa emigracyjne, np. czasopisma literackie „Magyar Műhely” i „Magyar Füzetek”. Oprócz książek sprzedawano naklejki z napisem „Solidarność” oraz kasetę *A forradalom hangja* „Głos rewolucji”, zawierającą nagrania programu radiowego, nadawanego podczas rewolucji w 1956 roku, i związane z nią wiersze.

Bibuła do sprzedaży w butikach była – z powodu kosztów produkcyjnych – znacznie droższa niż wydawnictwa oficjalne, korzystające z państwowych dotacji. Klienci uważali, że ceny są zbyt wysokie, i mnożące się niezależne oficyny wydawni-

Fot. Viktor Györök

cze musiały brać to pod uwagę. Wydawcy próbowali poprawić swoją niepewną sytuację finansową, stawiając przede wszystkim na te publikacje, które cieszyły się największym zainteresowaniem. Butik starał się zaś poszerzyć krąg swoich usług. W pewnej części mieszkania zorganizowano na przykład kącik dla czytelników, z którego mogli korzystać przede wszystkim ubożsi studenci. Wspomniany już agent o pseudonimie „Zóna” relacjonował, że któregoś razu na stole ustawiono w szeregu butelki – wina, koniaku, wódki, itp. – z których każdy mógł pić według uznania.

Biuro samizdatowe było więc ważną wyspą w życiu opozycji węgierskiej. Z jednej strony stało się



ośrodkiem kolportażu bibuły. Każdy mógł tu oddać rękopis albo maszynopis w celu powielenia i rozpowszechnienia, a nielegalne materiały trafiały stąd do klientów i do dalszych kolporterów. Z drugiej strony butik służył jako miejsce spotkań węgierskich intelektualistów. Te rozmowy naturalnie miały swoje granice: „W butik Rajka nigdy, w żadnym wypadku nie rozmawialiśmy o zorganizowaniu żadnego wydarzenia konspiracyjnego” – pisała Róza Hodosán. Poza tym biuro samizdatowe pozwalało demonstrować istnienie i działalność opozycji węgierskiej. Funkcjonując jako centralna instytucja węgierskiego drugiego obiegu, stało się symbolem czasowej tolerancji organów państwowych i względnie liberalizmu Węgierskiej Republiki Ludowej.

Tolerancja służb

Nasuwa się pytanie, dlaczego organy policyjne przez ponad rok powstrzymywały się

przed szykanami wobec butiku samizdatowego. Najbardziej prawdopodobna teoria głosi, że tolerancja władzy wobec opozycji przyczyniała się do pozytywnej oceny Węgier na Zachodzie. Władze w Budapeszcie, borykające się z coraz większymi kłopotami gospodarczymi, potrzebowały finansowania z zewnątrz. Względna tolerancja pozwoliła im kreować na potrzeby Zachodu obraz kraju liberalnego, a dzięki temu łatwiej otrzymać kredyty. Gdy 6 maja 1982 roku Węgry zostały przyjęte do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, stosunek organów państwowych do opozycji radykalnie się zmienił. Od lata 1982 roku dysydenci musieli się liczyć z częstymi szykanami, śledzeniem na ulicy i odprawianiem na komisariat. Dla losów biura samizdatowego istotne były też inne czynniki. Po pierwsze, po śmierci Júlii Rajk butik przestał być „chroniony”. Po drugie, w listopadzie 1982 roku do władzy w ZSRR doszedł Jurij Andropow, który

w 1956 roku – jako ówczesny ambasador Związku Radzieckiego w Budapeszcie – odegrał znaczącą rolę w sowieckiej interwencji wojskowej. Oczywiście wydarzenia polskie – wprowadzenie stanu wojennego i zejście Solidarności do podziemia – też miały wpływ na zaostrożenie kursu politycznego.

W prasie węgierskiej publikowano coraz więcej artykułów sygnalizujących zmiany stosunku władzy do opozycji. 9 października 1982 roku István Horváth, minister spraw wewnętrznych, w swoim exposé w dzienniku „Magyar Hírlap” określił działalność osób i grup opozycyjnych jako kryminalną. Osoby i grupy wrogie muszą wiedzieć – pisał – że „organy państwa zachowują odpowiednią czujność, nalezną cierpliwość, a także potrzebną stanowczość, aby wszystkimi środkami prawa postępować przeciwko tym, którzy naruszają podstawowe interesy i prawa, którzy zagrażają naszym osiągnięciom socjalistycznym”. János Kis, czołowy działacz opozycji demokratycznej, interpretował exposé Horvátha jako namiastkę szykan policyjnych, nie zaś wstęp do nich. Miesiąc później, 11 grudnia 1982 roku, w artykule opublikowanym w „Népszabadság”, centralnym dzienniku Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, dziennikarz Péter Rényi oskarżał opozycję, że wstępuje ona do służby na rzecz „antykomunistycznych elementów zachodnich”. Rényi atakował jednak nie tyle członków opozycji produkujących bibułę, ile pisarza Györgya Konráda, który przebywając na Zachodzie, wypowiadał się krytycznie na temat władzy węgierskiej. Artykuł był więc jednocześnie ostrzeżeniem i manewrem dywersyjnym: trzy dni później miało miejsce najcięższe, jak dotąd, działanie policyjne.

Według wspomnień, 14 grudnia 1982 roku, kiedy po otwarciu butiku wielu ludzi tłoczyło się w mieszkaniu Rajka, jak zwykle we wtorki pełnym dymu papierosowego, niespodziewanie weszła duża grupa policjantów w cywilnych ubraniach. Krępy oficer – powołując się na zgłoszenie obywatelskie – zawiadomił o nakazie rewizji domowej z powodu wykroczenia prasowego. Policjanci wylegitymowali około trzydziestu obec-

► Najbezpieczniejsze były rozmowy podczas spacerów; na zdjęciu (od lewej): Miklós Haraszti, redaktor czasopisma „Beszélő”, Gábor Demszky, założyciel niezależnego wydawnictwa AB, i László Rajk, gospodarz butiku samizdatowego



► Ciężarówka z napisem „Transport mebli. Przeprowadzki” w dniu przymusowej wyprawki Rajka z butiku

nych. Wiele osób przesłuchano nocą na komendzie. Dziennikarze zachodni pisali o konfiskacie około 150 tytułów, które wypełniły dwa minibusy i jeden samochód kombi. Wartość tych materiałów szacowano na pół miliona forintów (ponad sto przeciętnych pensji). Akcja przebiegła w sposób zorganizowany, ponieważ w tym samym czasie u pięciu dysydentów – Gábora Demszkyego, Jenő Nagya, Bálinta Nagya, Istvána Csorbya, Miklósa Sulyoka – również przeprowadzono rewizję domową. Nawet powiadomienie o sankcjach zostało zawczasu przygotowane: już drugiego dnia tej akcji opublikowano w prasie krótką informację, według której wytwórcy bibuły otrzymali nagane.

Tydzień później, 21 grudnia, kiedy Rajk o zwyczajowej porze próbował otworzyć butik, znowu pojawiła się policja. Pownownie przetrząśnięto całe mieszkanie i zabrano wszystko, nawet ostatni papier maszynowy, który został po wypakowaniu w poprzednim tygodniu. 28 grudnia policja co prawda już nie wchodziła do mieszkania, ale legitymowała na ulicy przychodzących do biura samizdatowego. Dodatkowo władza starała się uniemożliwić działanie butiku w sposób administracyjny: 26 stycznia 1983 roku Rajka, który odziedziczył drugie mieszkanie po śmierci swojej matki, usunięto z mieszkania przy ul. Galamb, twierdząc, że nielegalnie zajął dwa mieszkania komunalne. Biuro samizdatowe zostało w ten sposób zmuszone do przeprowadzenia się do drugiego mieszkania przy ul. Hankóczy, którego podstawowym mankamentem była lokalizacja: znajdowało się poza centrum, było więc trudno dostępne dla klientów. Policja kontynuowała rewizje wiosną i coraz bardziej szykanowała zaglądnących tam ludzi. Do maja 1983 roku butik zamarł, a po kradzieży materiałów przeznaczonych do sprzedaży odwiedzających było coraz mniej. Centralny kolportaż bibuły został sparaliżowany.

Zejdźcie do podziemia

W szeregach opozycji wystąpiły objawy kryzysu. Wraz z zamknięciem butiku utracono bezpośredni kontakt

z klientami. Nie było imprez publicznych i miejsc sprzyjających spotkaniom, wyludnił się Uniwersytet Latający. Ruch opozycyjny izolował się i w kregach dysydentów zapanował nastrój rezygnacji i niepewności.

„Dlatego też żałowałem zamknięcia butiku, ponieważ on był słupem podpierającym moje strategie wydawania i rozpowszechniania” – mówił Jenő Nagy, szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej ABC. Niezbędne stały się decentralizacja kolportażu bibuły i pogłębienie konspiracji. Trzeba było szukać nowych sposobów rozpowszechnienia druków. Ci, którzy zwracali uwagę na przestrzeganie podstawowych reguł konspiracji – np. drukarze i kolporterzy czasopisma „Beszélő” – mogli zbudować skuteczną sieć kolportażową i ich działalność była nieprzerwana. Ci jednak, którzy nie konspirowali dobrze i nie zdecydowali się na ścisłe rozdzielanie druku od kolportażu – np. Jenő Nagy i jego wydawnictwo – musieli działać w krzyżowym ogniu ciągłych szykan policyjnych i rewizji domowych. Forma kolportażowa sprzedaży w butiku na pewien czas została zepchnięta na drugi plan, ale od 1985 roku w mieszkaniu Rózy Hodosán i Gábora Demszkyego przy al. Bajcsy-Zsilinszkyego w Budapeszcie w poniedziałki i we wtorki znowu można było kupić bibułę. Jednocześnie coraz lepiej rozprowadzono ją na różnych imprezach opozycji, na niezależnych czy półlegalnych wydarzeniach artystycznych oraz na ulicy. Gábor Bouquet na przykład rozpowszechniał materiały w autobusie numer 56 i w pasażu podziemnym przy stołecznym placu Batthyánya. Po pamiętnej dla butiku wiosnie 1983 roku nastąpił niezbyt długi kryzys, jednak ten rok był raczej datą graniczną w historii węgierskiego samizdatu. Jak ujął to György Krassó, kierownik Wydawnictwa Magyar Október: „samizdat miał siłę trzymać ludzi razem” – i w tej roli bibuła towarzyszyła węgierskiemu ruchowi opozycyjnemu aż do transformacji. 🍀

Gábor Danyi – literaturoznawca, doktorant na Wydziale Literatury Porównawczej Uniwersytetu im. Loránda Eötvösa w Budapeszcie

Zdławić kontrrewolucję

Patryk Pleskot

ZSRR i inne państwa Układu Warszawskiego uznały narodziny Solidarności za śmiertelne zagrożenie dla swoich interesów, a podpisanie porozumień sierpniowych – za poważny błąd peerelowskiej ekipy rządzącej. W obliczu „polskiej kontrrewolucji” wiekowy Leonid Breżniew potrafił wykrzesać z siebie nieco energii, sztorcując polskich towarzyszy, a Erich Honecker domagał się rozwiązania siłowego. Komunistyczni przywódcy nie mieliby nic przeciwko temu, by dzień narodzin Solidarności był zarazem dniem jej śmierci.

Jeszcze przed podpisaniem historycznych porozumień w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu na Kremlu pojawiło się silne przekonanie, że „źle się dzieje w państwie polskim”. 25 sierpnia 1980 roku Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego powołało do życia specjalną komisję ds. polskich, kierowaną przez blisko osiemdziesięcioletniego Michaiła Susłowa, jednego z najważniejszych ludzi w sowieckiej wierchuszce. W skład tego ciała weszli jeszcze m.in. szef KGB Jurij Andropow, Konstantin Czernienko (tak jak Andropow – przyszły sekretarz generalny KPZR) i minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko. Podobną komisję stworzono tuż przed inwazją na Afganistan, do której doszło w końcu grudnia 1979 roku. Nie wróżyło to dobrze Solidarności.

Kreml nie próżnuje

Członkowie komisji dyskutowali codziennie, a w pełnym gronie mieli zbierać się co najmniej dwa razy w miesiącu. Szybko sformułowano tezę, że za Solidarnością stoi Kościół, dążący wraz ze związkowcami do obalenia komunizmu. Powołanie komisji Susłowa można zarazem uznać za pierwszy akord nacisków Moskwy na polskie władze, nieustannie powtarzanych przez cały okres legalnego funkcjonowania Solidarności, tj. do 13 grudnia 1981 roku. Nacisków, które nakazywały zdławienie „kontrrewolucji”.

▶ Lech Wałęsa przemawia do zgromadzonych przy bramie nr 1 Stoczni Gdańskiej im. Lenina; sierpień 1980 roku

► Straż robotnicza przy bramie nr 2 w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1980 roku



Jak pisze brytyjski historyk Anthony Kemp-Welch, „po zawarciu porozumień gdańskich ideolodzy sowieccy pracownicy wertowali teksty klasyków, aby je wykorzystać do zgromienia swoich polskich towarzyszy”. W mniemaniu Kremla polski „wirus” mógł bowiem rozprzestrzenić się na pozostałe państwa Układu Warszawskiego. Ponadto Polska, postrzegana jako ważny element sowieckiego systemu obronnego i miejsce stacjonowania licznych wojsk sowieckich (oraz taktycznych głowic atomowych), nie mogła być pozostawiona samopas. Nie mogła nawet zyskać tak ograniczonej swobody w prowadzeniu polityki zagranicznej, jaką cieszyła się peryferyjna Rumunia.

Moskwa obawiała się również wpływu Solidarności na republiki związkowe samego sowieckiego supermocarstwa. Już od końca lipca 1980 roku Biuro Polityczne KC KPZR, w reakcji na rosnącą falę strajkową w Polsce, starało się drobnymi posunięciami socjalnymi i propagandowymi zjednywać sowieckich robotników i zwiększać dyscyplinę pracy. Nakazano mediom podkreślać znaczenie rodzimych i w pełni uzależnionych od władzy związków zawodowych. Na przykład 16 sierpnia na pierwszej stronie „Prawdy”, obok krótkiej informacji o powrocie Edwarda Gierka do kraju z wakacji na Krymie, znalazł się artykuł wstępny poświęcony rzekomo rosnącej roli sowieckich związków zawodowych. Dokumenty odtajnione jakiś czas temu wskazują, że rzeczywiście pod wpływem sytuacji w PRL liczba protestów pracowniczych w ZSRR wyraźnie wzrosła.

W sierpniu Politbiuro nakazało strukturę KGB i członkom aparatu partyjnego w republikach sąsiadujących z Polską ściślejsze kontrolowanie polskich turystów, a także odnotowywanie komentarzy formułowanych przez obywateli sowieckich, wracających z Polski. „Wirus” musiał być przecież izolowany. W efekcie na jesieni ruch turystyczny między PRL a ZSRR został zdecydowanie ograniczony.

W obliczu tych zagrożeń nie może dziwić, że Moskwa od samego początku zachęcała polskich towarzyszy do stłumienia „kontrewolucji”. Jedną z form

nacisku były przesyłane co pewien czas listy do kierownictwa PZPR. W Warszawie traktowano je bardzo poważnie i na pewno robiły wiele zamieszania.

Rosjanie oferowali przy tym swą „braterską pomoc”. Sowieccy doradcy znaleźli się w Warszawie już w połowie sierpnia i pomagali w pierwszych projektach zdławienia siłą protestów robotniczych, przygotowywanych przez gen. Bogusława Stachurę, wiceministra spraw wewnętrznych PRL, w ramach operacji „Lato-80”. Trzy dni po utworzeniu komisji Susłowa z jej inicjatywy stworzono możliwości dwuetapowej mobilizacji do 100 tys. sowieckich rezerwistów i 15 tys. pojazdów na wypadek interwencji w Polsce. W ten sposób właściwie już od końca sierpnia Kreml był gotów do natychmiastowego wysłania na zachód co najmniej kilku dywizji, mających ewentualnie wspomóc kilkudziesięciotysięczną Północną Grupę Wojsk Armii Sowieckiej, stacjonującą w Polsce. Szczyt tych nacisków i największe napięcie „ofert pomocy” przypadły na grudzień, ale – o dziwo – 1980, a nie 1981 roku. To już jednak odrębna historia.

Strach satelitów

Groźby rozprzestrzenienia się solidarnościowej „kontrewolucji” zdeterminowały postawy pozostałych członków Układu Warszawskiego. W kierownictwach partii komunistycznych poszczególnych państw pojawiały się głosy nawołujące do radykalnych rozwiązań w stylu inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. Wszyscy przyłączali się do sowieckich nacisków na polskie władze, domagając się bardziej stanowczych działań wobec Solidarności.

W mediach sytuację w Polsce przedstawiano albo w tonie krytycznym, albo – nawet częściej – w sposób bagatelizujący wydarzenia w „bratnim kraju”, co miało nie dopuścić do niepokojów społecznych na własnym podwórku. W ten sposób oficjalna propaganda rozmiękała się z rzeczywistymi przekonaniami przywódców partyjno-państwowych, naznaczonymi dużym niepokojem, a także niedowierzaniem wywołanym zgodą władz w Warszawie na zawarcie porozumień z opozycją.



Fot. PAP/CAF/ Marek Langda

► Uczestnicy spotkania przedstawicieli KC PZPR i KC KPZR: Konstantin Rusakow, Stanisław Kania, Michaił Susłow; Warszawa, 23 kwietnia 1981 roku

PRL – najsłabsze ogniwo

Nastroje te zapanowały w sierpniu 1980 roku w Sofii i Budapeszcie. Największe zapewne obawy pojawiły się jednak w dogmatycznym kręgu przywódczym NRD. Były one o tyle uzasadnione, że przecież wschodnie Niemcy graniczyły z Polską. Groziło to – w mniemaniu Ericha Honeckera i jego ekipy – przeniknięciem do Niemieckiej Republiki Demokratycznej „wywrotowych” idei. Dlatego też zastosowano drakońskie środki ostrożności: każdy obywatel NRD, przy którym znaleziono materiały związane z Solidarnością, mógł zostać aresztowany. Podobnie jak w ZSRR, zaczęto też ograniczać ruch turystyczny, co 30 października poskutkowało jednostronnym, okresowym zawieszeniem umowy o bezpaszportowym i bezwizowym ruchu transgranicznym.

Już na posiedzeniu z 19 sierpnia 1980 roku członkowie Biura Politycznego KC Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) uznali, że oficjalne komentarze Berlina pozostaną wstrzemięźliwe i lakoniczne. Za to w kularach niemal od razu uznano interwencję wojskową Układu Warszawskiego za jeden z podstawowych sposobów rozwiązania polskiego kryzysu. Jesienią język Honeckera wyraźnie się zaostrzył. W listopadzie wschodniemiecki przywódca w liście do Breżniewa wystąpił z inicjatywą zwołania konferencji państw Układu Warszawskiego, poświęconej polskiemu kryzysowi. Odbyła się ona 5 grudnia w Moskwie, a Honecker okazał się zwolennikiem siłowego rozwią-

zania (w kolejnych miesiącach zmienił zdanie i domagał się wymiany kierownictwa PZPR na bardziej zdecydowane).

W enerdowskich komentarzach na podstawie porozumień sierpniowych dominowały dwa tony: zgorznienie wywołane sytuacją w Polsce oraz demonstracyjne okazywanie przywiązania do Moskwy. Jednocześnie we wrześniu 1980 roku jeden z członków Biura Politycznego KC SED w rozmowie z członkiem komisji Susłowa, Michaiłem Zimianinem, stwierdził, że dla niemieckiego kierownictwa wydarzenia w Polsce są groźniejsze niż sytuacja w Czechosłowacji w 1968 roku. PRL uznano za najsłabsze ogniwo Układu Warszawskiego.

W grę wchodziły również aspekty gospodarcze, a zwłaszcza drastyczne zmniejszenie dostaw węgla z Polski. W Berlinie – jak zwykle zresztą – starano się przewidzieć, jak bieżąca sytuacja polityczna w bloku wschodnim wpłynie na absolutnie priorytetowe stosunki niemiecko-niemieckie.

Nie może więc dziwić, że w działaniu dotyczące Polski włączyła się Stasi. We wrześniu powstała Grupa Operacyjna Warszawa, czyli oficjalna rezydentura Stasi w PRL. Zainicjowano również operację „Wolke”, polegającą na podsłuchiowaniu m.in. polskich instytucji rządowych. Na początku września wschodniemieckie służby specjalne otrzymały od władz rozkaz przeciwdziałania „dezintegracji” Polski, głównie przez akcje propagandowe i włączanie „sił antysocjalistycznych” – nie tylko na terenie sa-

mej NRD, lecz także PRL, którą uznano za „obszar operacyjny” (tak też nazywano RFN oraz Czechosłowację w 1968 roku). Tym samym enerdowskie służby zostały włączone w działania wymierzone w Solidarność, a nawet we frakcję „rewizjonistyczną” w PZPR.

Teorie spiskowe

Zwolennicy siłowego pozbycia się problemu Solidarności odgrywali pierwszoplanową rolę w Czechosłowacji – państwie o najdłuższej granicy lądowej z PRL. Gustáv Husák, który doszedł do władzy po stłumieniu praskiej wiosny w 1968 roku, był równie niechętny narodziłom Solidarności jak Honecker. Obaj zajmowali radykalne stanowisko podczas spotkania przywódców „bratnich krajów” w Moskwie. Realizująca wytyczne partii prasa czechosłowacka od początku określała opozycję w Polsce jako antysocjalistyczną i odpowiedzialną za głęboki kryzys gospodarczy, odbijający się na poziomie wymiany handlowej między PRL a CSRS.

O stosunku praskich elit politycznych do sytuacji w Polsce najlepiej świadczy wypowiedź sekretarza KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Vasilá Biřáka, z początku października 1980 roku. Polityk ten, uznawany za symbol kolaboracji z Moskwą, na posiedzeniu plenum KC oświadczył, że „plan antysocjalistyczny” był wprowadzany w Polsce od 1978 roku – momentu wyboru Karola Wojtyły na papieża. Jak przekonywał, „co dzieje się niby przypadkiem w Polsce, stanowi wielką zbrodnię skierowaną przeciw socjalizmowi i ludowi polskiemu. Jest to kłamliwe oskarżenie sił kontrrewolucji oraz tych, którzy chcą wraz z imperialistami zniszczyć w Polsce społeczeństwo socjalistyczne”. Dostało się również władzom w Warszawie, oskarżanym o miękkość i fatalną politykę gospodarczą, uzależniającą PRL od Zachodu.

Podobnie jak Stasi, również czechosłowackie MSW (StB) zostało postawione w stan gotowości. Bezpośrednią reakcją na powstanie Solidarności było zorganizowanie akcji o kryptonimie „Kruh” (czyli „Krag”), która szybko przekształciła się

w ogólnokrajowe przedsięwzięcie operacyjne „Sever”. Miało ono na celu „ochronę” czechosłowackich robotników przed „wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym”, a polegało przede wszystkim na uściśleniu kontroli nad obiektami strategicznymi oraz przygotowaniu środków prewencyjnych przeciwko ewentualnym inicjatorom protestów i strajków. Dodatkowo starano się objąć ścisłą inwigilacją Polaków zamieszkujących Czechosłowację. Mimo to nie zdławiono wszystkich inicjatyw solidarności z Solidarnością. Środowisku związanemu z „Kartą 77” udało się we wrześniu rozpowszechnić jako samizdat oświadczenie, w którym z radością przywitani narodziny niezależnych związków zawodowych.

Jugosławia – bliżej Moskwy niż Gdańska

Choć komunistyczna Jugosławia od zawsze podkreślała swoją niezależność od Moskwy, to w swym stosunku do narodzin Solidarności postanowiła się wpisać w politykę kremlowską – jednak nie w pełni. Już 22 sierpnia Hamdija Pozderac, wpływowy członek establishmentu jugosłowiańskiego, podpisał tajny dokument nawołujący do „podjęcia wszelkich działań w celu zapewnienia dostępności produktów oraz przekazywania informacji o sytuacji w Polsce, tak by nie miała ona negatywnego wpływu na wydarzenia w Jugosławii”. Atmosferę podgrzewała ambasada jugosłowiańska w Warsza-

▶ Wojciech Jaruzelski i Gustáv Husák w czasie spotkania w Pradze, 5 kwietnia 1982 roku



Fot.: PAP/CTK / Kalina Michal

wie, donosząc w tym samym miesiącu, że strajkujący pragnęli „bezwartkowej kapitulacji władz”. Nie unikano krytycznej wobec PZPR opinii, zauważając jej izolację od społeczeństwa i odpowiedzialność za zapaść ekonomiczną.

Niepokój Jugosłowian był tak duży, ponieważ Belgrad borykał się z kryzysem gospodarczym, porównywalnym do polskiego. Towarzysze ze Związku Komunistów Jugosławii obawiali się więc, że „wirus” Solidarności znajdzie podatny grunt w ich państwie. Tak się jednak nie stało.

Mimo wszystko początkową postawę Jugosławii można określić jako łagodniejszą niż pozostałych „bratnich krajów”; być może dlatego, że państwo to nie należało do Układu Warszawskiego. W lipcu dało się słyszeć głosy, że protesty były wyrazem „autentycznych dążeń klasy robotniczej”, później zaś nie namawiano do zewnętrznej interwencji w celu zdławienia opozycji.

Bardziej stonowane reakcje niż pozostałych państwach Układu Warszawskiego pojawiły się również w Rumunii. Niemniej nawet Nicolae Ceaușescu dopuszczał możliwość zbrojnej interwencji w razie zwiększania się kłopotów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W 1968 roku, w momencie inwazji na Czechosłowację, myślał tymczasem inaczej.

Sierpień 1980 roku był momentem, w którym postawy krajów socjalistycznych wobec „polskiego kryzysu” nie były jeszcze w pełni sprecyzowane. Już wtedy jednak pojawiło się najpierw niedowierzanie, a chwilę później – niepokój i nawet strach, rosnące w miarę upływu czasu. Przed oficjalnymi narodzinami Solidarności w ramach porozumień sierpniowo-wrześniowych, w stolicach państw bloku wschodniego dominowało przekonanie, że najlepszym scenariuszem byłoby niedopuszczenie do „narodzin”. Gdy to się już stało, starano się – w formie działań propagandowych, operacyjnych i nacisków politycznych – możliwie najszybciej ukrócić życie polskiej opozycji. I mimo że nawet w grudniu 1981 roku zebrani w Moskwie ministrowie obrony UW nie potrafili się porozumieć w sprawie wspólnego komunikatu dotyczącego Polski, to Solidarność była – choć tylko w pewnej mierze – czynnikiem wzmacniającym solidarność elit politycznych „bratnich krajów”. ■

▶ Spotkanie kierownictw KPZR i PZPR na Krymie, sierpień 1981 roku; na zdjęciu m.in. Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski (z lewej) oraz Leonid Breżniew i Andriej Gromyko (z prawej)



PAP/CAF

dr hab. Patryk Pleskot – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, autor kilkunastu książek

КОММУНИСТ

Орган Центр. Комит. Коммун. Парт. Литвы и Белоруссии.

Klasowe i narodowe

Jan Oleński

W latach 1919–1920 Wilno kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk. Dziś historię tych burzliwych miesięcy można wyczytać z kartek żywnościowych.

W latach dziewięćdziesiątych zdarzyło mi się złamać nogę i przez kilka tygodni poruszałem się o kulach, prawie nie wychodząc z domu. Zaniedbałem przez to kontakty z kolekcjonerami, a przede wszystkim przestałem być na cotygodniowym jarmarku staroci w Warszawie przy ul. Obózowej. Któregoś dnia zadzwonił do mnie znajomy z pytaniem, czy będę w najbliższą niedzielę na jarmarku, bo coś chciałby mi sprzedać. Odpowiedziałem, że nie, bo od tygodni mam nogę w gipsie.

Jednak, gdy nadeszła owa niedziela, pomyślałem sobie – dlaczego by się nie wybrać? Wziąłem kule i pokuśtykałem na przystanek autobusowy. Pogoda była piękna, a na jarmarku tłumy sprzedających i kupujących. Gdy oglądałem kolejne stoisko, moją uwagę przyciągnęły dwie kartki żywnościowe, leżące na ziemi wśród różnych papierów. Wziąłem je do ręki i przeczytałem napisy w języku rosyjskim: „Kartka chlebowa Wileńskiej Rady Delegatów Robotniczych i Czerwoonoarm. Marzec 1919”. Były to kartki kategorii I i II dla mieszkańców domu przy ul. Bakszta 15. Nie zastanawiając się długo, zapłaciłem kwotę wy-

mienioną przez sprzedającego i poszedłem dalej. Znajomego, który do mnie telefonował, nie spotkałem. Tego samego dnia po południu zadzwonił do mnie z pretensjami, że te kartki były odłożone dla niego, ale on, licząc, że nie przyjdę, nie kupił ich, bo chciał, aby sprzedający obniżył cenę. Wyraziłem ubolewanie, ale nie zmartwiłem się zbytnio tym, że się na mnie obraził, bo jest powszechnie znanym dziwakiem, jacy się czasem trafiają wśród kolekcjonerów.

„Niech zdycha burżuazja”

Kartki, które kupiłem na jarmarku, dokumentują krótki epizod istnienia Litewsko-Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Gdy podpisano zawieszenie broni na zachodzie, Rosja bolszewicka wypowiedziała traktat brzeski i w miarę wycofywania się wojsk niemieckich, przejmowała kontrolę nad opuszczanymi przez nie tere-

nami. W styczniu 1919 roku Armia Czerwona zajęła Wilno, gdzie zaprowadzono rządy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. 27 lutego bolszewicy proklamowali Litewsko-Białoruską Socjalistyczną Republikę Rad (tzw. Lit-Biel) ze stolicą w Wilnie. Obejmowała ona (oczywiście teoretycznie), oprócz terytorium obecnej Litwy i Białorusi, także Suwalszczyznę i Podlasie. Na czele tej „republiki” stanął litewski działacz komunistyczny Vincas Mickevičius-Kapsukas, pełniący w niej funkcje zarówno szefa partii komunistycznej, jak i przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych (w 1955 roku nazwano jego imieniem miasto Mariampol). W Wilnie bolszewicy stosowali terror i grabieże, panował głód. Kartki na chleb miały dopomóc w wyżywieniu określonych warstw ludności. Te, które z takim poświęceniem zdobyłem na giełdzie sta-



Fot. ze zbiorów autora

roci, były pierwszymi kartkami nowego państwa komunistycznego (obowiązywały od 1 marca 1919 roku), aczkolwiek racjonowanie za pomocą kart chlebowych – wprowadzonych przez niemieckie władze okupacyjne – istniało już wcześniej.

Nowe kartki funkcjonowały „na zasadzie klasowego podziału ludności w m. Wilnie”, jak głosiła uchwała Wileńskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Polegało to na tym, że najwyższe przydziały żywności (głównie chleba) na kartki kategorii I w kolorze czerwonym mieli otrzymać robotnicy, bezrobotni zajmujący się przedtem pracą fizyczną, a także dzieci i kobiety w ciąży oraz oczywiście pracownicy instytucji i organizacji sowieckich. Kartki kategorii II (niebieskie) upoważniały do otrzymywania 75 proc. normy i przysługiwały robotnikom i bezrobotnym wykonującym lekką pracę fizyczną, pracownikom umysłowym, starcom od 60. roku życia (*sic!*) oraz inwalidom będącym na utrzymaniu rodzin. Najniższe racje chleba, bo tylko 25 proc. normy żywności, otrzymywali na kartki kategorii III (białe): przedsiębiorcy, właściciele domów, duchowieństwo oraz wszelkie osoby niepracujące i niezarejestrowane na giełdzie pracy. Kolory kartek „klasowych” nawiązywały do aktualnej symboliki, według której czerwony był kolorem panującej „klasy robotniczej”, a biały kolorem walczących z nią wrogów

bolszewizmu, którym powinno wystarczyć ćwierć racji żywnościowej. W praktyce kartek kategorii III nie można było realizować prawie wcale, bo pierwszeństwo w zakupach wciąż brakującej żywności mieli właściciele kartek kategorii I i II. Stosunek komunistów do ludzi III kategorii najlepiej ilustruje fragment artykułu zamieszczonego w wileńskiej polskojęzycznej gazecie „Młot”: „gdy nie ma dość chleba dla wszystkich, niech zdycha przede wszystkim burżuazja, niech zdycha pasożytnicze drobnomieszczaństwo”.

Podobne „kartki klasowe” miały obowiązywać w kwietniu. Nie wiadomo, czy wydano je ludności. Niedobór żywności był bowiem tak wielki, że dopiero od 10 kwietnia realizowano znikome, marcowe przydziały cukru, soli, marmolady (3/8 funta), mąki (pół funta) i zapalek (dwa pudełka lub jedno) na karty I i II kategorii. Osobom III kategorii nawet formalnie nie przyznano w tym czasie niczego.

Smalec dla chrześcijan, olej dla Żydów

Władza „rady delegatów” długo się nie utrzymała w Wilnie. W lutym Polska zawarła z Niemcami porozumienie o przepuszczeniu wojsk polskich, które obsadziły pozycje wzdłuż Niemna, aby nie dopuścić do dalszego posuwania się Armii Czerwonej na zachód. W kwietniu Wojsko Polskie przeprowadziło ofensy-

wę, w której wyniku bolszewicy zostali odrzuceni na wschód. W Wielką Sobotę, 19 kwietnia, kawaleria ppłk. Władysława Beliny-Prażmowskiego wkroczyła do Wilna. Miasto zostało ostatecznie opanowane z udziałem 1. Dywizji Piechoty Legionów pod dowództwem gen. Edwarda Rydza-Śmigłego. 21 kwietnia do Wilna wjechał wśród owacji ludności Józef Piłsudski. Po wyparciu bolszewików zlikwidowano „racjonowanie klasowe” i w maju wprowadzono jednolite kartki przysługujące wszystkim mieszkańcom miasta. Każdy otrzymał kartę stałą (tzw. kalendarzyk) i niebieską kartę z odcinkami. Zopatrzenie wydatnie się poprawiło m.in. dzięki dostawom mąki amerykańskiej w ramach pomocy humanitarnej USA dla krajów Europy. Od maja na odcinek nr 2 ludność chrześcijańska dostawała funt smalcu, a ludność żydowska olej. Kartki wydane w maju funkcjonowały także w czerwcu i w pierwszej połowie lipca. Mieszkańcy Wilna otrzymywali na te kartki różne produkty, począwszy od mąki, smalcu, cukru i ziemniaków, a na drewnie opałowym skończywszy.

W drugiej połowie lipca Magistrat Miasta Wilna wprowadził nowe kartki. Wy różniły się one wysokim poziomem graficznym i pod tym względem stanowią do dziś ewenement w dziedzinie dokumentów reglamentacji. Nie mają dokładnej daty obowiązywania, bo przecież nie było wiadomo, kiedy zostaną wprowadzone. Noszą jedynie oznaczenia „ROK 1919” oraz „OKRES PIERWSZY”. Karta miała symbolizować odrodzenie Państwa Polskiego na ziemiach jednoczących się po okresie zaborów. Górny rząd kuponów

to herby głównych miast: Poznania, Krakowa, Wilna, Lwowa i Warszawy. W dolnym znajdują się herby czterech miast dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego otaczających Pogoń. W centrum kartki znajduje się godło Rzeczypospolitej.

Okres pierwszy, na który obowiązywała nowa kartka, nie pokrywał się z żadnym okresem kalendarzowym, jak w innych



Fot. ze zbiorów autora

miastach. Pierwszym wycinanym z niej kuponem był kupon nr 1 z herbem Białegostoku, na który od 26 lipca do 2 sierpnia 1919 roku można było kupić 5 funtów mąki. Po upływie tego czasu wydawano kartki z wyciętym kuponem nr 1. Kolejny przydział mąki w ilości 2 funtów rozdysponowano od 14 do 23 sierpnia na kupon nr 5 (z herbem Poznania). W następnych dniach wykorzystano także kolejne kupony. Na kupony 2 i 3 (Nowogródek i Grodno) sprzedawano do 30 sierpnia cukier, a na kupon nr 6 (z herbem Warszawy) – kaszę jęczmienną.

Kartkę na okres pierwszy wykorzystywano także we wrześniu. Od 6 do 20 września sprzedawano na kupon nr 7 (z herbem Krakowa) mąkę żytnią w ilości 3 funtów, a od 22 tego miesiąca na kupon nr 10 (z Pogonią) – po 3 funty nafty na rodzinę, która nie miała w domu światła elektrycznego.

Mąka za Lelewela, sól za Śniadeckiego

Okres pierwszy zakończył się ostatecznie 17 października 1919 roku, kiedy wydano ludności kartki przygotowane na okres drugi. Kartki te były bardzo podobne do poprzednich, nie miały podanego terminu ważności i zawierały po dziesięć kuponów z herbami miast w większości z terenów byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wydawano na nie chleb i cukier. Kartki na kolejny – III już – okres miały być wydawane od 25 maja 1920 roku, lecz wobec opóźnień w ich dostawie trafiły do ludności dopiero od 14 czerwca. Motywem przewodnim kart okresu trzeciego był Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie – jeden z najstarszych uniwersytetów w Europie Wschodniej, reaktywowany na mocy dekretu Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego z 28 sierpnia 1919 roku po prawie 90 latach niebytu (władze carskie zamknęły go po Powstaniu Listopadowym). Poszczególne produkty żywnościowe kupowało się po wycięciu odpowiedniego portretu jednego ze słynnych profesorów lub wychowanków tej uczelni. I tak 7 lipca 1920 roku mieszkańcy Wilna mogli kupić chleb na kupon z portretem znanego astronoma i mate-

Fot. ze zbiorów autora



matyka wileńskiego, Marcina Poczubuta-Odlanickiego, 2 funty mąki pszennej na odcinek z Joachimem Lelewalem, kaszę na odcinek z konterfektem wielkiego poety baroku, Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, i 2 funty soli na odcinek z wizerunkiem matematyka Jana Śniadeckiego. Niestety większość portretów została niezagospodarowana. Już tydzień później, w wyniku nowej ofensywy Armii Czerwonej, do Wilna ponownie wkroczyły oddziały bolszewickie. W sierpniu, na mocy traktatu pokojowego między Litwą a Rosją Sowiecką z 12 lipca 1920 roku, miasto przekazano Litwinom.

Wszystkie trzy kartki zaprojektował Ferdynand Ruszczyc – pochodzący z Wileńszczyzny wybitny malarz i grafik, a także pedagog. Wydrukowała je drukarnia Bolesława Wirtza w Warszawie. Są one ciekawym przykładem zaangażowania się słynnego artysty w przyziemne sprawy zaopatrzenia ludności. Zwłaszcza trzecia z nich jest odbiciem czynnego udziału Ruszczycy w restytucję uniwersytetu. Ferdynand Ruszczyc od maja 1919 roku

był członkiem Komitetu Odbudowy Uniwersytetu Wileńskiego. Z jego inicjatywy powołano Wydział Sztuk Pięknych, którego później został profesorem i dziekanem. Opisanie powyżej kartki żywnościowej były prezentowane na wystawach poświęconych twórczości wielkiego artysty. W 2002 roku wystawa „Ferdynand Ruszczyc (1870–1936). Życie i dzieło”, po sukcesach w Krakowie, Toruniu i Warszawie, została pokazana także w Litewskim Muzeum Sztuki w Wilnie – mieście, z którym Ruszczyc był tak mocno związany.

Jak na ironię, Uniwersytet Wileński, któremu Ruszczyc poświęcił kilkanaście lat życia, zyskał w roku 1955 nowego patrona. Władze Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nadały wówczas tej uczelni imię Vincasa Mickevičiusa-Kapsukas – przewodniczącego władz „republik” Lit-Biel, która wydała w Wilnie pierwsze „kartki klasowe”. Kapsukas był patronem uniwersytetu do 1990 roku. ■

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)



Fot. Piotr Życiński

Szczoteczka z celi śmierci

Na znalezionej przy szczątkach jednego z więźniów szczoteczce do zębów są bezcenne napisy: nazwisko, pseudonim i data śmierci żołnierza oraz dane kobiety. Nigdy wcześniej nie natrafiliśmy na nic podobnego – mówi **dr hab. Krzysztof Szwagrzyk**, pełnomocnik prezesa IPN ds. poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956, w rozmowie z Karoliną Wichowską

Sześć podjętych szkieletów – to najważniejszy rezultat trzydniowych prac sondażowych na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Co się udało w związku z tym ustalić?

Sprecyzuje: odnaleźliśmy i podjęliśmy szczątki sześciu osób dorosłych i jednego dziecka – niemowlęcia nie starszego niż roczne. Nie wiemy, w jaki sposób ono zmarło, przypuszczamy, że było dzieckiem urodzonym w więzieniu. Odległość jego trumienki od pozostałych szczątków była taka sama, jak między szczątkami dorosłych. W trzech przypadkach mamy do czynienia z przestreloną czaszką, co świadczy o tym, że te osoby zostały stracone metodą katyńską: przez strzał w potylicę z małej odległości. W momencie odnalezienia szczątków ze śladami postrzałowymi powiadomiliśmy naczelnika Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi

Polskiemu w Warszawie, prokuratora Marcina Gołębiewicza, który wszczął śledztwo. W jego ramach są podejmowane kolejne czynności, m.in. oględziny odnalezionych szczątków.

Prawdopodobnie jedna spośród sześciu dorosłych osób to kobieta. Wszyscy, poza niemowłędem i jedną z osób dorosłych, zostali wrzuceni bezpośrednio do ziemi, bez żadnej trumny czy skrzyni. Znaleźliśmy przy nich pojedyncze guziki, a zatem pochowano ich w jakichś ubraniach, nie mieli jednak butów. Szczątki odnaleźliśmy w jednej sekwencji, w związku z czym wszystkie traktujemy jako rząd pochówków osób straconych w 1946 roku w Więzieniu Karno-Śledczym nr III przy ul. Namysłowskiej w Warszawie, tzw. Toledo. Rząd ten znajduje się z obu stron monumentu upamiętniającego ofiary komunizmu, postawionego w latach dziewięćdziesiątych.

Co zdecydowało o podjęciu prac akurat w tym miejscu? Relacje? Dokumenty?

Podjęcie działań na cmentarzu Bródnowskim było wynikiem trwającej od dłuższego czasu kwerendy w materiałach archiwalnych, pozwalającej w miarę precyzyjnie określić miejsca więziennych pochówków z lat czterdziestych.

Jaki teren został przebadany?

Badaliśmy wyłącznie wolne obszary, czyli takie, które nie miały na sobie współczesnych nagrobków ani nie były zabudowane elementami pomnika. Terenu do przebadania było zatem niewiele, ok. 150 m kw. Pracowaliśmy bardzo intensywnie, od rana do wieczora. Mieliśmy bardzo wielu wolontariuszy, którzy udzielili nam gigantycznej pomocy, dlatego udało się nam skończyć prace w ciągu trzech, a nie – jak zakładaliśmy początkowo – około dziesięciu dni. Poza najważniejszym rezultatem – czyli odnalezieniem szczątków – jest jeszcze taki, że wiemy, jak przebiegała sekwencja pochówków więziennych, i wiemy, że istnieje absolutna konieczność powrotu na kwatery 45-N w przyszłym roku. Trzeba będzie czasowo rozebrać pomnik z lat dziewięć-

dziesiątych, pod nim bowiem znajdują się szczątki innych ofiar komunizmu z lat czterdziestych. Dopiero w przyszłym roku – a prace zamierzamy wznowić wczesną wiosną – będziemy mogli powiedzieć, że badania na terenie 45-N zostały zakończone. Dziś mogę powiedzieć, że zakończyliśmy pierwszy, bardzo owocny etap naszych działań na Bródnie.

Rok temu, podczas prac na Służewie, znaleźli Państwo kilkanaście szczątków znajdujących się częściowo pod współczesnymi nagrobkami i nie można było tych szkieletów wydobyć. Czy tym razem zdarzyło się podobnie?

Tak właśnie było, przy czym szczątki wchodziły nie pod współczesne nagrobki, tylko pod wspomniany monument – z obu stron. Z lewej strony – także pod chodnik, który oddziela kwaterę 45-N od sąsiedniej. Te ustalenia wyznaczają kierunek naszych poszukiwań w przyszłym roku.

W trzecim dniu prac trafili Państwo na wyjątkowe znalezisko: szczoteczkę do zębów z wyrytym na niej napisem. Czego można się dowiedzieć na jej podstawie?

Szczoteczka należała do jednego z więźniów. Jest ona absolutnie wyjątkowa, bo więźniowie na ogół byli pozbawiani rzeczy osobistych. Bezcenne są napisy, które więzień na niej pozostawił. Z jednej strony ktoś bardzo starannie wyrył następujące słowa: „Kazimiera Adamkiewicz, Demblin [właśc. Dęblin – przyp. red.], ul. Lipowa 35. Cela śmierci”. Z drugiej strony więzień zostawił swój pseudonim: „Świt”, obok napis: „Demblin, AK, Orlik” – czyli oddział, do którego należał. Pod spodem coś, czego wcześniej nigdy nie znaleźliśmy – nazwisko i imię człowieka straconego: „Kęska Zygmunt, 8 III 1946”. Zygmunt Kęska to jeden z najbliższych współpracowników mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, jeden z najlepszych jego dowódców, który 8 marca 1946 roku został skazany na karę śmierci. Wyrzył na tej szczoteczce podstawowe informacje o sobie. Sądzę, że skoro wypisał dane Kazimiery Adamkiewicz, musiał wierzyć, że kiedyś ta szczoteczka do niej dotrze. Już podjęliśmy starania, żeby ją odnaleźć. Mamy nadzieję, że się nam to uda – a jeśli nie dotrzemy do niej samej, to może przynajmniej znajdziemy jej dzieci lub innych bliskich. 🍀



Fot. Piotr Życieński

► Pod bródnowskim monumentem upamiętniającym ofiarę komunizmu znaleziono fragmenty ludzkich szkieletów – w przyszłym roku konieczne będą rozbiórka pomnika i dokończenie badań



Fot. Piotr Życieński

Byłem szczurem kanałowym

– relacja Bogusława Kamoli

Bogusław Kamola doskonale pamięta 1 sierpnia 1944 roku:

„Na Żoliborzu padły pierwsze strzały około godziny 14.00, jeszcze przed godziną »W«. Było to związane z akcją wydobywania broni z magazynów i przenoszenia ich w okolice ul. Suzina. Polski oddział AK [...] natknął się na patrol niemiecki i wywiązała się strzelanina” [oddział prowadził Zdzisław Sierpiński „Marek Świda”].

Z tego powodu powstanie na Żoliborzu zostało przyspieszone.

„Ten nieszczęśliwy przypadek spowodował, jak sądzę, całe zamieszanie związane z mobilizacją AK. Akcja na Żoliborzu była sygnałem dla Niemców, że rzeczywiście nastąpi jakaś walka czy zbrojny opór. W związku z tym wszystkie jednostki niemieckie na terenie stolicy zostały postawione w maksymalny stan pogotowia bojowego”.

Wydarzenia na Żoliborzu spowodowały, że do niespełna czternastoletniego Bogusława Kamoli nie dotarł rozkaz o mobilizacji. Dowiedział się o niej dopiero po 4 sierpnia. Musiał się uciec do podstepu, aby dołączyć do swojej drużyny.

„Dotarł do mnie łącznik z plutonu. Przekazał wiadomość, że pluton działa, mobilizuje się. No i oczywiście najlepiej byłoby, gdyby żołnierze, którzy się dołączają, byli uzbrojeni. [...] Mój tata był zbrojmistrzem całego »Żywiciela«, później zgrupowania »Żmija«. W związku z powyższym mieliśmy sporo zgromadzonej broni, która była zakopana w piwnicy. Postanowiłem tę broń wykopać. [...] wieczorem pota-



Niektóre włązy do kanałów

- 1 ul. Stoleczna przy ul. Krasińskiego
- 2 pl. Krasińskich przy ul. Długiej

jemnie zszedłem do piwnicy, wykopałem efenkę [Browning wz. 1910/22], taką z przedłużoną lufą, i 53 sztuki amunicji, a więc bardzo dużo, i jeszcze dodatkowy magazynek. To wszystko sobie przygotowałem i rano wyszedłem z mieszkania, nie wzbudzając niczyjej ciekawości. Wystawione posterunki niemieckie nie zauważyły mnie i chyłkiem przez olejarnię do ul. Rudzkiej dotarłem nad Wisłę. Dalej przez trzciny doszedłem do ul. Potockiej. Tam stacjonowały już pierwsze oddziały powstańcze. W taki sposób znalazłem się na ul. Krasińskiego 20”.

Stacjonowały tam drużyny 227. plutonu harcercy, który po 10 sierpnia został włączony do zgrupowania „Żyrafa”.

„Kiedy dołączyłem do plutonu, odkryłem, że wszyscy jego żołnierze to byli moi koledzy albo z gimnazjum, albo z kompletów, albo z miejsca zamieszkania. Myśmy, młodzież żoliborska, byli gdzieś zaangażowani. Ponieważ była konspiracja, to nikt absolutnie nie informował o tym swoich kolegów. Zналиśmy siebie nawzajem, ale nie wiedzieliśmy, kto jest w innych zastępach. To nie byli ludzie znikąd, pośpieszenie zorganizowani w oddział. Myśmy się doskonale znali, w związku z tym dawało nam to ogromną siłę i moralne oparcie”.

Reduta przy ul. Krasińskiego 20 była jedną z najważniejszych strategicznie pozycji broniących od strony zachodniej dostępu do pl. Wilsona, centrum Żoliborza. Ale pozycja ta była istotna jeszcze z innego powodu.



Bogusław Kamola „Hipek”, ur. 25 sierpnia 1930 roku w Warszawie. Harcerz, uczestnik tajnych kompletów i małego sabotażu, członek Szarych Szeregów, podczas Powstania Warszawskiego był w 400. drużynie 227. plutonu harcercy na Żoliborzu, gdzie działał m.in. w harcercyjskiej służbie łączności kanałowej.

„Dojścia do Krasińskiego bronił klasztor zmartwychwstanek, później nasza pozycja Krasińskiego 20 i po przeciwnej stronie blok Krasińskiego 29. Nasza reduta trwała do końca powstania [w rzeczywistości oddziały powstańcze wycofały się z tych pozycji pod koniec września 1944 roku, podczas zmasowanego natarcia Niemców na Żoliborz]. Przed wojną przed blokiem były pola działkowe i osada kilku domków. Po lewej stronie znajdował się instytut chemiczny zajęty przez Niemców. Po prawej zaś, w odległości około jednego kilometra, były stanowiska artylerii niemieckiej. Właściwie byliśmy okrążeni cały czas na tym przedpolu przez zgrupowania niemieckie. Barykada, którą myśmy wykonali, łączyła blok Krasińskiego 20, przecinając ul. Krasińskiego, do budynku przy Krasińskiego 29 i do klasztoru zmartwychwstanek. Właz do kanałów znajdował się właśnie w zasięgu barykady. Mieliśmy zatem, jak się później okazało, kluczowy element łączności kanałowej”.

Problemy z łącznością między odizolowanymi od siebie oddziałami i dzielnicami walczącej stolicy skłoniły dowództwo do poszukiwania alternatywnej drogi łączności. Przy współpracy z pracownikami miejskich wodociągów zostały wytyczone trasy komunikacyjne pod miastem, w kanałach.

„Żoliborz był o tyle osamotniony, że ograniczała go linia kolejowa Dworca Gdańskiego. Była to naturalna zaporą kontrolowaną przez Niemców, która nie dopuszczała łączności ze Śródmieściem i ze Starym Miastem. Stąd też decyzja naczelnego dowództwa [...] utworzenia specjalnych oddziałów, które zajęłyby się łącznością kanałową. [...] Wyznaczono do niej [...] nasz pluton. [...] przypuszczam, że dlatego, że byliśmy już zespołem zaprawionym. To byli młodzi chłopcy, dosyć zręczni, niewysokiego wzrostu, zapaleńcy, harcerze. W związku z tym była to idealna grupa. [...]”

Przydział do kanałów przyjąłem z honorem, uważałem, że jest to coś specjalnego. Ale jednocześnie odczuwałem lęk. Przypominałem sobie kanał burzowy

z wylewającą się wodą, który widziałem jako mały chłopiec. [...]

Sami dobieraliśmy się w drużyny, którymi poruszaliśmy się po kanałach, nie było w tej kwestii przymusu. Dowództwo Żoliborza oczywiście miało taką grupę przewodnią, my byliśmy wykonawcami. Natomiast mózgiem, który kierował pracą w kanałach, był porucznik ps. »Gałązka« [por. Zygmunt Zbigniew Zamięcki, dowódca plutonu łączności specjalnej – kanałowej na Żoliborzu] [...] oraz grupa pracowników byłego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Pracownicy ci dostarczyli plany przedwojenne niektórych odcinków kanałów, tak że kiedy myśmy przystąpili do akcji, to dowódca »Gałązka« wiedział, gdzie będziemy szli, jakimi drogami, jakimi kanałami i o jakich przekrojach”.

Nazwa „szczury kanałowe” przyłgnęła do nich na stałe.

„Jeśli chodzi o nazwę »szczury kanałowe«, to myśmy w kanałach spotykali mnóstwo szczurów i ktoś tak wymyślił. [...] I to określenie zostało z nami do końca, z czego jestem bardzo dumny. Szczury to stworzenia bardzo przebiegłe, wytrzymałe, żyjące w każdych warunkach – to nam pasowało”.

Swoje pierwsze zejście do kanałów zapamiętał na całe życie.

„Schodziliśmy wtedy z rozkazem sprawdzenia drożności kanałów na Sta-



► Bogusław Kamola w 1946 roku



Fot. ze zbiorów Bogusława Kamoli

► Bogusław Kamola w obozie jenieckim XI Altengrabow w 1944 roku

rówkę. Było nas pięciu. Nie doszliśmy wtedy do celu, ale zbadaliśmy teren – pod Dworcem Gdańskim, dochodząc do ul. Stawki i terenu dawnego getta. [...] Tak zwany „nasz” właz był wówczas (i jest do chwili obecnej) ostatnim wejściem do kanałów przed „burzowcem”, czyli zlewiskiem kilku kanałów prowadzących ścieki na północ. Pomijam specyficzny zapach, ale ten niesamowity szum w zamkniętej i ciemnej przestrzeni napawał strachem przed czymś niewiadomym. Musieliśmy na linie opuścić się niżej, gdzieś w ciemną czeluść. To było niezapomniane wrażenie. Kiedy już dotarliśmy do dna, okazało się, że kanały utrzymują wysoki poziom – pod koniec sierpnia nadal w Śródmieściu działały wodociągi, woda jeszcze była w domach. Towarzyszyły temu wszystkiemu niewiadoma, gdzie jesteśmy, i strach. Był rozkaz, aby trzymać się za panterki jeden drugiego i starać dotykać ręką ściany kanału. Miał on kształt podkowy, był dosyć wysoki, około 1,8 m. Szliśmy więc wyprostowani. Szurając nogami, posuwaliśmy się do przodu. Oczywiście nie można było rozmawiać, krzyczeć, wyjmować nóg z wody, tylko szurać po dnie kanału”.

„Szczury kanałowe” szybko dostosowały się do specyficznych, trudnych warunków panujących w kanałach.

„Przy pierwszym zejściu dostaliśmy wysokie gumowe kalosze z cholewką do kolan. W nie wpuszczaliśmy spodnie. Do tego mieliśmy helmy i broń. Broń zawsze ►

Fot. ze zbiorów Bogusława Kamoli

mieliśmy bardzo dobrą – steny albo błyskawice. Ale to pierwsze doświadczenie spowodowało, że kiedy nam się ścieki nały do cholew, to kto nie miał ściśle dopasowanego buta, ten go gubił. Ścieki uniemożliwiały właściwie chodzenie, trzeba było szurać nogami. Zresztą było bardzo ślisko i w każdej chwili można było upaść. [...] Najchętniej zakładaliśmy podziurawione trampki na bosą nogę. Wtedy cała woda przelatywała i te buty nie spadały. Do tego krótkie spodnie – nie namakały i nie utrudniały przejścia po kanałach. To był ważny wynalazek, który jednak powodował, że nasze nogi były znacznie bardziej narażone na zranienie.

A w warunkach kanałowych z ran łatwo tworzyły się różnego rodzaju zapalenia. [...] Jedynym lekiem była szara maść, nic więcej. [...] Potem nie nosiliśmy już hełmów. Hełm przy upadku czy uderzeniu wydawał głośny dźwięk, a echo pięknie niesło się po kanałach. [...] Każdy pocisk, każdy strzał na górze, pojazd, czołg, bombę w kanale odczuwaliśmy ze zdwojoną siłą”.

Długie przebywanie w tunelach pod powierzchnią było niebezpieczne nie tylko z powodu możliwości spotkania z wrogiem.



Fot. ze zbiorów Bogusława Kamoli

► Uczestnicy tajnych kompletów w domu pp. Dzierżewiczów przy ul. ks. Trószńskiego; Bogusław Kamola stoi pierwszy z lewej; Warszawa, 3 maja 1944 roku

„Każde ścieki i nieczystości wytwarzają różne gazy, między innymi metan, który jest zabójczy dla człowieka. I tak też było tutaj. Po wyjściu na powierzchnię czuliśmy, że jesteśmy półprzytomni, podtruci”.

W Muzeum Powstania Warszawskiego znajdują się relacje dorosłych wtedy powstańców, którzy nie poradzi sobie psychicznie w kanałach. Czternastoletni Bogusław Kamola nigdy się nie załamał.

„Nie przeżyłem nigdy paniki ani takiej sceny, jak przedstawił Andrzej Wajda w filmie Kanał. [...] Pewnie dlatego, że byliśmy fachowcami w przeprowadzaniu ludzi i sprzętu po kanałach. Wie-

dzieliśmy, gdzie idziemy, w jakim celu i jak się do tego zabrać. Nazwy ulic znaczyliśmy w kanałach kredą. [...] Najgorszą rzeczą dla mnie, bardzo stresującą, na granicy wytrzymałości, były warty w kanałach. Początkowo ruch w tunelach nie był kontrolowany, ale ze względu na to, że przemieszczało się nimi dużo ludzi, wprowadzono przepustki. Dla kontroli dowództwo wyznaczyło warty. Nasz punkt znajdował się w okolicy Dworca Gdańskiego. Zawsze był to kanał z odnogą, z którego można było się bezpiecznie ewakuować w razie niebezpieczeństwa. Przebywanie

tam, w pojedynkę lub z kolegą, w całkowitej ciemności i ciszy oraz ciągle nasłuchiwanie, czy nic się nie dzieje, powodowało ogromne napięcie. Każdego dnia w kanałach wyznaczano hasło świetlne. Jeśli ktoś na takie hasło nie odpowiadał, był rozkaz, aby strzelać. Strzelanie w kanałach miało to do siebie, że każdy pocisk był celny, nie było szansy uniknąć kuli”.

Kanały otworzyły przed powstańcami możliwości nieosiągalne drogą naziemną. W związku z tym „szczury kanałowe” otrzymywały różnorodne zadania.

„Dostarczaliśmy broń, na przykład na Starówkę. Broń, która pochodziła od żołnierzy bazujących w Kampinosie, którzy byli bardzo dobrze uzbrojeni. [...] Zdarzało się niekiedy, że ci ludzie z lasu szli z nami. Byli potężniejsi, lepsi fizycznie, aczkolwiek niedoświadczeni w kanałach. [...] Przeprowadzaliśmy całe oddziały na Starówkę oraz ze Starego Miasta na Żoliborz w celu dozbrojenia. Tutaj była cała logistyka. Oczywiście te grupy nie mogły być duże, nie większe niż 25–30 osób. To było związane z tym, że włady do kanałów zostały już otwarte. Kiedy dochodziliśmy do wjazdu, należało pod nim przejść skokowo, wyczekując, nasłuchując, czy nic złego się



► Blok przy ul. Krasieńskiego 20; 1 września 1944 roku

Fot. ze zbiorów Bogusława Kamoli

nie dzieje na górze. Ci, którzy już przeszli, musieli czekać na resztę. Zanim ta grupa 20–30 osób przedarła się pod włazem, upłynęło sporo czasu. [...] Zdarzało się, że ludzie błądzili w kanałach. Kanały to wielkie, kilkupoziomowe, niebezpieczne miasto. Panował tam strach. Kto nie wytrzymał samotności w ciemnościach, ten ginie”.

W miarę trwania walk zadania stawały się coraz trudniejsze.

„Niemcy dowiedzieli się, że istnieje łączność kanałowa. Stąd odkryte włazy i blokowanie tuneli. Wpuszczali tam m.in. szyny, metalowe łóżka, beczki itp. Te zapory blokowały przepływ wody, podnosiły jej poziom i uniemożliwiały przejście. Naszym zadaniem było m.in. udroźnienie tuneli i likwidowanie zapór [...]. Jedną z nich znajdowała się pod Dworcem Gdańskim. Pomimo wielu prób i wysiłków nie daliśmy rady jej zlikwidować. Zostaliśmy także skierowani do zlikwidowania zapory blokującej dostęp do kanału prowadzącego do Śródmieścia. Po przeciwnej stronie piętrzyła się już woda, dlatego należało umiejętnie rozbierać »barykadę«. Ostatecznie barykada ta została wysadzona przez kolejną grupę kolegów, którzy tam dotarli”.

„Hipek” dobrze zapamiętał jeszcze inne podobne zadanie.

„Otrzymałmy rozkaz rozbicia zapory murowanej – Niemcy zamurowali kanał, gdzieś pod ulicą Obozową na Woli. Mieliśmy plany, jak tam dojść, oraz informacje, jak wygląda ta przypuszczalna zapora. Dostaliśmy dodatkowe żelazne

racje żywnościowe (suchary i po dwa-naście kostek cukru) – zapowiadał się dłuższy pobyt w kanałach. Niestety zgubiliśmy się. Dotarliśmy do wielkiego pomieszczenia, w którym zbiegały się różne odnogi i różne poziomy tuneli. Ogromny szum ścieków. Jak się okazało, dowódca pomylił drogę. Idąc cały czas, nie natknęliśmy się na zapórę. U kresu sił zrobiliśmy naradę, aby zastanowić się, co dalej. Pomimo głosów postulujących powrót, dowódca podjął decyzję o dalszym marszu – i miał rację. W następnym kanale trafiliśmy na nasz cel. Za otwartym włazem z bijącą z niego poświatą był mur. Pod włazem stanął kolega na warcie, a ja z moim przyjacielem ze szkolnej ławki, Zenkiem, zaczęliśmy pracować owiniętymi w szmaty młotkami nad kruszeniem muru. Tymczasem nad włazem zapadła ciemność. Alarm. Młotki wrzuciliśmy do ścieku i czekamy. Zapanowała cisza. Złapałmy za broń. Po chwili usłyszeliśmy huk motoru i nastąpiła jasność. Okazało się, że jakiś niemiecki pojazd zatrzymał się nad włazem. Dowódca zarządził odwrót, jednak do bazy dotarliśmy z ogromnymi problemami”.

W naszym spotkaniu z Bogusławem Kamolą uczestniczył pracownik warszawskich wodociągów. Dopowiadał szerszy ciąg tej historii. Okazało się, że harcerze rzeczywiście się zgubili i dotarli na Wolę, ale do zamurowanego zakończenia jednej z odnóg kanału. Żelbetonowa ściana wzniesiona przez budowniczych

warszawskich kanałów nigdy nie poddały się wysiłkom Bogusława Kamoli i jego kolegów.

Główna trasa „szczurów kanałowych” prowadziła z Żoliborza na Starówkę, rzadziej drużyny przedostawały się do Śródmieścia.

„Odległość między naszym włazem a włazem na rynku Starego Miasta to około 4,5 km. Przejście tego odcinka, w zależności od liczebności grupy, zajmowało nam od 4 do 10 godzin. I to na ogół bez jedzenia i picia. Naszemu dowódcy, porucznikowi ps. »Gałązka«, doradzali byli pracownicy kanałów. A dowódca przekazywał nam podstawowe zasady, jak należy się zachowywać, przede wszystkim żeby się nie bać, że nie ma specjalnych zagrożeń. Zawsze staraliśmy się chodzić bardzo ostrożnie, tak aby nie upaść. [...]”

W czasie walk powstańczych Starówka była pierwszą dzielnicą, która uległa zagładzie. My tam chodziliśmy i widzieliśmy, co się dzieje. Przejście z zielonego Żoliborza na płonąca Starówkę było dużym przeżyciem, kontrast był bardzo wyraźny”.

Jak się okazało, kanały stanowiły również miejsce schronienia dla ludności cywilnej, uciekającej przed działaniami wojennymi i niemieckimi represjami.

„W końcu sierpnia w kanałach natknęliśmy się na ukrywających się Żydów. Otrzymałmy zadanie udroźnienia przejścia gdzieś pod terenem dawnego getta. Tamtejsze kanały były wypełnione trupa- ▶



▶ Pluton harcerek 227, grupowanie „Żyrafa” na dziedzińcu bloku przy ul. Krasińskiego 20

mi. W jednym ze zlewisk kanałów natrafiliśmy na pomost, a na nim na różne rzeczy – koce, szmaty, kubły z wodą, nawet konserwy. Zorientowaliśmy się, że ktoś musi w tym miejscu koczować. Zaczęliśmy nawoływać i po jakimś czasie z bocznych kanałów wyloniły się ludzkie sylwetki, a właściwie ludzkie wraki. Przykry widok. Udało nam się tych sześć osób przeprowadzić na Żoliborz. [...] Raz spotkaliśmy także kilku cywili zagubionych w kanałach, także udało nam się ich wyprowadzić”.

Trudna służba w łączności kanałowej nie zwalniała harcerzy z innych obowiązków, które mieli powstańcy. Dawała jednak też jeden przywilej.

„Przy ul. Krasińskiego 29 była baza, gdzie zawsze czekała na nas woda w pojemnikach, mogliśmy się umyć. Nie była to znaczna ilość – dzbanek na osobę. To była sztuka, żeby się umyć, niemniej robiliśmy to. Jeśli chodzi o wyjątkowe traktowanie, to tyle. Powiem więcej – pobyt w kanałach nie zwalniał nas ze służby wartowniczej. Sam miałem pewną niemiłą sytuację z tym związaną. Po jednej z wypraw kanałowych – już przebrany i, powiedzmy, umyty – dołą-



Fot. Piotr Wiejak

► Na skrzyżowaniu ulic Krasińskiego i Stołecznej (dziś Popieluszki) znajdował się włącz, którym do kanałów schodził Bogusław Kamola

czyłem do plutonu. Dowódca, widząc mnie, oznajmił, że czeka mnie dziś warta na barykadzie, od drugiej w nocy. Moje prośby o przesunięcie służby nic nie dały. Kompletnie wyczerpany, dotarłem na barykadę. Tam służbę miał także mój kolega z drużyny – Tytus. On zlitował się nade mną, powiedział, żebym prze-

spisał się na klatce schodowej pobliskiego bloku i gdyby coś się działo, to mnie zawiadomi. Tak też zrobiliśmy. Wszystko byłoby może dobrze, ale ze zmęczenia pomyliłem klatki. Nadeszła zmiana warty, a tymczasem mnie nie ma. Zejście z barykady w czasie wojny równa się naj-

wyższej karze – sąd wojskowy. Zaczęły się poszukiwania i oczywiście znaleźli mnie śpiącego. Zrobiła się straszliwa awantura... Na szczęście dla mnie dostałem tylko karę harcerską – na apelu porannym, przed całym plutonem, za zejście z posterunku, musiałem z kubłami wody w rękach okrążyć podwórze bloku. Jak na te warunki, była to niezwykle łagodna reprimenda”.

Czas wolny wypełniał harcerzom odpoczynkiem, czasem wspólnie śpiewali pieśni. Zdarzały się jednak przepustki.

„Na urodziny dostałem przepustkę, aby spotkać się z rodziną. Przedarłem się do domu i, na szczęście, jeszcze tego dnia, 25 sierpnia, zastałem w nim moją mamę i brata. Mama przyjęła mnie łzami, ale była bardzo szczęśliwa, że żyję. Myślała, że zostanę, ale nie mogłem, musiałem wracać do oddziału. W tydzień po mojej wizycie w domu miał miejsce atak na szkołę powszechną nr 133, gdzie stacjonowali Niemcy. Placówka została zdobyta i spalona. Ucierpiał także nasz dom [sąsiadujący ze szkołą]. Rodzina moja na szczęście ocalała. Następne nasze spotkanie miało miejsce po trzech latach, po moim powrocie z niewoli”.

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego Bogusław Kamola trafił do bardzo ciężkiego dla polskich jeńców stłagu XI Altengrabow na terenie Rzeszy, następnie pracował jako robotnik przymusowy m.in. w Magdeburgu. Powrócił do kraju w 1947 roku. Mieszka na warszawskim Żoliborzu, którego tak dzielnie bronił 71 lat temu. 🇵🇵

oprac. Piotr Wiejak, Rafał Pękala



Fot. Piotr Wiejak

► Dom przy ul. Krasińskiego 20

Bogusław Kamola

Sygnatura: N-0927/2015

Czas nagrania: 6 godzin

Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,
Rafał Pękala, Piotr Wiejak

Współpraca: Dorota Rutkowska-Zajęc,
Andrzej Zajęc

1920 Bitwa Warszawska

Jerzy Eisler

Pirotechnicy, kaskaderzy, specjaliści od efektów specjalnych.

Ostatni film Jerzego Hoffmana był realizowany z wielkim rozmachem. Czegoś tu jednak zabrakło.

► Adam Ferency
jako czekista Bykowski

W maju 1994 roku miałem okazję – jako członek delegacji Ministerstwa Edukacji Narodowej – uczestniczyć w Jerozolimie w spotkaniu izraelsko-polskiej komisji podręcznikowej. Rozmowy, w których brali udział historycy oraz metodycy nauczania historii, odbywały się w rzeczowej atmosferze. W pewnym momencie jeden z członków delegacji gospodarzy poinformował nas, że w ówczesnych izraelskich podręcznikach szkolnych wiadomości w jakikolwiek sposób związane z Polską pojawiają się w odniesieniu do połowy XVIII wieku, a następnie dotyczą dopiero incydentów i ekscesów antysemickich na polskich uczelniach w latach trzydziestych XX wieku (ataki na Żydów, getto ławkowe,

numerus clausus itd.). Oczywiście, w kolejnych rozdziałach wiele pisano o Zagładzie, realizowanej przez niemieckich nazistów na okupowanych ziemiach polskich, wspomniano pogromy antysemickie z lat czterdziestych (przede wszystkim pogrom kielecki) oraz wydarzenia 1968 roku. I to było wszystko, przy czym uwagę strony polskiej zwrócił dość jednoznacznie negatywny dobór treści dotyczących relacji polsko-żydowskich.

Przynajmniej część polskiej delegacji zdziwiło to, że w zasadzie ani słowem nie wspominało się tam o upadku Rzeczypospolitej i rozbiorach dokonanych w XVIII wieku przez Austrię, Prusy i Rosję, a także o walce Polaków o niepodległość, w której uczestniczyli m.in. Żydzi (np. dowódca pułku żydowskiego z czasów ►



Fot. Zodiak Jerzy Hoffmann Film Production

Insurekcji Kościuszkowskiej Berek Joselewicz). Nie pisano także nic – przy omawianiu konsekwencji I wojny światowej – na temat powstania niepodległej Polski w 1918 roku. Wywiązała się więc krótka dyskusja, skupiająca się na tym, jakie treści związane z najnowszymi dziejami Polski – zdaniem przedstawicieli obu stron – mogłyby i ewentualnie powinny się znaleźć w izraelskich podręcznikach szkolnych. Zwróciłem wówczas uwagę, że powinny to być nie tyle wydarzenia najważniejsze dla historii Polski, ile ważne dla dwudziestowiecznego świata lub przynajmniej większej liczby państw. I wymieniłem: wojnę polsko-bolszewicką i zwycięstwo pod Warszawą w sierpniu 1920 roku, wrzesień 1939 roku i wybuch II wojny światowej oraz Solidarność i rolę, którą ona odegrała w przemianach ustrojowych w państwach Europy Środkowo-Wschodniej w końcu lat osiemdziesiątych.

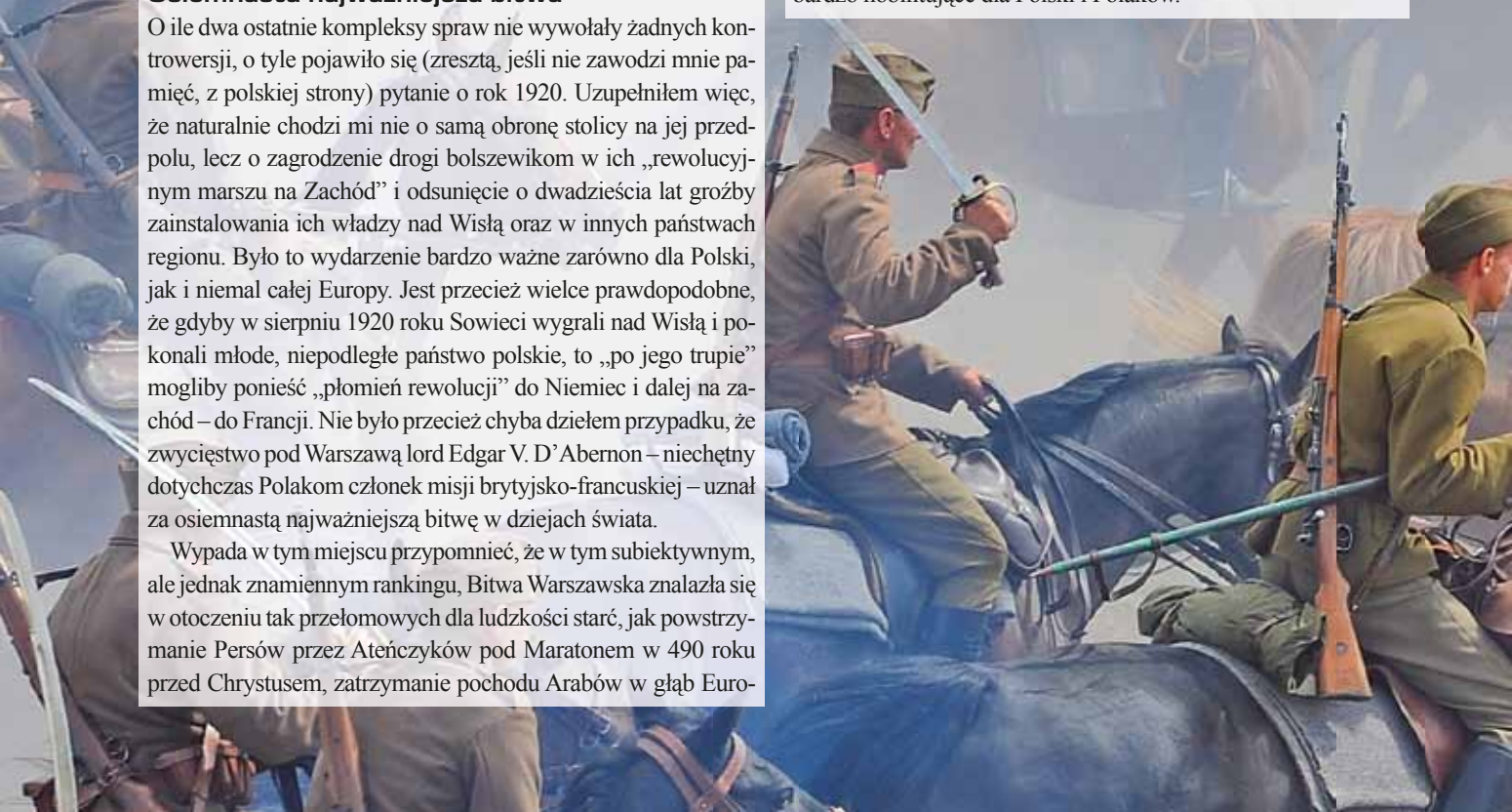
Osiemnasta najważniejsza bitwa

O ile dwa ostatnie kompleksy spraw nie wywołały żadnych kontrowersji, o tyle pojawiło się (zresztą, jeśli nie zawodzi mnie pamięć, z polskiej strony) pytanie o rok 1920. Uzupełniłem więc, że naturalnie chodzi mi nie o samą obronę stolicy na jej przedpolu, lecz o zagrozenie drogi bolszewikom w ich „rewolucyjnym marszu na Zachód” i odsunięcie o dwadzieścia lat groźby zainstalowania ich władzy nad Wisłą oraz w innych państwach regionu. Było to wydarzenie bardzo ważne zarówno dla Polski, jak i niemal całej Europy. Jest przecież wielce prawdopodobne, że gdyby w sierpniu 1920 roku Sowieci wygrali nad Wisłą i pokonali młode, niepodległe państwo polskie, to „po jego trupie” mogliby ponieść „płomień rewolucji” do Niemiec i dalej na zachód – do Francji. Nie było przecież chyba dziełem przypadku, że zwycięstwo pod Warszawą lord Edgar V. D’Abernon – niechętny dotychczas Polakom członek misji brytyjsko-francuskiej – uznał za osiemną najważniejszą bitwę w dziejach świata.

Wypada w tym miejscu przypomnieć, że w tym subiektywnym, ale jednak znamienym rankingu, Bitwa Warszawska znalazła się w otoczeniu tak przełomowych dla ludzkości starć, jak powstrzymanie Persów przez Ateńczyków pod Maratonem w 490 roku przed Chrystusem, zatrzymanie pochodu Arabów w głąb Euro-

▶ Daniel Olbrychski sugestywnie zagrał Józefa Piłsudskiego

py pod Poitiers przez Karola Młota w 732 roku, podbój Anglii przez Normanów po zwycięstwie pod Hastings w 1066 roku, zatrzymanie w 1709 roku pod Połtawą pochodu Szwedów na Moskwę, rozstrzygające dla wojny o niepodległość kolonii brytyjskich w Ameryce zwycięstwo nad Anglikami pod Saratogą w 1777 roku, decydująca klęska Napoleona pod Waterloo w 1815 roku, klęska Francji pod Sedanem w 1870 roku, w czego następstwie powstały zjednoczone Cesarstwo Niemieckie i III Republika Francuska, oraz zatrzymanie nad Marną w 1914 roku niemieckiej ofensywy na Paryż. Było to więc zakwalifikowanie bardzo nobilitujące dla Polski i Polaków.



Również w II Rzeczypospolitej zwycięstwo nad Wisłą było na ogół wymieniane obok największych triumfów polskiego oręża, takich jak Płowce, Grunwald czy Wiedeń, a w 1923 roku ustalono nawet, że 15 sierpnia będzie corocznie obchodzone święto żołnierza. Równocześnie to właśnie w latach dwudziestych w kręgach narodowych – nawiązując do obchodzonego 15 sierpnia Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – ukuto dość lekceważące dla Józefa Piłsudskiego i jego stronników określenie „cud nad Wisłą”, za którego sprawą usiłowano autorstwo tego wielkiego zwycięstwa odebrać Marszałkowi i przekazać w ręce Opatrzności i Jej przypisywać decydującą rolę w tej wiktorii.

Nadrabianie zaległości

Tymczasem w Polsce Ludowej przez długie lata właściwie w ogóle nie można było publicznie pisać ani mówić o wojnie polsko-bolszewickiej i zwycięstwie nad Wisłą. W krajowym oficjalnym obiegu historycznym wojna z lat 1919–1920 znalazła się w niebycie. Nie uczono o niej w szkołach kolejnych pokoleń Polaków, nie upamiętniano jej w żaden sposób w przestrzeni publicznej, a nawet na jej temat – aż do końca lat siedemdziesiątych – w zasadzie nie prowadzono poważnych badań naukowych. Jeżeli już ktoś je na własne ryzyko podejmował, to miał ogromne cenzuralne problemy z opublikowaniem ich wyników. Znamienny jest tu przykład Normana Daviesa, który swoją rozprawę doktorską pod wymownym tytułem: *Orzeł biały – czerwona gwiazda. Wojna polsko-sowiecka 1919–1920* wydał naj-

pierw tylko w Wielkiej Brytanii, a w Polsce pierwotnie jedynie w drugim obiegu w 1987 roku.

Zrozumiałe więc jest, że po zmianie ustrojowej w Polsce zaczęto nadrabiać zaległości w tym zakresie. Początkowo wojnę polsko-bolszewicką włączono do programów i podręczników szkolnych, a jednocześnie wznowiono niektóre książki na jej temat wydawane w II Rzeczypospolitej. Pojawiły się także pierwsze publikacje wykorzystujące archiwalia niedostępne wcześniej dla badaczy. Reżyser Jerzy Hoffman, który miał świadomość tego, że póki istniała PRL, póty nie mógł nawet myśleć o filmie na temat Bitwy Warszawskiej, po zmianie ustroju zaczął z wolna przygotowywać się do podjęcia tego wyzwania. Wcześniej jednak był zdecydowany nakręcić brakującą część Trylogii Henryka Sienkiewicza. O ile bowiem wojny z Turcją (*Pan Wołodyjowski*) i ze Szwecją (*Potop*) mógł przedstawiać w filmach powstających w PRL, o tyle walki z Kozakami na Ukrainie (z Moskwą w tle) mógł ukazać dopiero w *Ogniem i mieczem*, zrealizowanym w latach dziewięćdziesiątych.

Gwiazdozbiór Hoffmana

Przystępując do realizacji filmu o Bitwie Warszawskiej, Jerzy Hoffman doskonale wiedział, co chce pokazać. Zależało mu na tym, żeby stworzyć dzieło, które dotarłoby do szerokiej – zwłaszcza młodzieżowej – widowni. Dlatego stronę wizualną powierzył wybitnemu operatorowi Sławomirowi Idziakowi – nominowanemu do Oscara za znakomite zdjęcia do filmu Ridleya Scotta *Helikopter w ogniu*. Hoffman skusił Idziaka m.in. tym, że był to pierwszy w Europie długometrażowy film fabularny realizowany w technologii stereoskopowej 3D. Oprawę muzyczną – podobnie jak w *Ogniem i mieczem* – przygotował bodaj naj-



popularniejszy obecnie polski kompozytor muzyki filmowej, Krzesimir Dębski, który także zagrał w filmie epizodyczną rolę Feliksa Dzierżyńskiego.

Zresztą Jerzy Hoffman w ogóle zadbał o doborową obsadę aktorską. Zarówno w postaci fikcyjne, jak i historyczne, wcielili się znani i popularni aktorzy. Główną rolę żeńską – artystki kabaretowej Oli Raniewskiej – otrzymała Natasza Urbańska (znacznie lepsza w sekwencjach tanecznych i wokalnych niż dramatycznych), w jej narzeczonego, a następnie męża, zarazem poetę i kawalerzystę Jana Krynickiego, wcielił się zaś Borys Szybczyk. Co do postaci historycznych, to Józefa Piłsudskiego sugestywnie zagrał Daniel Olbrychski, jego adiutanta, majora (przyszłego generała) Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, równie przekonująco – Bogusław Linda. Ciekawe, że bodaj najbardziej z całego filmu wbija się w pamięć wypowiedziane przez niego w restauracji zdanie: „czysta wódka ani munduru, ani honoru nie plami”.

W niewielkie role dwóch kolejnych premierów, Władysława Grabskiego i Wincentego Witos, oraz przyszłego szefa rządu, gen. Władysława Sikorskiego, wcielili się odpowiednio: Michał Żebrowski, Andrzej Strzelecki i Dariusz Kordek. Drobną, ale pełną niezbędnego patosu rolę ks. Ignacego Skorupki z dobrym skutkiem zagrał Łukasz Garlicki. Zważywszy na jego wcześniejsze dokonania, można było tę propozycję aktorską uznać za co najmniej kontrowersyjną. Wydaje się jednak, że Garlicki poradził sobie z tym w sumie nietrywialnym przecież zadaniem. W filmie – w rolach bolszewickich przywódców i dowódców wojskowych – wystąpili także aktorzy rosyjscy i ukraińscy.

Jednak – w moim najgłębszym przekonaniu – najbardziej sugestywną kreację w całym dziele stworzył Adam Ferency jako czekista Bykowski.

Samoloty z komputera

Reżyser pragnął, aby jego film miał rozmach inscenizacyjny odpowiedni do rangi tematu. Na planie filmowym, na którym uwijali się pirotechnicy, kaskaderzy i specjaliści od efektów specjalnych, znalazły się setki statystów, konie, wozy, rozmaite pojazdy z epoki. Niemniej mimo zastosowania dynamicznego montażu, świetnych zdjęć realizowanych w różny sposób i pod różnym kątem oraz mocnych efektów dźwiękowych – czegoś jakby mi brakowało. Nie ukrywam, że zdecydowanie wolałem zrealizowane prawie pół wieku wcześniej epickie sceny batalistyczne w *Panu Wołodyjowskim*. Ale cóż, współczesna młodzież, do której ten film był przede wszystkim adresowany, raczej preferuje modną dzisiaj „batalistykę komputerową”: kreowanie wirtualnych samolotów, pojazdów czy wielotysięcznych armii konnych.

Już po nakręceniu filmu, zwracając się właśnie do młodych widzów, Jerzy Hoffman tłumaczył, że obraz ten „nie jest podręcznikiem do nauki historii, choć jego akcja jest osadzona w realiach tamtych czasów. Przedstawia postawy i działania zarówno postaci historycznych, jak i zwykłych ludzi. [...] Moim pragnieniem jest, aby film rozbudził w młodych ludziach chęć poznania losów ich przadków oraz pozwolił zrozumieć wyjątkowość czynu zjednoczonego narodu, który w 1920 roku uratował nie tylko swój kraj, ale również całą Europę przed bolszewizmem”. Wypada na koniec wyrazić nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu tak się właśnie stało. ■

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli kryzys(y) w PRL (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)





► Karabin przeciwpancerny wz. 35

Karabiny przeciwpancerne

Michał Mackiewicz

Pojawienie się czołgu na frontach I wojny światowej wymogło skonstruowanie odpowiedniej broni do jego zwalczania. W 1918 roku na polu walki zadebiutował niemiecki Tankgewehr M1918 – monstrualny mauser przypominający siedemnastowieczne strzelby wałowe. Pomimo oczywistych wad, będących nieodłączną cechą konstrukcji pionierskich, okazał się skuteczny, dając początek nowej rodzinie broni strzeleckiej – karabinom przeciwpancernym.

Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku rozpoczął się szybki proces modernizacji sił zbrojnych, m.in. broni pancерnej. Równolegle z jej rozwojem opracowywano środki obrony przeciwpancernej, przede wszystkim szybkostrzelne działka, w niektórych krajach powrócono jednak do koncepcji specjalnego karabinu do zwalczania czołgów. W Polsce powstał karabin przeciwpancerny wz. 35.

Lżejsze, ale szybsze

Inspirację dla twórców tej konstrukcji stanowiły naboje ekstremalnych prędkości. Na początku XX wieku dostrzeżono bowiem, że pocisk lżejszy, ale lecący z większą prędkością nie tylko zadaje śmiertelne rany, lecz także wykazu-



Fot. MWP

► Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach; strzelec z prawej przeładowuje rusznicę PTRD; lato 1943 roku

je większą moc obalającą w porównaniu z pociskami cięższymi (o większym kalibrze), ale wolniejszymi. Istotny postęp w pracach nad taką amunicją nastąpił za sprawą niemieckiego inżyniera Hermanna Gerlicha, który w 1928 roku opracował amunicję Halger .280 H.V. [High Velocity] Magnum z sześciopółgramowym pociskiem osiągającym prędkość 1150 m/s. Kilka lat później dokonał kolejnego imponującego wyczynu, konstruując nabój, którego pocisk opuszczał lufę karabinu z prędkością 1600 m/s. Spore zainteresowanie wzbudziły testy przebijalności pocisków Halgera względem płyt pancernych. Okazało się, że zwykły pocisk 6,5 mm o rdzeniu ołowianym, przy prędkości sięgającej 1400 m/s, uderzając w dwunastomilimetrową płytę, bez trudu wybijał w niej otwór o średnicy

ok. 15 mm, podczas gdy pocisk przeciwpancerny wystrzelony ze zwykłego mausera (prędkość początkowa 900 m/s) powodował zaledwie dwumilimetrowe zagłębienie. W rzeczywistości pocisk Halgera nie przechodził przez pancerz, lecz wybijając w nim korek, sublimował, tzn. przechodził ze stanu stałego w gazy (ołów po prostu wyparowywał). Można powiedzieć, że funkcję pocisku przejmował na siebie wybity korek. Zjawisko to nazwano efektem Gerlicha.

W Polsce do najzagorzalszych orędowników badań nad nową bronią należał ppłk dr inż. Tadeusz Felsztyn z Centralnej Szkoły Strzelniczej w Toruniu, gdzie w 1929 roku przeprowadzono pierwsze próby z zakupionym egzemplarzem karabinu Halgera. Po pewnym czasie określono wstępne założenia przebijalności pro- ►

jektowanego karabinu – pocisk powinien wybijać otwór w piętnastomilimetrowej płycie ze stali stopowej, uderzając w nią pod kątem 30 stopni z odległości 400 m. Wieloletnie prace doprowadziły ostatecznie do powstania specjalnej amunicji (w Fabryce Prochu w Pionkach i w zakładach amunicyjnych w Skarżysku) oraz broni, którą opracowywał inż. Józef Maroszek, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Nabój 7,92 x 107 mm DS (pocisk ołowiany w płaszczu stalowym) w połączeniu z tyśiącdwustumilimetrową lufą karabinu zapewniały pociskowi prędkość wylotową ok. 1270 m/s. Wysokie walory nowej broni zostały potwierdzone podczas oficjalnych prób poligonowych przeprowadzonych w Brześciu nad Bugiem, w Zielonce oraz na strzelnicy w Pionkach. Na dystansie 300 m pocisk wybijał dwudziestomilimetrowy otwór w pancerzu o grubości 15 mm.

Produkcja seryjna ostatecznej wersji została uruchomiona na przełomie 1936 i 1937 roku w Warszawskiej Fabryce Karabinów – w tajnym oddziale, któremu nadano kryptonim „Ur”. Pomysłodawcą tej nazwy był ponoć płk Tadeusz Pełczyński, od 1935 roku szef Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (wywiad). Nazwa miała sugerować, że w wydzielonym warsztacie trwa produkcja broni przeznaczonej na eksport do jednego z krajów Ameryki Południowej (Urugwaju). Utajnienie projektu wynikało z obawy, że potencjalni wrogowie, zapoznaw-

szy się z zaletami nowej broni, wzmocnią pancerze swoich czołgów.

Broń pomysłu inż. Maroszka wyróżniała się prostotą budowy i stosunkowo niewielką masą. Karabin przeciwpancerny wz. 35 był bronią powtarzalną, wyposażoną w zamek tłokowy, ślizgowo-obrotowy, czterochwytowy. Zasilanie odbywało się z wymiennego magazynka pudełkowego o pojemności czterech nabojów. Karabin wyposażono w hamulec wylotowy pochłaniający 65 proc. energii odrzutu oraz dwójnóg. Masa broni wraz z pełnym magazynkiem wynosiła ponad 9 kg. Do wybuchu wojny wyprodukowano około 3,5 tys. karabinów wz. 35. Wbrew utartym stereotypom broń ta znalazła szerokie zastosowanie we wrześniu 1939 roku (na pluton przypadał jeden karabin), okazując się nad wyraz skutecznym narzędziem do zwalczania niemieckiej broni pancernej, której *gros* tworzyły słabo opancerzone czołgi lekkie.

Konstrukcje niemieckie i brytyjskie

W armii niemieckiej odpowiednikami polskiego karabinu przeciwpancernego były Panzerbüchse Modell 38 i 39 (PzB-38, PzB-39). Prace nad tą bronią rozpoczęto w latach trzydziestych. Podobnie jak w Polsce, dostrzeżono potencjał tkwiący w małokalibrowym pocisku uzyskującym ekstremalną prędkość początkową. Nasi zachodni sąsiedzi nie byli jednak entuzjastami „efektu Gerlicha” i postawili na metodę już sprawdzoną – pocisk z rdzeniem z utwardzonej stali. Nowy nabój 7,92 x 94 produkowano w trzech rodzajach – pocisk z rdzeniem (z czasem rdzeń ze stali

► Porównanie karabinu przeciwpancernego wz. 35 i karabinu Mausera wz. 98

zastąpiono wolframowym), ze smugaczem i kapsułką zawierającą gaz łzawiący. W tym ostatnim przypadku chodziło o zwiększenie efektu w razie przebicia pancerza. W 1938 roku w zakładach Gustloff-Werke powstał półautomatyczny karabin jednostrzałowy. Każdy nabój po ręcznym wprowadzeniu do komory nabojoywej był automatycznie ryglowany przez zamek klinowy, który po strzale dokonywał także ekstrakcji łuski. Mechanizmy były uruchamiane przez długi odrzut lufy. Broń miała dwójnóg i oporę ramieniową zaopatrzoną w poduszkę gumową.

Mimo nowatorskich rozwiązań PzB-38 nie zyskał aprobaty wojskowych i, po wyprodukowaniu ok. 1600 sztuk w latach 1939–1940, produkcję wstrzymano. Równoległe rozpoczęto wytwarzanie znacznie uproszczonej i „odchudzonej” wersji (PzB-39), która znalazła szerokie zastosowanie bojowe. Przede wszystkim zrezygnowano z automatyki – broń zachowała zamek klinowy, ale zarówno wprowadzenie naboju do komory, jak i wyrzucenie pustej łuski odbywały się ręcznie (przez pchnięcie chwytu). Karabin był lżejszy od poprzednika o blisko 4 kg i bez zasobników z amunicją ważył ok. 12,7 kg. Dzięki składanej do dołu kolbie był znacznie wygodniejszy w transporcie – długość w położeniu marszowym wynosiła jedynie 1270 mm. Wylot lufy zaopatrzone w hamulec wylotowy pochłaniający

► Polski żołnierz w Wielkiej Brytanii z karabinem przeciwpancernym Boys





Fot. MWP

► Karabin przeciwpancerny Boys

60 proc. energii odrzutu. Wystrzelony pocisk osiągał prędkość 1210 m/s; pozwalało to przebić dwudziestopięciomilimetrową płytę pancerną z odległości 300 m przy kącie uderzenia 90 stopni.

Także Brytyjczycy zdecydowali się w latach trzydziestych wyposażyć oddziały piechoty w powtarzalny karabin przeciwpancerny. Ostatecznie w wyniku długich testów wprowadzono go do uzbrojenia w 1937 roku i oznaczono Rifle, Anti-Tank, 0.55 in Boys Mk I

(nazwa Boys pochodzi od nazwiska kapitana H.C. Boya, szefa projektu). Karabin miał zamek ślizgowo-obrotowy, czterochwytowy, i był zasilany z pięcionabojowego magazynka pudełkowego, dołączanego od góry. Dostosowano go do naboju 13,97 x 99 mm z pociskiem z rdzeniem stalowym, który na dystansie 300 m penetrował pancerz grubości 21 mm. W trakcie strzelania boya opierano na T-kształtnej podpórce (w wersji oznaczonej Mk I* zastosowano klasyczny dwójnóg). Długi i ciężki, odznaczający się nadmiernym odrzutem, nie zyskał wśród żołnierzy dobrej opinii.

Tym bardziej że już w początkowej fazie wojny skuteczność pozostawiała wiele do życzenia. Gwałtowny rozwój broni pancernej sprawił, że jego przydatność w roli broni przeciwpancernej stała się czysto iluzoryczna. Nie zmieniło tego nawet zastosowanie nowych pocisków z rdzeniem wolframowym.

Do zakończenia produkcji powstało przeszło 110 tys. boysów (w Wielkiej Brytanii i Kanadzie).

Radzieckie pepance

Zarówno Niemcy, jak i Brytyjczycy dość szybko zrezygnowali z karabinów przeciwpancernych, które wobec coraz grubszych i doskonalszych pancerzy czołgowych okazywały się zupełnie bezradne. Przyszłość należała do pocisków kumulacyjnych – amunicją taką strzelały m.in. słynne niemieckie pancerfausty czy brytyjskie granatniki PIAT. Do końca wojny karabiny przeciwpancerne znajdowały natomiast zastosowanie w Armii Czerwonej.

W ZSRR potrzebę posiadania lekkiej przeciwpancernej broni piechoty dostrzeżono na długo przed wybuchem wojny, jednak do 1941 roku nie udało się skonstruować odpowiedniego wzoru. Dopiero 22 czerwca (napaść Niemiec na ZSRR) spowodował gwałtowne przyspieszenie prac i już w grudniu pod Moskwą czerwonoarmiści otrzymali nową, całkiem skuteczną broń – rusznice PTRD i PTRS. Pierwsza została zbudowana przez genialnego Wasilija Diegtiariewa; był to karabin jednostrzałowy, z zamkiem ślizgowo-obrotowym. Przy pierwszym naboju zamek należało odryglować i odciągnąć, potem, po włożeniu naboju, trzon z powrotem pchnąć i pociągając rączkę zamkową w dół, zamek zaryglować. Po strzale lufa cofała się wraz zamkiem, następowało wówczas odryglowanie i otwarcie zamka oraz wyrzucenie pustej łuski. Broń ważyła ponad 17 kg i mierzyła 2 m. Druga

rusznica była dziełem nie mniej uzdolnionego radzieckiego rusznikarza Siergieja Simonowa, karabin jego pomysłu był samopowtarzalny (odprowadzanie gazów prochowych przez boczny otwór w lufie), pięcionabojowy, co było wynikiem wcześniejszych prac konstruktora nad automatycznym karabinem AWS. Obie bronie zostały dostosowane do tego samego naboju 14,5 mm z pociskiem rdzeniowym. Udoskonalona wersja tej amunicji mogła przebić czterdziestomilimetrowy pancerz z dystansu 300 m.

Już na początku 1943 roku Sowieci dysponowali przeszło 100 tys. karabinów przeciwpancernych (przede wszystkim prostszych konstrukcyjnie PTRD), co ilustruje imponujące możliwości przemysłu radzieckiego. W początkowym okresie wojny rusznice stanowiły skuteczny środek przeciwko czołgom wroga, potem, w miarę przybywania na front lepiej opancerzonych wozów niemieckich, ich rola jako broni przeciwpancernej malała. Z chwilą gdy Armia Czerwona przeszła do ofensywy i była zmuszona przełamywać kolejne niemieckie rubieże, karabiny przeciwpancerne PTRD i PTRS wykorzystywano do niszczenia wykrytych stanowisk ogniowych; używano ich do końca wojny. ■

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Niemiecki PzB-39



Fot. MWP

Fot. MWP

Żakardowe orły z Tel Awiwu

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

► Orły żakardowe z firmy S.E. Tietz w Tel Awiwie w wersjach kolorystycznych dla broni pancernej i dla piechoty

2. Korpus Polski opuścił Środkowy Wschód, wyruszając na front włoski w grudniu 1943 roku. Służba Materiałowa Korpusu, do której obowiązków należało m.in. zaopatrywanie żołnierzy w oznaki, nie zerwała jednak łączności z dotychczasowymi dostawcami. W połowie 1944 roku została uruchomiona w Tel Awiwie wielkoseryjna produkcja orłów przeznaczonych do noszenia na beretach.

Obecność polskiego wojska na terenie Palestyny, będącej wówczas brytyjskim terytorium mandatowym, zaczęła się od przekroczenia granicy przez Brygadę Strzelców Karpackich, uchodzącą z francuskiej Syrii po kapitulacji Francji. Od tego momentu, a było to na przełomie czerwca i lipca 1940 roku, polscy żołnierze rozgościli się w Palestynie. Co praw-

da, rzut bojowy brygady pół roku walczył w Afryce, ale elementy tyłowe nie zmieniły na ten czas miejsca pobytu. Pierwszy obóz przydzielony polskim żołnierzom, Latrun, znajdował się na wzgórzach w okolicy biblijnego Emaus, położonego przy drodze z Jerozolimy do Tel Awiwu.

Jedno z pierwszych spotkań polskich żołnierzy z Tel Awiwem, w początku drugiego połowy 1940 roku, opisał żołnierz

2. Batalionu Brygady Strzelców Karpackich, Kazimierz Koszyca: „Główną arterią miasta Tel-Aviv, szeroką aleją Allenby Road, ruszył nasz batalion z pieśnią na ustach: »O mój rozmarynie, rozwijaj się...« [...] ze wszystkich sklepów, barów, restauracji, urzędów, domów, bocznych ulic wyległy niezmierzone tłumy naszych polskich Żydów, którzy tutaj, w Palestynie, budowali swój Żydowski Dom, ale

sercami byli wtedy jeszcze, tak jak i my, tam gdzie nad Wisłą. [...] W ciągu niecałych pięciu minut cały batalion został rozebrany, rozszarpany przez entuzjastyczne tłumy. [...] Pamiętam, że znalazłem się ze Stasiem Kwitem i sierżantem Marcinkiewiczem w małej restauracyjce. Było nas trzech wojaków, a bodaj dwudziestu cywili, w tym dziesięć kobiet. Wszyscy na wyścigi gadali, krzyczeli, nalewali nam kielichy:

– Pij pan! Panie żołnierzu, wojskowy! Czy pan może jesteś z Dobromila, a może z Drohobycza?

– Co? Z Nowego Targu? Pan musisz znać Guttenfreunda, Morgenbessera albo Degena!

– Fajga! Chodź tu zaraz! Tu jest pan żołnierz z Nowego Targu!

– Przywitaj się! To jest młoda Degenówna, córka starego Degena z Nowego Targu, on ma w Jeruzalem sklep. Co za spotkanie!

– Pan z Nowego Targu? My tam mieli w rynku sklep z rowerami. Pan pamięta? Obok był bławatny sklep Guttenfreunda, a dalej miał sklep korzenny Zapiórkowski. On był »endek«. Pan wie, »endek«, to taki, co krzyczał: »Bij Żyda!«. Ale on tylko krzyczał. [...] My jemu posyłałi na Wielkanoc macę, a jego córka Zosia przynosiła nam na Boże Narodzenie opłatek. [...] żandarmeria ogłosiła przez głośniki: »2-gi Batalion, za 5 minut zbiórka w kolumnie marszowej na Allenby Road!«. Żegnaliśmy tych kochanych ludzi. Jakaś dziewczyna chwyciła mnie za szyję i po-

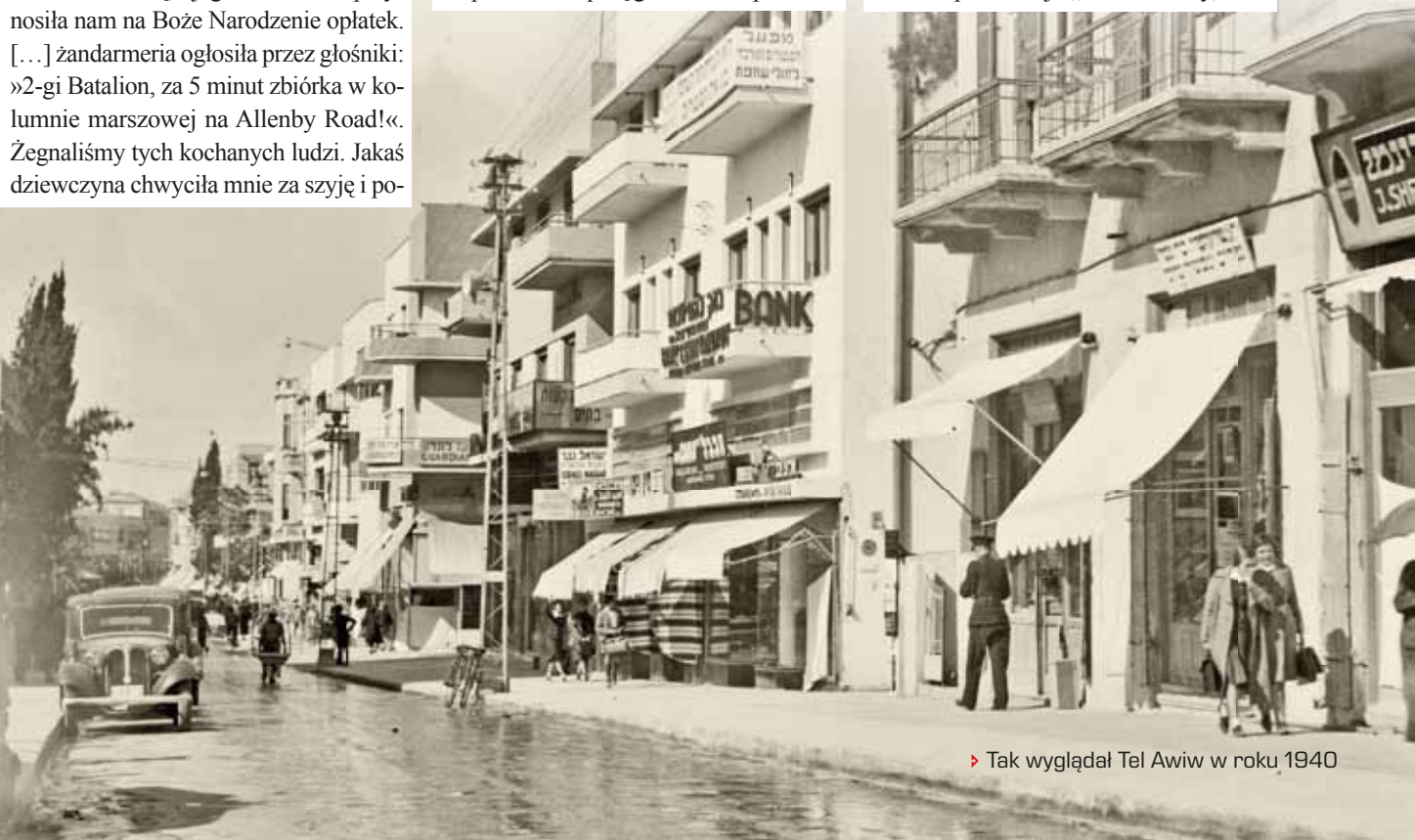
Kraje wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego określa się obecnie w języku polskim terminem „**Bliski Wschód**”. W latach II wojny światowej, tak w rozkazodawstwie, jak i w relacjach, nazywano je – za nazwą anglojęzyczną – „**Środkowym Wschodem**” i ta właśnie nazwa została użyta w artykule.

całowała w usta, tak jak jeszcze wtedy nie wiedziałem, że całować można”.

Kolejna, znacznie większa fala polskiego wojska dotarła na Bliski Wschód w 1942 roku, ewakuowana z ZSRR. Z połączenia obu jednostek powstała Armia Polska na Wschodzie, stacjonująca przede wszystkim na terenie Iraku, Iranu i Palestyny. Żołnierze na przepustkach i urlopach często odwiedzali pobliską Ziemię Świętą, ale i Tel Awiw był celem żądnych wrażeń urlopowiczów. Biorąc pod uwagę polskie pochodzenie wielu mieszkańców miasta i idący za tym brak bariery językowej, nie można się dziwić, że żołnierze Armii Polskiej na Wschodzie stali się mile widzianymi gośćmi i poszukiwanymi klientami, a Tel Awiw nabrał bardzo swojskiego dla nich charakteru. Strzelec Tadeusz Bodnar z 5. baonu łączności wspominał: „Jest to duże miasto, pełno sklepów i wszystko można dostać. Nie mamy kłopotu, wszędzie mówią po polsku. Gazet polskich jest tu więcej jak angielskich, hebrajskich czy arabskich. Kupiłem sobie parę gazet i kilka polskich

książek. Czujemy się dobrze, bo wszędzie mówią po polsku, czy to na ulicy, czy w sklepie. Poszliśmy do kina oczywiście na polski film”. Z kolei Aleksander Majewski, kapral 6. Pułku Pancernego, zauważył, że „można tam było zjeść i potańczyć, napić się wina albo pójść do kina. Do Jerozolimy, która jest najpiękniejszym miastem tego kraju, było dość daleko [...] W Tel-Awivie były dobre restauracje i można było zamówić różne polskie potrawy”.

Wielu żołnierzy opisywało Tel Awiw we wspomnieniach. Krystyna Maryńska-Zgrzebnicka zanotowała, że jej przyjaciółka przeniosła się „na przedmieście Tel Awiwu, względnie Jafy. Boć przecież żydowski Tel Awiw, czyli »Pagórek Wiosny«, powstał w pierwszych latach XX wieku w cieniu arabskiej Jafy. Teraz oba miasta dzieliła bariera niechęci”. Różnice między sąsiadującymi miastami, oddzielonymi siecią brytyjskich posterunków wojskowych, podkreśla relacja por. Piotra Medyny z 5. Pułku Artylerii Przeciwpancernej: „Nowoczesny, ele- ▶



▶ Tak wyglądał Tel Awiw w roku 1940

gancki Tel-Awiw stykał się bezpośrednio z arabską Jafą. Dziwne wrażenie na nas, przybyszach z Europy, wywierało to sąsiedztwo. W Tel-Awiwie wspaniałe wystawy, bogate sklepy, restauracje, kina, na ulicach tłumy ludzi ubranych po europejsku. Tuż obok, sąsiednia ulica jest już Jafą: brudnawe, niskie domy, brak sklepów (poza bazarom), ruch niewielki. Arabowie w swoich halabijach, kobiety w czarnych, powłóczystych szatach i z zasłoniętymi twarzami. Gdzieś tam mała kawiarenka, z której dochodzą obce, wschodnie melodie. W Tel-Awiwie nie widziało się Arabów i odwrotnie – Żydzi rzadko chodzili po ulicach Jafy.

W związku z przejściowym pobylem tak dużej ilości Polaków w Palestynie mieszkańcy Tel-Awiwu, z których co najmniej połowa pochodziła z Polski, stawili się na stworzenie dla nas jakiejś namiastki Polski, za co musieliśmy, naturalnie, odpowiednio płacić. Znalazły się restauracje z wyłącznie polską kuchnią i obsługą, w sklepach ekspedientki zwracali się do nas po polsku, wyświetlano filmy z polskimi napisami i nawet można było dostać, co prawda bardzo drogo, oryginalną polską wódkę ze stemplem Polskiego Monopolu Spirytusowego z 1938 r.”

Stary Żyd mnie zapytał koło Jaffskiej Bramy: – Ogród Saski jest jeszcze? Ciągłe taki samy? Jest fontanna? Przy wejściu od Czystej ulicy, Tam sklep z wodą trzymali dawniej cukiernicy. [...]

Ja jestem trochę słaby. Jak ja się poprawię, Ja chcę jechać; ja pragnę zamieszkać w Warszawie
(Antoni Słonimski, *Rozmowa z rodakiem*)

Produkcja taśm żakardowych

Nie tylko prywatnie i przyjemnie spędzanie czasu przez urlopowiczów łączyło Armię Polską na Wschodzie z Tel Awiwem. Miasto miało już w tym okresie dobrze rozwinięty przemysł lekki i jego liczne zakłady produkcyjne były doskonałymi partnerami dla wojskowej intendendury. Jednym z nich była firma S.E. Tietz, działająca w dzielnicy Nahalat Yitzhak, zajmująca się przed wojną masową produkcją pasmanteryjną. Podstawowym profilem jej wytwórczości były wstaż-



▶ Żołnierz 1. Pułku Ułanów Krechowickich z żakardowym orłem na berecie; zdjęcie wykonane we Włoszech

ki i metki adresowe, wszywane do gotowych wyrobów przez producentów odzieży. W czasie wojny firma Tietz tkala naszywki na zamówienie brytyjskich formacji mundurowych. Produkcja miała charakter masowy; przykładowo w maju 1943 roku został podpisany kontrakt na dostawę blisko 130 tys. naszywek i oznak stopni z terminem realizacji dziesięć tygodni. Dostarczana w ramach tej transakcji naszywka na rękaw miała kosztować 16,2 milsa, gdy za 10 milsów można było nabyć porcję lodów, a za 25 – butelkę piwa. Osiągnięcie tak niskiego kosztu jednostkowego było możliwe dzięki wykorzystaniu krosien wyposażonych w urządzenia żakardowe.

Słowo „żakard” jest powszechnie znane, lecz zasada tworzenia takiego splotu wymaga już wyjaś-

nienia. Należy zacząć od wariantu podstawowego produkcji tkaniny, czyli tkania przy użyciu krosna. Tkanina powstaje z połączenia dwóch prostopadłych do siebie układów nici – osnowy i wątku. Krosno jest urządzeniem, które unosząc, w najprostszym splocie, co drugą nić osnowy, tworzy przestrzeń zwaną przesmykiem. W przesmyk następnie jest wpro-

wadzana jedna nić wątku. Potem układ nici osnowy jest odwracany – unoszą się te, które poprzednio były opuszczone, opuszczają się uprzednio podniesione i kolejna nić wątku jest wprowadzana w przesmyk. Powtarzanie tego cyklu nazywa się tkaniem.

Maszyna żakardowa, wynaleziona w 1805 roku przez Josepha Marie Jacquarda, pozwala na osobne sterowanie każdą nitką osnowy podczas tworzenia przesmyku. Układ nici osnowy dla danego przesmyku jest zapisany na karcie perforowanej. Jedna karta odpowiada za jedno tylko otwarcie przesmyku i po każdorazowym przeprowadzeniu nici wątku jest zmieniana na kolejną. Dzięki temu rozwiązaniu i przy użyciu wielobarwnych nici wątku można tworzyć na tkaninie najbardziej nawet skomplikowane wzory.

Po wprowadzeniu w przesmyk jednej nici wątku następuje automatyczna zmiana karty perforowanej. Gdy z kolejno wprowadzanych nici wątku powstanie już cały rysunek, ostatnia karta perforowana jest zamieniana z powrotem na pierwszą, a cały cykl zaczyna się od nowa. Ciągły proces tkania pozwala na automatyczne odtworzenie tego samego rysunku w dowolnej liczbie powtórzeń.

Programowanie maszyny wymaga oczywiście czaso- i pracochłonnego przygotowania karty dla każdego przesmyku, ale za to późniejsza praca jest całkowicie zautomatyzowana. Na przykład do uruchomienia produkcji orłów żakardowych, o których będzie mowa, trzeba było przygotować około stu kart perforowanych. Tym bardziej

▶ Kapral 6. Lwowskiej Brygady Piechoty z orłem żakardowym na berecie



Fot. ze zbiorów autora

opłacalne jest użycie maszyny wielogłowicowej, w której zapis z mechanicznego czytelnika kart perforowanych steruje kilkoma lub kilkunastoma równoległymi procesami tkania.

Orły z firmy S.E. Tietz

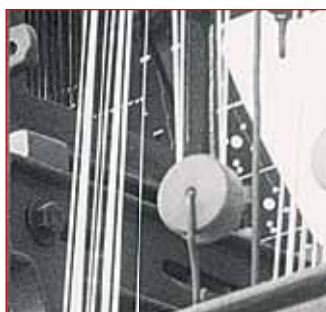
Od czerwca 1944 roku noszone do tej pory furazerki zaczęto w Armii Polskiej na Wschodzie zastępować beretami koloru khaki. Rozkaz wprowadzający berety do użycia mówił, że docelowo należy na nich umieszczać orły haftowane, ale „do czasu wydania orzełków haftowanych należy nałożyć na berety orzełki metalowe z furazerek”.

Przed Służbą Materiałową stało zatem zadanie znalezienia wykonawcy orłów tekstylnych. Wybór padł na firmę S.E. Tietz, wyposażoną w wielogłowicowe maszyny żakardowe niemieckiej firmy Edmund Finkensieper w Wuppertalu. Orły tekstylne, nazwane w rozkazie haftowanymi, w rzeczywistości miały zostać wyprodukowane w technice żakardowej. Jako wzór dostarczono z działu muzealnego przy Archiwum APW przedwojennego orła haftowanego wz. 37. Ze względu na użycie do produkcji orłów maszyny służącej do tkania taśm o niewielkiej szerokości okazało się konieczne bez mała dwukrotne zmniejszenie godła. Produkcja ruszyła. Gotowa taśma żakardowa, na której znajdowały się tka-

ne wizerunki orłów, była cięta na kawałki. Pojedyncze orły wycinano, zaokrąglano narożniki, podkładano rewery grubą dzianiną i obszywano ręcznie dookoła.

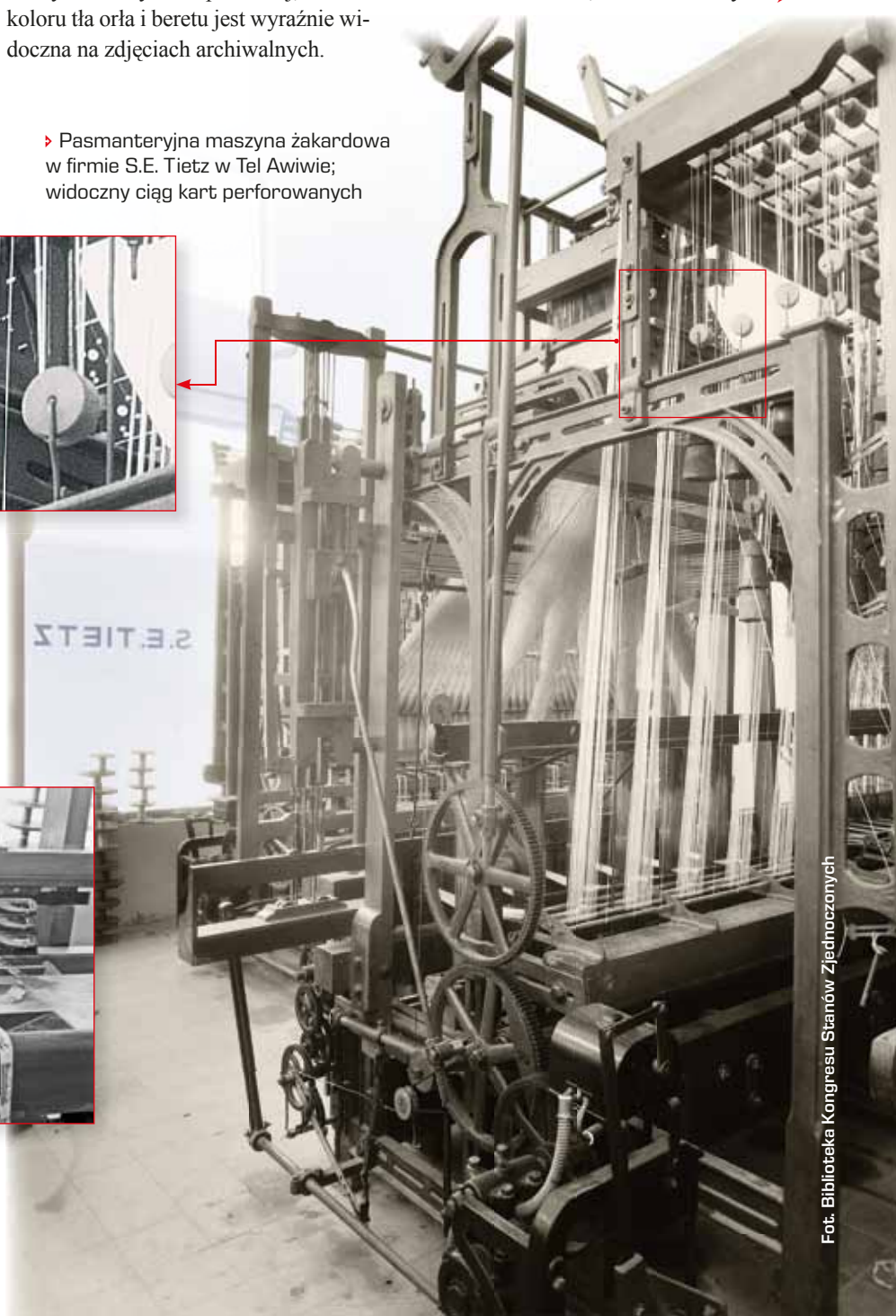
Pierwszy kontrakt z firmą Tietz został zawarty w lipcu 1944 roku, po jego zakończeniu zrealizowano w tym samym roku przynajmniej jeszcze jeden. Orły produkowano w dwóch wariantach, różniących się kolorem podkładek: ciemnozielonym i khaki. Ten pierwszy był przeznaczony do naszywania na czarne berety żołnierzy broni pancerniej; różnica koloru tła orła i beretu jest wyraźnie widoczna na zdjęciach archiwalnych.

► Pasmanteryjna maszyna żakardowa w firmie S.E. Tietz w Tel Awiwie; widoczny ciąg kart perforowanych



► Głowice maszyny żakardowej w firmie Tietz, widoczna barwna taśma z napisami – wyrób gotowy

Jednostki pozostające na Bliskim Wschodzie były kilkakrotnie mniej liczne od 2. Korpusu walczącego w tym czasie we Włoszech, a rozkazu wprowadzenia w nich beretów khaki nie wykonano w pełni aż do końca wojny. Znakomita większość orłów produkcji firmy Tietz została wyekspediowana do Włoch i tam, wydawana żołnierzom przez Służbę Materiałową, była noszona zarówno na beretach czarnych, jak i na beretach khaki, wprowadzonych rozkazem z marca, a dostarczonych ►



oddziałom w maju 1944 roku. Zapasy były na tyle duże, że po dziś dzień zachowało się sporo egzemplarzy orłów żakardowych, które nigdy nie zostały przyszyte do beretu.

Dostawy do Europy

2. Korpus wyruszył do Włoch pod koniec 1943 roku. Wydawać by się mogło, że odległość dzieląca oddziały liniowe od Środkowego Wschodu przyczyni się do zmiany kontrahentów zajmujących się zaopatrzeniem materiałowym. Wbrew pozorom, mimo częściowego wykorzystania lokalnych możliwości produkcyjnych, Służba Materiałowa 2. Korpusu utrzymała bardzo silne więzi z dotychczasowymi dostawcami. Na Bliskim Wschodzie pozostali intendentzi odkomenderowani w celu dopilnowania realizacji bieżących zamówień oraz składania nowych. Palestyna czy Egipt w porównaniu z wyniszczoną wojną Europą były dość zasobne w surowce strategiczne. Warto poruszyć przy tej okazji kwestię produkcji polskich orłów techniką odlewania, wykorzystywaną właściwie wszędzie, gdzie przebywały polskie oddziały. O ile na Środkowym Wschodzie jako surowca do produkcji używano najczęściej stopów miedzi, o tyle w Wielkiej Brytanii, Francji czy we Włoszech odlewy wykonywano ze stopów ołowiu i cyny.

Firmy ze Środkowego Wschodu realizowały wysokonakładowe kontrakty na rzecz 2. Korpusu Polskiego walczącego we Włoszech. Krzyże Walecznych i Krzyże Zasługi, którymi dekorowano żołnierzy po bitwach o Monte Cassino, Ankonę czy Bolonię, przyjeżdżały z Jerozolimy, z pracowni Samuela Kretschmera (więcej o niej w „Pamięci.pl” nr 1/2015). Oprócz orłów żakardowych z firmy Tietz wysyłano do Włoch

produkowane tą samą techniką godła naramienne brygad i dywizji 2. Korpusu.

Obok zamówień oficjalnych spływały na Bliski Wschód także zapotrzebowania prywatne. Piotr Medyna, oficer artylerii przeniesiony w początku 1945 roku do 7. pułku ułanów, w którym dbano o szczególny fason, wspominał: „Na życzenie dowódcy pułku wszyscy oficerowie musieli się zaopatrzyć, na wzór angielski, w długie jasne spodnie z tzw. sztruksu. Ponieważ we Włoszech odpowiedniego materiału nie można było dostać, musieliśmy te spodnie sprostować aż z Egiptu i słono za nie płacić”.

Od Nowej Drogi po Dno Piekła

Wizyty w Tel Awiwie były dla naszych żołnierzy miłym odpoczynkiem nie tylko od służby wojskowej, lecz także od warunków klimatycznych. Nazwy miejscowości, w których przebywali, mówią same za siebie. Siedzibą sztabu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR było Jangi Jul, położone w okolicy Taszcentu. Generał Władysław Anders i wielu jego żołnierzy w swoich wspomnieniach zauważało, że był to *nomen omen* początek nowej drogi przez dalekie kraje, Jangi Jul bowiem to po uzbecku Nowa Droga. Malaryczny klimat tej okolicy okazał się zabójczy dla wielu wycieńczonych Polaków. Po ewakuacji Polskich Sił

Zbrojnych z ZSRR nastąpiło spotkanie z Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich i połączenie obu jednostek. Jednym z pierwszych garnizonów i zarazem siedzibą dowództwa nowo powstałej Armii Polskiej na Wschodzie był iracki Khanaqin – czyli Dno Piekła. Bliskość wysokich gór Kermanshah i niskie położenie terenu sprawiały, że nazwa kamienistej kotliny doskonale oddawała panujący w niej klimat. Nazwy innych garnizonów nie były lepsze: Quizil Ribat to Rozpalona Patelnia, Jaluła – Czerwony Diabeł. Ekstremalne, kilkudziesięciostopniowe wahania temperatury między nocą a dniem, ham-siny – huraganowe, wielodniowe burze piaskowe, skorpiony, skolopendry i jadowite pająki, w porze deszczowej opady powodujące gwałtowne powodzie, z których po kilku godzinach nie pozostawał nawet ślad wilgoci – tak wyglądało życie wojska na pustyni. Trudno się więc dziwić, że żołnierze z taką chęcią odwiedzali nadmorski kurort Tel Awiw – Pagórek Wiosny. ■

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orla wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Autor składa serdeczne podziękowania za konsultację p. Janowi Głowackiemu, kierownikowi Działu Historii Technik Włókienniczych Centralnego Muzeum Włókiennictwa.

► Przygotowanie karty perforowanej na przebijarce klawiszowej w firmie S.E. Tietz



Zamach na enkawudzistę

Zuzanna Łubiarz

Warszawska harcerska gra miejska „Konspiracja” ma dziesięcioletnią tradycję. W tym roku po raz pierwszy jej bohaterami byli Żołnierze Wyklęci.

Każdy z kilkusobowych patroli rozpoczynał grę od obejrzenia krótkiego filmu (faza zero – „nagle zejście nowiu”) zawierającego wskazówkę dotyczącą pierwszej misji: odnaleźć kopertę w tajnej skrytce przedwojennej piwnicy. Okazało się, że poszukiwany obiekt ukryto w wąskim tunelu pod włazem umieszczonym na podłodze.

Faza pierwsza („aksamitny dotyk nocy”) startowała z ul. Ciołka. Do stojącej tam budki telefonicznej dzwoniła pewna osoba, przekazując dalsze informacje niezbędne do gry. Patrole po odebraniu wiadomości

udawały się do Lasku na Kole. Tam uczestnicy wcielali się w żołnierzy trenujących przed ostatecznym starciem z wrogiem. Musieli m.in. rozbroić bombę, znaleźć miny, używając wykrywacza metali, udzielić pierwszej pomocy rannemu żołnierzowi – wszystko oczywiście na niby. Imitację bomby zrobiono ze starej menażki: wycięto w niej dziurki i umieszczono tam lampki połączone kolorowymi kabelkami. Uczestnicy po odsłuchaniu zaszyfrowanej wiadomości musieli przeciąć kable w odpowiedniej kolejności. W części ➤





Fot. Andrzej Skwarzynski

zadań uczestniczyli członkowie Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Wolność i Niezawisłość” z Warszawy. Nie tylko oni wyróżniali się strojem. Każda osoba z patrolu musiała być ubrana stosownie do epoki.

Faza druga („gniewny pomruk burzy”) odbywała się już poza laskiem. Jednym z zadań było wydrukowanie ulotek w drukarni Muzeum Powstania Warszawskiego. Wywołało to dość duże zainteresowanie wśród zwiedzających muzeum. Część z nich ustawiała się w kolejce, aby również skorzystać z muzealnej drukarni. Niestety, odchodzili z kwitkiem – ta atrakcja była bowiem dostępna wyłącznie dla uczestników gry. Po wykonaniu zadań z tej fazy uczestnicy mogli zregenerować siły podczas żołnierskiego obiadu, którego najważniejszym składnikiem były suchary. Przez cały „gniewny pomruk burzy” na graczy czyhało niebezpieczeństwo: funkcjonariusze NKWD.

Decydująca była faza trzecia („delikatne uderzenie pioruna”): zamach na pułkownika NKWD. W ramach przygotowań trzeba było wysadzić – też oczywiście na niby – podziemną linię telefoniczną i tory kolejowe. Każdy patrol podczas gry zdobył kilka środków chemicznych, których w odpowiednim miejscu i po otrzymaniu instrukcji można było użyć, co w połączeniu tworzyło tzw. petardę hukową. Po wykonaniu tych zadań uczestnicy dostawali misję ostateczną: na wyznaczonym terenie krążył pułkownik NKWD; każdy z patroli musiał go odnaleźć i zastawić na niego pułapkę.

Tuż przed zachodem słońca wszystkie 23 patrole (ok. 150 osób), które brały udział w grze, udały się na Cmentarz Wojskowy na Powązkach. W kwaterze „L”, w której pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN odnaleziono dotychczas szczątki 198 osób, w tym wielu Żołnierzy Wyklętych, odbył się uroczysty apel kończący grę.

„Konspirację” zorganizował hufiec Związku Harcerstwa Polskiego Warszawa-Wola. 🇵🇱

Zuzanna Łubiarz – uczennica CXXV LO im. Waldemara Milewicza w Warszawie, harcerka hufca Warszawa-Wola ZHP



► Mateusz Kwiatkowski, *Legenda o gubińskich karzelkach*



► Sara Puk, *Józef Piłsudski*



► Kacper Antkowiak, *Grudzień '70*



► Mirosław Nadobnik, *Żołnierze Wyklęci*



► Karolina Mielnik, *Poznański Czerwiec '56*

Piękna, malowana historia

Wioletta Kaźmierczak

Utrwalanie znajomości dziejów, pielęgnowanie patriotyzmu, rozwijanie wrażliwości plastycznej – oto cele konkursu historyczno-plastycznego „Historia malowana”.

„**Historia malowana**” to konkurs historyczno-plastyczny – ogłoszony w minionym roku szkolnym po raz trzeci – zorganizowany przez Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Sulęciniu, przeznaczony dla szkół i ośrodków szkolno-wychowawczych województw lubuskiego i wielkopolskiego. Zadaniem uczestników konkursu było wybranie postaci, znaku lub wydarzenia związanych z historią Polski i przedstawienie ich w dowolnej technice plastycznej.

Z pięćdziesięciu placówek nadesłano 427 prac. Spoglądają z nich na nas m.in. powstańcy warszawscy, wielkopolscy i styczniowi, uczniowie z Wrześni, Irena Sendlerowa, Kazimierz Sprawiedliwy, Danuta Siedzikówna „Inka” i inni Żołnierze Wyklęci, średniowieczni wojowie, legendarni założyciele państwa polskiego, Jan III Sobieski, Jan Paweł II, Józef Piłsudski, Mikołaj Kopernik, Mieszko I, Kazimierz Wielki. Uczniowie w swoich pracach przywoływali takie wydarzenia, jak: powstanie państwa polskiego, koronacja Bolesława Chrobrego na króla Polski, atak Niemiec hitlerowskich na Polskę, Zbrodnia Katyńska, masakra robotników z grudnia 1970 roku. W pracach zachwycają kolor i różnorodność technik plastycznych (rysunek, akwarela, kolaż, wypalanka w drewnie itp.). Komisja konkursowa miała ogromne trud-



► Hubert Klementowski, *Warszawa w czasie II wojny światowej*

ności z wytypowaniem laureatów ze względu na wysoki poziom artystyczny nadesłanych prac. W wielu przypadkach przyznano miejsca *ex aequo*. Wyłoniono 29 laureatów i 16 wyróżnionych.

Po burzliwych obradach komisja konkursowa w składzie: Anna Gwizdek – instruktorka w sekcji plastycznej Sulęcińskiego Ośrodka Kultury, Monika Stegeman – nauczycielka plastyki w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Sulęciniu oraz niżej podpisana – ogłosiła wyniki.

Nagrody wręczono 10 czerwca w czasie festynu szkolnego. 🍷

Wioletta Kaźmierczak – nauczycielka historii w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Sulęciniu

LAUREACI PIERWSZYCH MIEJSC W POSZCZEGÓLNYCH KATEGORIACH:

Dzieci od 10. do 13. roku życia, *ex aequo*:

- **Hubert Klementowski** (Publiczna Szkoła Podstawowa w Drzonkowie), *Warszawa w czasie II wojny światowej*; opiekun: Katarzyna Sułkowska-Kulik
- **Karolina Mielnik** (Szkoła Podstawowa nr 80 im. Kornela Makuszyńskiego w Poznaniu), *Poznański Czerwiec '56*; opiekun: Piotr Czapara

Młodzież od 14. do 16. roku życia, *ex aequo*:

- **Julia Osika** (Publiczne Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Krzeszycach), *Katyń*; opiekun: Agata Wyźga
- **Marta Dominiak** (Zespół Szkół w Pszczewie), *Koronacja księcia na króla przez arcybiskupa*; opiekun: Agnieszka Koneczna

Młodzież od 17. do 19. roku życia:

- **Klaudia Rewaj** (Ośrodek dla Dzieci z Wadami Słuchu i Mowy im. Kornela Makuszyńskiego w Żarach), *Powstaniec warszawski*; opiekun: Halina Szyszkowska

Młodzież niepełnosprawna od 10. do 16. roku życia, *ex aequo*:

- **Bartłomiej Szymański** (Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Przytoku), *Powstanie warszawskie*; opiekun: Anna Barczyk-Kołodziejka
- **Kacper Ostek** (Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Lecha Wierusza w Świebodzinie), *Józef Piłsudski*; opiekun: Ewa Szczepańska

Młodzież niepełnosprawna od 17. do 24. roku życia, *ex aequo*:

- **Mateusz Kwiatkowski** (Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Marii Konopnickiej w Gubinie), *Legenda o gubińskich karzelkach*; opiekun: Jadwiga Polewska
- **Konrad Kowalczyk** (Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Marii Konopnickiej w Sulęciniu), *Polscy żołnierze*; opiekun: Beata Kowalczyk

Patroni honorowi konkursu: Starosta Sulęciński i Powiat Sulęciński, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu, Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej, Bractwo Rycerzy Ziemi Międzyrzeckiej
Patroni medialni: portal edukacyjny IPN „Pamięć.pl”, Magazyn historyczny „Mówią Wieki”, „Gazeta Lubuska”, „Przekrój Lokalny”

Jak uczyć o Obławie Augustowskiej?

Krzysztof Jodczyk

Wciąż jeszcze żyją świadkowie Obławy Augustowskiej. Spotkanie z nimi, wysłuchanie relacji i odwiedzenie miejsc związanych z tragedią z lipca 1945 roku to najlepszy sposób przekazania informacji o tamtych wydarzeniach. Nauczyciele z miejscowości oddalonych od Suwalszczyzny mogą skorzystać z licznych materiałów multimedialnych. Bo wiedza o Obławie Augustowskiej powinna być powszechna w całej Polsce, a nie tylko na jej północno-wschodnich krańcach.

Przemiany polityczne z końca lat osiemdziesiątych XX wieku umożliwiły pojawienie w powszechnej świadomości Polaków szerszej wiedzy m.in. o Zbrodni Katyńskiej, deportacjach z okresu pierwszej okupacji sowieckiej. Temat Obławy Augustowskiej wciąż bez większych rezultatów próbuje się przebić przez mur obojętności – a może raczej: niepamięci.

Historia lokalna?

Dzieje się tak być może dlatego, że ta największa zbrodnia dokonana na Polakach po zakończeniu II wojny światowej bywa kojarzona wyłącznie z historią regionalną. Tymczasem dramat ofiar obławy i ich rodzin ma wiele punktów stykowych ze wspomnianymi powyżej represjami sowieckimi. Pierwszym są sprawy – dowództwo i funkcjonariusze sowieccy. Kolejnym – zмова milczenia wokół wydarzeń z lipca 1945 roku, która trwała do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia oraz stygmatyzowanie rodzin ofiar. Podobnie jak w wypadku ofiar Zbrodni Katyńskiej czy deportowanych na wschód, także najbliżsi zaginionych w obławie musieli przez wiele lat skrywać swój ból spowodowany utratą ojca, brata czy córki. Trzecim punktem stykowym jest skala represji – w ciągu zaledwie kilku lipcowych tygodni zostało aresztowanych ponad 7 tys. osób, z których zamordowano co najmniej 592 i ukryto je w nieznanym do dzisiaj miejscu. Celem przeprowadzenia obławy była pacyfikacja terenu, na którym działały silne struktury podziemia niepodległościowego.

Przytoczone powyżej okoliczności zdecydowanie przemawiają za ponadregionalnym charakterem Obławy Augustowskiej – zbrodni nazywanej niekiedy małym Katyniem. Przywołując dramatyczny los wojskowych, policjantów czy pograniczników, którzy w swoją służbę mieli wpisane poświę-

*Gdy usłyszę – zapomnę,
Gdy usłyszę i zobaczę – zapamiętam,
Gdy usłyszę, zobaczę i porozmawiam – zrozumiem*
Melb Silberman



Fot. IPN Białystok

► Uczestnicy rajdu zwiedzają gospodarstwo rodziny Szyperów, w którym mieścił się punkt filtracyjny; Krasnybór, 22 września 2009 roku

enie dla dobra ojczyzny, w przypadku obławy pamiętać należy, że wśród kilkuset ofiar (głównie cywilów) znalazło się kilkadziesiąt kobiet i kilkanaście osób niepełnoletnich! Wielokrotnie możemy spotkać się z opinią, że kłamstwo katyńskie było kłamstwem założycielskim PRL. Jaką skalą zmierzyć i jak określić milczenie wokół Obławy Augustowskiej?

Rajd dla miejscowych...

Poznanie historii z wykorzystaniem podręcznika pozwala zazwyczaj osiągnąć tylko część celów kształcenia, wyznaczonych przez nauczycieli. Znacznie skuteczniejsze są próby „dotknięcia historii”: wizyta w muzeum, wycieczka do miejsc związanych z ważnymi wydarzeniami historycznymi. Wnioski takie wypływają także z coraz częściej organizowanych (m.in. przez białostocki oddział IPN) wyjazdów edukacyjnych młodzieży do Katynia, Kuropat czy na Monte Cassino. Emocje odczuwane podczas odwiedzania miejsc symbolicznych dla każdego Polaka to niezapomniana lekcja historii.

We wrześniu 2009 roku Klub Historyczny im. AK w Augustowie, wspólnie ze Starostwem Powiatowym w Augustowie oraz Oddziałem IPN w Białymstoku, zorganizował Rajd Śladami Ofiar Obławy Augustowskiej. Był on jednym z elementów obchodów Tygodnia Pamięci o Polskim Państwie Podziemnym. Licząca blisko 80 osób grupa młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej z 15 szkół z powiatu augustowskiego miała sposobność poznać okoliczności, miejsca oraz osoby związane z Obławą Augustowską. W trakcie jednodniowej imprezy uczestnicy wysłuchali prelekcji pracowników pionu edukacyjnego IPN oraz historyków regionalistów. Mieli także okazję obejrzeć pierwszy w historii film dokumentalny

o Obławie Augustowskiej – powstały w 1988 roku obraz Jacka Petryckiego *A może tego nie wolno mówić?* (reżyser w warunkach konspiracyjnych sfilmował relacje rodzin, wywiózł taśmy z Polski i pokazał widzom w Wielkiej Brytanii).

W pobliżu kina, na tyłach budynku, w którym przetrzymywano aresztowanych w obławie, uczniowie wysłuchali poruszających wspomnień Waława Leszczyńskiego, któremu udało się przeżyć sowieckie przesłuchania. Dużej dawki emocji uczestnikom rajdu dostarczyło obejrzenie obiektów związanych z działalnością sowieckiego i polskiego aparatu represji w powojennym Augustowie i jego okolicach. Jednym z takich miejsc jest „Dom Turka” w Augustowie, usytuowany przy ul. 3 Maja. Przedwojenna kamienica o nazwie intrygującej dla turystów wśród starszych augustowian wzbudza jednoznacznie złe skojarzenia związane z działającym w tym budynku Urzędem Bezpieczeństwa. W nieodległym Sztabinie uczestnicy rajdu obejrzeni gospodarstwo państwa Szyców, gdzie wedle wielu relacji znajdował się punkt filtracyjny: w części stodoły przetrzymywano aresztowanych, a w domu Sowietów prowadzili brutalne przesłuchania. Lokalizacja zabudowań i stan ich zachowania przekazały uczestnikom namiastkę atmosfery dramatycznych dni z lipca 1945 roku.

Kolejnym przystankiem na trasie był Krasnybór. Jak ustalili historycy, w trakcie obławy zatrzymano wszystkich młodych mężczyzn z tej miejscowości, których następnie zamknięto w stodole rodziny Szyperów. W tym wyjątkowym miejscu uczestnicy również mieli okazję do spotkania ze świadkiem historii: Edward Piekarski opowiadał o okolicznościach własnego zatrzymania i przetrzymywania przez Sowietów w punkcie filtracyjnym w Krasnymborze. Młodzież dowiedziała się o sowieckich przesłuchaniach, ale także o możliwości kontaktu aresztowanych z członkami rodzin, którzy dostarczali pożywienie. Spośród grupy przetrzymywanych osób wyselekcjonowano jedenaście (wszyscy członkowie AK ze wsi), które wywieziono dalej w nieznanym kierunku. Żadna z nich nie wróciła już do Krasnegoboru (relacja dostępna na portalu IPN www.oblawaaugustowska.pl).

Rajd został zorganizowany jesienią, kilka tygodni po obchodach 64. rocznicy obławy. Doroczne obchody kolejnych rocznic odbywają się tradycyjnie w trzecią niedzielę lipca. Ponieważ młodzież przeważnie wyjeżdża na wakacje, rajd z 2009 roku ma swoją kontynuację w przedsięwzięciach organizowanych przez środowiska lokalne (przede wszystkim Klub Historyczny im. AK w Augustowie, działający przy II Liceum Ogólnokształcącym w Augustowie oraz Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej) w formie rajdów motocyklowych (opisane w dodatku o obławie).

...multimedia dla wszystkich

Niezbędnym warunkiem powodzenia rajdu edukacyjnego jest fizyczna obecność uczestników w miejscu związanym z wybraną tematyką. Cóż zatem ma począć nauczyciel spoza województwa podlaskiego, który chciałby przybliżyć swoim



Fot. ZSO nr 9 w Białymstoku

► O obławie w szkole: zajęcia w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 9 w Białymstoku

uczniom temat Obławy Augustowskiej? Poza oczywistym zaproszeniem do odwiedzenia miejsc związanych z obławą może skorzystać z wielu materiałów edukacyjnych dotyczących wydarzeń z lipca 1945 roku. Większość z nich jest dostępna na portalu www.oblawaaugustowska.pl, który został przygotowany przez białostocki oddział IPN na 69. rocznicę obławy. Można tam znaleźć dużą dawkę informacji o okolicznościach towarzyszących obławie, listę osób zaginionych, fotokopie dokumentów aparatu bezpieczeństwa i podziemia niepodległościowego, a także materiały multimedialne (m.in. relacje świadków). Wszystko to może pomóc nauczycielom, którzy chcą w atrakcyjny sposób poprowadzić zajęcia. Informacje o miejscach związanych z Obławą Augustowską można też znaleźć na portalu edukacyjnym dotyczącym projektu „Śladami zbrodni” (www.slady.ipn.gov.pl).

Przeglądając materiały, warto zwrócić szczególną uwagę na postać Zyty Kucharzewskiej, dwudziestoletniej dziewczyny aresztowanej przez Sowietów w 1945 roku. O jej losach opowiada bratanek, Grzegorz Kucharzewski, w poruszającej balladzie *To był lipiec* (dostępna na wspomnianym wyżej portalu IPN). Życie Kucharzewskiej zostało również poświęcone reportaży Agnieszki Czarkowskiej „Moja ciotka Zyta”, nagrodzony w konkursie IPN Audycja Historyczna Roku 2014 (dostępny na portalu www.pamiec.pl).

Różnorodność proponowanych materiałów może się wydawać trudna do pogodzenia z zagęszczeniem tematów dotyczących historii najnowszej w aktualnie obowiązującej podstawie programowej w szkołach ponadgimnazjalnych. Warto jednak wybrać takie, które pozwolą omówić Obławę Augustowską w ramach tematyki podziemia niepodległościowego w Polsce po roku 1944. Obok działalności Wojskowych Sądów Rejonowych, wyroków więzienia czy kary śmierci, na które byli skazywani członkowie konspiracji antykomunistycznej, los kilkuset Polaków zamordowanych przez Sowietów winien się znaleźć bezdyskusyjnie w nauczaniu historii jako wydarzenie bez precedensu w powojennych dziejach Polski. 🇵🇱

Krzysztof Jodczyk – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

Zanim było Bletchley Park

Katarzyna Dzierzbicka

Według historyków, złamanie kodu Enigmy – niemieckiej maszyny szyfrującej – przyczyniło się do ocalenia ok. 30 mln ludzi. Pierwsi dokonali tego Polacy – a nie, jak powszechnie powtarza się na świecie, Brytyjczycy czy Amerykanie.

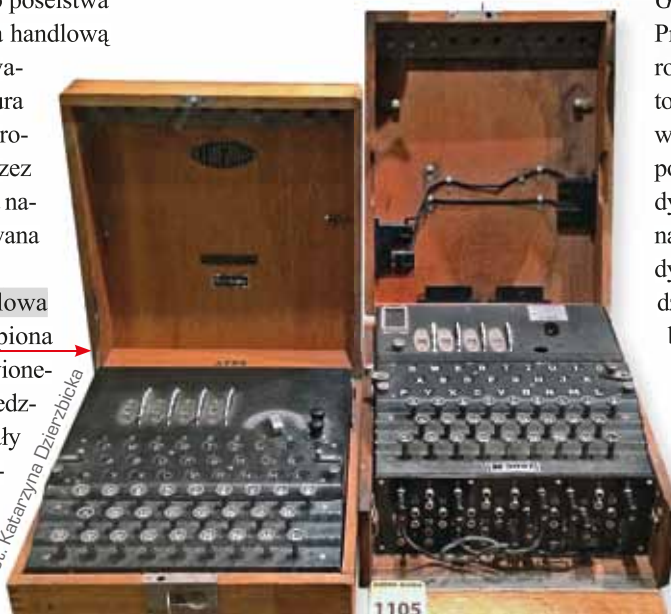
Tę wiedzę, wraz z kopiami maszyny, Polacy przekazali aliantom pięć tygodni przed wybuchem II wojny światowej. Wcześniej przez niemal siedem lat polski wywiad, nie ujawniając źródła informacji, przekazywał wywiadowi brytyjskiemu i francuskiemu odkodowane niemieckie meldunki. Brytyjczykom odczytanie depesz zaszyfrowanych przez Enigmę udało się dopiero w styczniu 1940 roku.

Handlowa wersja Enigmy trafia do Polski

W styczniu 1929 w ręce polskiego wywiadu trafiła przejęta przez celników na lotnisku Okęcie tajemnicza przesyłka, adresowana do niemieckiego poselstwa w Warszawie. Zawierała ona handlową wersję Enigmy, skonstruowanej w 1923 roku przez Arthura Scherbiusa. Maszyna została rozebrana i sfotografowana przez inż. Ludomira Danilewicza, a następnie pieczołowicie spakowana i dostarczona do adresata.

Trzy lata później handlowa wersja Enigmy została kupiona w Niemczech przez podstawione go przez polski wywiad szwedzkiego przedsiębiorcę. Materiały i zdjęcia, tym razem wojskowej maszyny szyfrującej, zostały dostarczone Polakom przez Francuzów przed grudniem 1932 roku.

Fot. Katarzyna Dzierzbicka



„Niestety [...] maszyna wojskowa, choć miała niektóre cechy wspólne z maszyną handlową, różniła się jednak od niej zasadniczo. Dowiedziano się o tym z fotokopii tajnej niemieckiej instrukcji służbowej, która [...] znalazła się w posiadaniu Biura Szyfrów” – wspominał matematyk i kryptolog Marian Rejewski. Francuzi zwerbowali Hansa-Thilo Schmidta „Asché”, urzędnika Centrum Szyfrów niemieckiej Reichswehry, który za pieniądze przekazywał im materiały dotyczące wojskowej wersji Enigmy. Dokumenty te trafiały do Polski za pośrednictwem szefa Służby Informacyjnej francuskiego Sztabu Generalnego – kapitana Gustave’a Bertranda.

Najpierw był Poznań

Pierwsze zakodowane niemieckie depesze przesyłane drogą radiową zostały przechwycone przez Polaków w 1926 roku. Ich rozszyfrowanie przez lingwistów Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Generalnego (od 1928 roku: Sztabu Głównego) Wojska Polskiego nie powiodło się. Trzy lata później na zlecenie Biura Szyfrów w Instytucie Matematycznym Uniwersytetu Poznańskiego odbył się kurs kryptologii dla najlepszych studentów III i IV roku

matematyki, władających biegle językiem niemieckim. Kurs był prowadzony przez wykładowców z Warszawy: mjr. Franciszka Pokornego, por. Maksymiliana Ciężkiego i inż. Antoniego Pallutha. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu, wieczorami. Ich uczestnicy byli zobligowani do zachowania w tajemnicy uczestnictwa w dodatkowych wykładach. Podczas kursu szczególnie wyróżniło się trzech matematyków: wspomniany Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygałski. Rok później w Poznaniu utworzono filię Biura Szyfrów, w której zostali zatrudnieni. „Po zakończeniu kursu stworzono w Poznaniu małą ekspozyturę Biura Szyfrów, mieszczącą się w suterynach [zapis oryginalny] Komendy Miasta, znajdującej się wówczas przy ul. św. Marcina w bezpośrednim sąsiedztwie Zamku. A ponieważ w Zamku mieścił się Instytut Matematyczny, przeto lokalizacja ekspozytury była niezwykle dogodna dla tych kilku osób, które zaangażowano do pracy, to jest dla mych kolegów kończących studia i dla mnie, będącego wówczas asystentem Instytutu” – pisał Marian Rejewski w notatkach *Wspomnienia z mej pracy w Biurze Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego w latach 1930–1945*.

Praca matematyków polegała na rozpoznawaniu niemieckich metod szyfrowania. „W pracy naszej w ekspozyturze nie byliśmy krępowani żadnymi godzinami, każdy mógł pracować, kiedy mu było najdogodniej, z tym tylko, że każdy winien był przepracować 12 godzin tygodniowo. [...] Treść depesz była, o ile pamiętam, nieciekawa, w przeważającej mierze były to depesze ćwiczebne” – wspominał Rejewski.

Latem 1932 roku poznańska filia została rozwiązana, a jej pracownikom zaproponowano przeniesienie do Warszawy.



Za czarną kotarą

Sekcja BS-4 Biura Szyfrów Oddziału II SG WP mieściła się w prawym skrzydle nieistniejącego dziś Pałacu Saskiego na pl. Piłsudskiego, gdzie od 1 września 1932 roku byli zatrudnieni poznańscy matematycy. „Wkrótce [...] odizolowano moich kolegów i mnie tak dokładnie od reszty pracowników, że nawet woźny wnoszący herbatę na śniadanie nie miał prawa wstępu do naszego pokoju, u którego drzwi rozwieszono na domiar czarną kotarę, wskutek czego pokój nasz żartobliwie przezwano *black chamber*” – pisał Rejewski. Matematycy pracowali głównie nad rozwiązywaniem czteroliterowego kodu używanego przez niemiecką marynarkę wojenną.

W ostatnich dniach 1932 roku Rejewskiemu udało się odczytać pierwsze niemieckie szyfrogramy. Początkowo nad złamaniem Enigmy pracował po godzinach, w tajemnicy przed kolegami.

W lutym 1933 roku Henryk Zygalski wynalazł tzw. płachty Zygalskiego – perforowane arkusze, pomagające w ustaleniu kolejności wirników kodujących Enigmy. Metoda płacht polegała na nakładaniu

na siebie arkuszy papieru, z których każdy miał około tysiąca dziurek. Rejewski wspominał: „Rozwiązanie otrzymywano, gdy w końcu poprzez dziesięć czy jedenaście płacht tylko jedna dziurka przeświecała. Płacht takich potrzebowaliśmy sześć kompletów po 26 sztuk każdy. Fabrykacja płacht odbywała się w niesłychanie prymitywny sposób. Braliśmy arkusze



papieru milimetrowego wielkości około 60 cm x 60 cm i z braku odpowiedniego perforatora wycinaliśmy w nich mozolnie przy pomocy ostrzy do golenia kwadratowe dziurki wielkości 5 mm x 5 mm”. Zygalski wynalazł również metodę rusztu, czyli odnajdywania połączeń wtyczkowych centralki. Marian Rejewski w 1934 roku opracował cyklometr, służący do ustalania kolejności bębneków szyfrujących Enigmy, a następnie metodę kart charakterystyk, dzięki której było możliwe szybkie odtworzenie dziennego klucza maszyny. Jerzy Różycki wynalazł tzw. metodę zegara, która pozwalała na wybór i ustawienie wirnika niemieckiej maszyny szyfrującej. Dzięki temu wiadano, który w danym dniu z trzech wirników jako pierwszy odbiera impuls z klawiatury. Różycki zbudował także działającą kopię wojskowej wersji Enig-

my, a następnie cyklometr oraz „bombę kryptologiczną”, zaprojektowane przez Rejewskiego. „Bomba” znacznie przyspieszyła i zautomatyzowała proces odzwierciedlenia kluczy dziennych.

Ośrodek deszyfracji w Pałacu Saskim przestał działać jesienią 1937 roku. Decyzja o jego likwidacji i przeniesieniu do Pyr w Lesie Kabackim była spowodowana koniecznością utrzymania pracy kryptologów w ścisłej tajemnicy, a to wkrótce mogło się okazać niemożliwe w Warszawie.

18 września 2002 roku na budynku Dowództwa Garnizonu Warszawa przy pl. Piłsudskiego odsłonięto dwujęzyczną angielsko-polską tablicę poświęconą Rejewskiemu, Różyckiemu i Zygalskiemu. Jej dwie kopie znajdują się w Wielkiej Brytanii: jedna została umieszczona w budynku ambasady polskiej w Londynie, a druga na terenie Rządowej Szkoły Kodów i Szyfrów w Bletchley Park.



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

„Polskie Enigmy”

W 1927 roku Edward Fokczyński wraz z inżynierem Antonim Palluthem oraz braćmi Ludomirem i Leonardem Danilowiczami założyli przy ul. Nowy Świat 43 w Warszawie mały warsztat, który już po roku przekształcił się w Wytwornię Radiotechniczną „AVA”. Jej zakłady znajdowały się przy ul. Stępińskiej 25. „AVA” produkowała sprzęt radiowy dla polskiej armii i stała się zapleczem Biura Szyfrów. Zostali w niej zatrudnieni najlepsi konstruktorzy i radiotelegrafści.

W lutym 1933 roku specjaliści z „AVY” otrzymali zlecenie zbudowania piętnastu kopii wojskowej wersji niemieckiej Enig-



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

my oraz pierwszej „bomby”, czyli maszyny deszyfrującej jej kody. Wiosną tego samego roku pierwsze „polskie Enigmy” trafiły do ośrodka dekryptażu. „Tak wielka liczba maszyn była potrzebna zarówno ze względu na ich stosunkowo krótki żywot spowodowany intensywną eksploatacją, jak i z uwagi na przewidziany w wypadku wojny znaczny wzrost liczby pracowników odczytujących depesze” – czytamy we wspomnieniach Rejewskiego.

W listopadzie 1938 roku pracownicy zakładów „AVA” przekazali wojsku gotowe podzespoły „bomb kryptologicznych”, które następnie zostały zamontowane w ośrodku w Pyrach. „[...] dążyliśmy do maksymalnego, jak na owe czasy, zmechanizowania wykonywanych przez nas czynności. W tym właśnie celu zaprojektowaliśmy, a firma AVA zbudowała, maszynę stanowiącą agregat sześciu maszyn »Enigma«. [...] Cena owych sześciu bomb wynosiła podobno około 100 000 złotych przedwojennych (wobec wybuchu wojny niezapłaconych)” – pisał Rejewski.

W pierwszych dniach września 1939 roku Wytwórnia Radiotechniczna „AVA” została zlikwidowana. Zniszczono znajdujący się w niej sprzęt i dokumentację. Dziś fragment dawnego budynku fabryki jest częścią Szpitala Czerniakowskiego.

Kryptonim „Wicher”

Przeniesione z Pałacu Saskiego w Warszawie Biuro Szyfrów rozpoczęło pracę w Pyrach jesienią 1937 roku. Znajdujący się w Lesie Kabackim ośrodek dekryptażu składał się z dwóch budynków otoczonych wysokim murem. Jeden z nich był przeznaczony do celów mieszkalnych, a w drugim została zainstalowana radiostacja. W Biurze Szyfrów zatrudniono 51 osób (dla porównania w Bletchley Park w Wielkiej Brytanii pracowało ich ponad 10 tys.). Zespołowi kryptologów nadano kryptonim „Wicher”. 27 maja 1938 roku miejsce to odwiedził mjr Bertrand. Polacy nie wyja-

wili mu tego, że odczytano depesze zaszyfrowane przez Enigmę.

W połowie października 1938 roku z komponentów dostarczonych przez Wytwórnię Radiotechniczną „AVA” zbudowano w Pyrach sześć „bomb kryptologicznych”, stanowiących agregat sześciu Enigm. Dzięki nim matematycy byli w stanie odczytać kilka tysięcy niemieckich meldunków. W Biurze Szyfrów „bombę” nazywano również „magłem” lub „pralką” – z powodu charakterystycznego dźwięku, które wytwarzała w czasie pracy. „Bębniaki szyfrujące sześciu maszyn, z których agregat się składał, obracały się samoczynnie



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

pod napędem elektrycznym, przybierając w ciągu około dwóch godzin kolejno wszystkie możliwe 17 576 pozycji bębenków. Gdy bębniaki znalazły się w pozycji mogącej stanowić szukane rozwiązanie, zapalało się światelko, a jednocześnie motor automatycznie się zatrzymywał” – wspominał Rejewski. „Bomby kryptologiczne” były skuteczne do 10 maja 1940 roku, kiedy Niemcy zmienili protokół przesyłania klucza wiadomości.

„Tylko im chwała”

W grudniu 1938 roku Niemcy po raz kolejny zmodyfikowali Enigmę, dokładając do niej trzy bębniaki szyfrujące. Rozpraco-

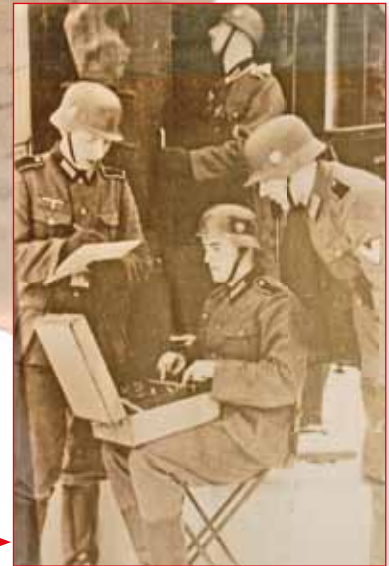
wanie udoskonalonej maszyny przekraczało możliwości polskiego Biura Szyfrów. Brakowało pracowników, „bomb”, płacht Zygałskiego, ale przede wszystkim środków finansowych. W połowie lipca 1939 roku gen. Waław Stachiewicz, szef SG WP, podjął decyzję o przekazaniu tajemnicy Enigmy aliantom.

W dniach 24–27 lipca w Pyrach odbyło się zebranie przedstawicieli służb kryptologicznych Polski, Francji i Wielkiej Brytanii. Francję reprezentowali mjr Gustave Bertrand i kpt. Henri Braquenié. Z Wielkiej Brytanii przybyli: kmr Alastair Denniston, główny kryptolog Alfred D. Knox i szef wywiadu, płk Stewart Menzies, który przedstawiał się jako profesor Sandwich, matematyk z Oxfordu.

Pierwsze spotkanie odbyło się 24 lipca w warszawskim hotelu „Bristol”, gdzie nocowała delegacja brytyjska. Francuzi zatrzymali się w hotelu „Polonia”. Ze strony polskiej w rozmowach uczestniczyli: szef Wydziału Wywiadowczego Sztabu Głównego WP – płk Stefan Mayer, ppłk Gwido Langer, mjr Maksymilian Ciężki oraz Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygałski.

Następnego dnia w Pyrach „strona polska udostępniła wszystkie swe metody i urządzenia do dekryptażu Enigmy przyszłym sojusznikom wojennym, przekazując im także po jednym egzemplarzu zrekonstruowanej w Polsce [...] niemieckiej maszyny cyfrowej” – pisał Rejewski w 1979 roku w artykule *Matematyczne podstawy rozwiązania niemieckiego szyfru maszynowego „Enigma”*. „Spotkanie w lesie Pyrskim trwało wszystkiego kilka godzin. Wystarczyło ono jednak całkowicie, by komandor Knox, kryptolog z prawdziwego zdarzenia, nie tylko wszystko w lot zrozumiał, lecz i doskonale zapamiętał i nie robiąc sobie żadnych notatek, natychmiast po powrocie do Londynu, kazał zbudować takie same czy nawet ulepszone »superbomby« i zorganizował pracę dla fabrykacji w sposób zmechanizowany naszych płacht. [...] Na pomysł

Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

placht Anglicy sami by nie wpadli. Komandor Knox po powrocie do Londynu przesłał każdemu z naszej trójki chustkę jedwabną pięknie malowaną jako pamiątkę po spotkaniu w Pyrach” – zapisał Rejewski w swoich notatkach.

W 1973 roku gen. Bertrand, wówczas już emerytowany, opublikował książkę *Enigma ou la plus grande énigme de la guerre 1939–1945*, w której bardzo wysoko ocenił pracę polskich kryptologów. „To tylko im należy się cała zasługa i chwała za doprowadzenie pod względem specjalistycznym do końca tej niewiarygodnej historii. Nastąpiło to dzięki ich wiedzy i uporczywości, niemających sobie równych w świecie! Pokonali trudności, które Niemcy uważali za »niemożliwe do przezwyciężenia«” – pisał.

Dziś na terenie dawnego ośrodka dekryptażu w Pyrach stacjonuje Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwo Komponentu Powietrznego. 1 października 1999 roku przed bramą jednostki po-



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

stawiono kamień z pamiątkową tablicą, ufundowaną przez warszawiaków, kombatanatów i żołnierzy Centralnego Stanowiska Dowodzenia. 25 lipca 2009 roku, w 70. rocznicę przekazania aliantom kodów Enigmy, na gruntownie odrestaurowanym budynku, w którym pracowali polscy matematycy, została odsłonięta tablica pamiątkowa. W oknach ośrodka pozostawiono oryginalne kraty ze śladami po kulach.

12 czerwca 2015 roku, z okazji II Święta Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego, została otwarta Sala Tradycji. Wstęgę przecięli dowódca COP-DKP gen. bryg. pil. dr inż. Włodzimierz Usarek, inspektor Sił Powietrznych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych gen. dyw. pil. Jan Śliwka oraz biskup polowy Wojska Polskiego Józef Guzdek. Podczas uroczystości została zaprezentowana oryginalna niemiecka Enigma, udostępniona przez Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. W zbiorach muzeum znajdują się jeszcze dwa egzemplarze tej maszyny – wersja handlowa i wersja niemieckiej marynarki wojennej (Kriegsmarine).

Odyseja wojenna

Od 6 do 9 września 1939 roku pracownicy Biura Szyfrów zostali ewakuowani z tajnego ośrodka w Pyrach. „We wrześniu 1939 r. niemal całą aparaturę i większość akt Biura Szyfrów przed ewakuacją i w czasie jej trwania zniszczono” – pisał Rejewski. Część sprzętu i akt została zapakowana na dworcu Warszawa Wileńska do pociągu wojskowego, tzw. eszelonu „F”, i przewieziona na wschód. W miarę zbliżania się do granicy zniszczono kolejną część zabranego z Warszawy sprzętu i dokumentów. Pracownicy Biura Szyfrów trafili do Rumunii, a następnie do francuskiego ośrodka dekryp- ➤



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

Fot. Katarzyna Dzierzbicka





Fot. Katarzyna Dzierzbicka

tażu „Bruno” na zamku de Bois Vignolles w Gretz-Armainvilliers koło Paryża.

Po niemieckim ataku na Francję polskich matematyków przeniesiono na krótko do Paryża. Pracowali przy ul. 2 bis Tourville, gdzie mieścił się francuski II Oddział. W czerwcu 1940 roku dotarli do Oranu, a następnie Algieru, a stamtąd we wrześniu z powrotem na południe Francji do ośrodka „Cadix” w Château des Fouzes, koło Uzès. Na murze zamku znajduje się pamiątkowa tablica przypominająca o dokonaniach polskich kryptologów. Matematycy otrzymali kryptonim „Grupa 300”. „Z powodów, które nie są mi znane, Francuzi postanowili utworzyć w Algierze ekspozyturę naszej komórki i w tym celu kilka osób [z] naszej grupy pojechało tam statkiem na kilka miesięcy” – wspominał Rejewski. Wśród wysłanych do Algieru Polaków był Jerzy Różycki. 9 stycznia 1942 roku zatonął statek pasażerski „Lamoricière”, którym wracał do Francji. Według Mariana Rejewskiego, statek z 222 osobami na pokładzie rozbił się o rafę. Wraz z Różyckim w okolicach Balearów zginęli m.in.: francuski kpt. François Lane, kpt. Jan Graliński – szef referatu nr 3 Biura Szyfrów – i kryptolog Piotr Smoleński.

6 listopada 1942 roku, po wkroczeniu Niemców do południowej Francji, ośrodek „Cadix” został rozwiązany. Marian Rejewski i Henryk Zygalski znaleźli się w Hiszpanii, gdzie 30 stycznia 1943 roku zostali aresztowani w miejscowości Puigcerdà. Po pobycie w więzieniach w Belver, Seo de Urgel i Leridzie 4 maja zostali uwolnieni dzięki staraniom pra-

cowników Polskiego Czerwonego Krzyża. Następnie przez Portugalię przedostali się na Gibraltarc, a stamtąd do Stanmore-Boxmoor pod Londynem, gdzie pracowali w Pułku Radia Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych.

Późne zaszczyty

Henryk Zygalski zmarł 30 sierpnia 1978 roku w Liss w Wielkiej Brytanii. Został pochowany w Londynie. Pamiątki po wybitnym matematyku przechowuje Wielkopolskie Muzeum Wojskowe, a na przedwojennym domu kryptologa przy ul. Matejki 32/33 w 2004 roku odsłonięto tablicę pamiątkową.

Marian Rejewski powrócił do Polski we wrześniu 1946 roku. Do roku 1967



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

nie zdradzał swojego udziału w złamaniu kodu Enigmy. Zmarł 13 lutego 1980 roku w Warszawie. Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, w kwaterze B-39. Na kamienicy przy ul. Gdańskiej 2, gdzie mieszkał wybitny kryptolog, odsłonięto tablicę pamiątkową.

O Rejewskim pamięta również rodzina Bydgoszcz. Jego imieniem nazwano jedną z ulic, matematyk został patronem szkoły, Auli Wydziału Matematyki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego i Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Na dawnym domu matematyka przy ul. Wileńskiej 6 i na budynku Muzeum Wojsk Lądowych zostały umieszczone tablice pamiątkowe. W stulecie urodzin Mariana Rejewskiego u zbiegu ulic Gdańskiej i Śniadeckich w Bydgoszczy odsłonięto jego pomnik.

Za złamanie kodu Enigmy Rejewski został w 1938 roku odznaczony przez

prezydenta Ignacego Mościckiego Złotym Krzyżem Zasługi. W 1945 roku odebrał Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, wojenne odznaczenie państwowe, ustanowione na mocy dekretu Prezydenta RP na uchodźstwie. Dwa lata później otrzymał od władz brytyjskich Medal Wojenny 1939–1945. 12 grudnia 1978 roku Rejewski odebrał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. 14 lutego 2000 roku Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski zostali pośmiertnie odznaczeni Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.

W 2007 roku, w 75. rocznicę złamania przez Polaków kodu Enigmy, Wydział Matematyki i Informatyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu ustanowił 25 stycznia Dniem Kryptologii. W tym samym roku przed Zamkiem Cesarskim w Poznaniu odsłonięto pomnik kryptologów. Tablica poświęcona matematykom znajduje się w holu Collegium Minus UAM.

5 sierpnia 2014 roku przed budynkiem Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk przy ul. Śniadeckich 8 w Warszawie odsłonięto „Kamień Miłowy” w rozwoju inżynierii elektrycznej i obliczeniowej. Wyróżnienie to zostało przyznane polskim kryptologom przez światowy Instytut Inżynierów Elektryków i Elektroników (IEEE). W uroczystości odsłonięcia „Kamienia Miłowego” uczestniczyła m.in. córka Mariana Rejewskiego, Janina Sylwestrzak.

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, licencjonowana przewodniczka po Warszawie



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

Sojusznicy w kłamstwie

„Wyrętna polityka”. Tak określił postępowanie swojego rządu brytyjski polityk William Waldegrave, gdy władze w Londynie wreszcie – bo dopiero po przyznaniu się Rosjan w 1990 i 1992 roku do popełnienia Zbrodni Katyńskiej – zajęły jednoznaczne stanowisko w tej sprawie. Wcześniej, przez pół wieku, postępowaly zupełnie inaczej. Mimo że dysponowały wieloma dowodami otrzymanymi od rządu polskiego na uchodźstwie i uzyskanymi z własnych źródeł, nie potrafiły, a raczej nie chciały odpowiedzieć na pytanie, czy tego aktu ludobójstwa dokonali Rosjanie w roku 1940, czy Niemcy – w roku następnym. Podobnie przez długi czas postępowali Amerykanie.

To była wobec nas, Polaków, zdrada zachodnich sojuszników – twierdzi Eugenia Maresch, w 2009 roku laureatka przyznawanej przez IPN nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”, w książce *Katyń 1940* (wcześniej wydanej w Wielkiej Brytanii pt. *Katyń 1940. The Documentary Evidence of the West's Betrayal*). Maresch – Polka od lat mieszkająca na Wyspach – powołuje się na dokumenty z archiwów brytyjskich. Właśnie stamtąd wydobyla dowody świadczące o kilkudziesięcioletniej, cynicznej grze Londynu. A zaczęła się ona już w 1941 roku, kiedy Polacy wciąż jeszcze poszukiwali na terenie Związku Radzieckiego swoich oficerów uznanych za zaginionych. Generał Noël Mason-MacFarlane, szef Brytyjskiej Misji Wojskowej w Moskwie, 7 sierpnia 1941 roku w depeszy do szefa wywiadu w Londynie donosił o bezskutecznych staraniach polskich sojuszników i jednoznacznie sugerował, jakie stanowisko powinny zająć władze brytyjskie: „Musimy trzymać się od tej afery najdalej, jak tylko można, a kiedy przyjdzie już nam w tej sprawie interweniować, musimy pamiętać, że to Rosja, a nie Polska może nam pomóc pobić Hitlera”.

Chociaż Brytyjczycy doskonale wiedzieli, że to Rosjanie są odpowiedzialni za Zbrodnię Katyńską, to jednak najpierw nie chcieli drażnić potężnego, chociaż niepewnego sojusznika ponoszącego największe straty w walce z Niemcami, a później po prostu nie potrafili przyznać się do swej hipokryzji. Co nie znaczy, że wśród oficerów i polityków brytyjskich nie było ludzi prawych, którzy z ogromnym poświęceniem starali się przekonać przełożonych o winie Sowietów i wdzięczności należnej Polakom. Byli jednak – jak pokazują dokumenty – w mniejszości.

Książka mogła powstać – co przyznaje sama autorka – tylko dlatego, że w 1973 roku zostały częściowo odtajnione nieznane wcześniej dokumenty brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych (Foreign Office), zwłaszcza związane z odkryciem przez Niemców grobów katyńskich w 1943 roku i „rewelacjami” szefa sowieckiej komisji katyńskiej Nikołaja Burdenki (z 1944 roku), oraz materiały Brytyjskiego

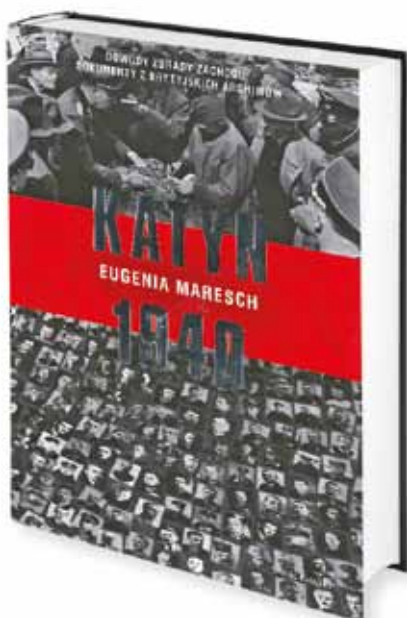
Urzędu ds. Zbrodni Wojennych (British War Crimes Executive), dotyczące prób obciążenia Niemców przez Sowietów winą za ludobójstwo w Katyniu podczas procesu norymberskiego (z lat 1945–1946). Co istotne, w Norymberdze Zbrodnię Katyńską Sowietci określili jako faszystowskie ludobójstwo, dziś natomiast – skoro się przyznali, że to oni są za nią odpowiedzialni – absolutnie nie zgadzają się na taką kwalifikację prawną. W dodatku w Rosji znów pojawiają się głosy, nawet wśród znanych polityków, że winni są faszyci niemieccy, a nie Stalin i funkcjonariusze NKWD.

Ponieważ „raport Burdenki” stał się fundamentalnym elementem kłamstwa katyńskiego, niezmiernie ciekawe są wcześniej nieujawnione brytyjskie analizy tego raportu, które pozwoliły m.in. Anthony’emu Edenowi, ówczesnemu szefowi Foreign Office, na umycie rąk w sprawie Zbrodni Katyńskiej i zaaprobowanie – chyba z ulgą – twierdzenia, że „prawda może nie wyjść na jaw nigdy” (26 marca 1944 roku). Miała więc obowiązywać zмова całkowitego milczenia i takie też było stanowisko władz brytyjskich do czasu przyznania się przez Moskwę do tej – jak to określił Michaił Gorbaczow – „jednej z ciężkich zbrodni stalinizmu”. Kiedy więc we wrześniu 1951 roku powstała Komisja Specjalna Kongresu Stanów Zjednoczonych do Przeprowadzenia Śledztwa w sprawie Faktów, Dowodów i Okoliczności Masykry w Lesie Katyńskim pod przewodnictwem Raya J. Maddena, Eden – jak pisze autorka, która dokładnie omawia również to wydarzenie – „wściekł się”, a gdy amerykańska komisja jednoznacznie uznała winę Sowietów i zarekomendowała swojemu rządowi przedstawienie sprawy na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, brytyjski minister spraw zagranicznych zdecydowanie się temu sprzeciwił.

Podobnie postępowaly władze w Londynie dwadzieścia lat później, nie zgadzając się na przedstawienie „sprawy katyńskiej w ONZ”, bo przecież „Brytyjczycy nie mieli nic wspólnego z żadnym z trzech śledztw przeprowadzonych dotąd, kolejno, przez Niemców, Rosjan i Amerykanów”. Jak więc widzimy, kolejnym rządom nad Tamizą bardzo odpowiadała postawa Piłata. Taka jest też myśl przewodnia książki Eugeniei Maresch, która ponadto wiele uwagi poświęciła trudnościom stwarzanym przez władze brytyjskie, gdy w 1976 roku miał stanąć w Londynie Pomnik Katyński, a na nim miał znaleźć się napis: KATYŃ 1940.

Słusznie zauważa autorka, że jej opracowanie powinno stać się lekturą obowiązkową dla polityków, dziennikarzy i – rzecz jasna – historyków, nauczycieli historii i osób interesujących się historią najnowszą. Tym bardziej że nie jest ono bynajmniej zbiorem wybranych dokumentów, lecz fascynującą opowieścią, w której bardzo dużo miejsca Eugenia Maresch poświęca na omówienie relacji z miejsca zbrodni. 📖

Andrzej Sujka



Eugenia Maresch, *Katyń 1940*, Świat Książki, Warszawa 2014, 400 s. + 32 s. wkł. zdj.

Marszałek bez wąsów

Podobno kiedy na początku lat pięćdziesiątych legendarny aktor, sędziwy już Ludwik Solski, spotkał się z ówczesnym polskim ministrem i wicepremierem, Konstantym Rokossowskim, miał mu powiedzieć (mnyłąc go z Józefem Piłsudskim): „ale z wąsami było lepiej panu marszałkowi”. O „marszałku dwóch narodów” (w roku 1976 Wydawnictwo MON opublikowało pod takim tytułem elegancki album poświęcony Rokossowskiemu) krążyło zresztą w PRL sporo dowcipów. Poza jednym („Dlaczego Stalin wysłał Rokossowskiego do Polski? Bo łatwiej jednego bolszewika przebrać w polski mundur niż całe wojsko polskie w mundury Armii Czerwonej”) nie znajdziemy ich jednak w najnowszej książce Borisa Sokołowa *Rokossowski*. Autor początkowo zajmował się głównie historią literatury rosyjskiej. Kiedy jednak w latach dziewięćdziesiątych można już było bez sztafażu polityczno-ideologicznego pisać o najnowszej historii Rosji i ZSRR, zasłynął opracowaniem sylwetek takich postaci, jak Władysław Molotow, Ławrientij Beria czy Leonid Breżniew.

Dlatego ze zdwojonym zainteresowaniem zabrałem się do czytania solidnego opracowania Sokołowa, poświęconego jednemu z najciekawszych dowódców Armii Czerwonej, owianemu legendą obrońcy Stalingradu oraz uwikłanemu w zaplątaną historię dwóch narodów i trzech armii – carskiej, sowieckiej i polskiej. Postać nietuzinkowa, wybitny dowódca i strateg, uwielbiany przez żołnierzy, równocześnie ofiara stalinowskiego terroru, która nigdy nie powiedziała o Stalinie krytycznego słowa. Dla Rosjan jest jednym z wielkich bohaterów II wojny światowej. To człowiek legenda, którego można porównać z największymi wodzami rosyjskimi, takimi jak Kutuzow czy Suworow. W jakim stopniu ten utrwalony portret znalazł potwierdzenie w książce Sokołowa?

Autor, na szczęście, nie opisuje swojego bohatera na klęczkach, dość skrupulatnie wytykając mu fałszerstwa autobiograficzne. Opublikowane bowiem w ZSRR, już po śmierci marszałka w roku 1968, jego wojenne wspomnienia nie tylko zawierały ingerencje cenzury państwowej, lecz także raziły licznymi niedopowiedzeniami, półprawdami czy autocenzurą. Oczywiście, dużą część takich interwencji da się – z perspektywy czasu – jakoś wytłumaczyć (Sokołow dotarł do pełnej wersji pamiętników), ale trudno uwierzyć, aby ze swoją wiedzą wojskową, historyczną i polityczną, już po śmierci Stalina, Rokossowski pisał w swoich pamiętnikach zupełnie serio, że w maju 1945 roku na terenach, z których Sowietci wyparli Niemców, „wszyscy zrozumieli, że żołnierza sowieckiego nie ma co się bać. On nie skrzywdzi”. Niemożliwe, żeby dowódca frontu nie miał wówczas jakiegokolwiek wiedzy o gwałtach, rozbojach i morderstwach, których się dopuszczali na podbitych terenach czerwonooarmiści. Niemożliwe też, że nic nie wiedział o mordzie na polskich oficerach w Katyniu.

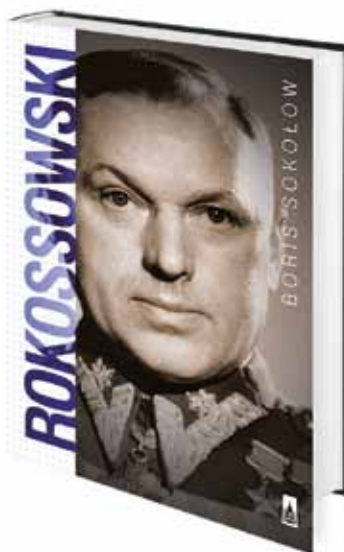
Dla Polaków Rokossowski jest z kolei symbolem dominacji sowieckiej i kaprysu Stalina, który postanowił wysłać do Polski swojego zaufanego człowieka, najpierw jako marszałka ZSRR i dowódcę stacjonujących w naszym

kraju wojsk Armii Czerwonej, aby kilka lat później rozkazać mu założyć mundur polskiego wojska i zostać jego dowódcą. To jedyny przypadek pełnienia tak wysokich funkcji w dwóch państwach jednocześnie. Rokossowski został polskim ministrem, wicepremierem oraz członkiem Biura Politycznego KC PZPR, ani na moment nie przestając być jednocześnie członkiem najwyższych władz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. I na pewno nie wynikało to tylko z tego, że – jak mówił gen. Wojciech Jaruzelski – „miał on dwie dusze: polską i rosyjską”. Sam Rokossowski zdawał sobie chyba sprawę z dwuznaczności swojej sytuacji, skoro żalił się jednemu z przyjaciół, że w Polsce nie czuje się dobrze, bo „trudno powiedzieć, żeby cały korpus oficerski polskich sił zbrojnych przyjął mnie ciepło”. Wspominał też (nieoficjalnie oczywiście), że nawet podczas wizytowania polskich wojsk zdarzały się niechętnie mu okrzyki: „Wracaj do Rosji!”, „Precz z czerwonym marszałkiem!”.

Dla polskich czytelników najciekawsze są fragmenty dotyczące polskich korzeni i rodzinnego dziedzictwa oraz lat 1945–1956, związanych z pobytem Rokossowskiego w naszym kraju. Niestety, te części obszernej biografii Rokossowskiego zostały potraktowane dość zdawkowo, bo książka jest kierowana głównie do odbiorców rosyjskich. Nie znajdziemy też jakichś nieznanych do tej pory faktów czy sensacji. Sokołow wypełnia oczywiście wiele luk w biografii marszałka, pisząc np. o wojennej kochance Rokossowskiego i nieślubnej córce, której dał swoje nazwisko. Czy też przytaczając rozmowę, w której Rokossowski informował o próbach zamachu na niego (m.in. w styczniu 1950 roku w Lublinie czy kwartał później w Poznaniu).

Większość obszernego opracowania zajmują monotonne opisy działań wojennych i militarnych sukcesów Konstantego Konstantynowicza (skądinąd ta translatorska maniera przywoływania otczestwa drażni w języku polskim). Nie jest to – przynajmniej w tej części – lektura lekka, łatwa i przyjemna, zwłaszcza że – dla młodszych czytelników – język to zupełnie obcy. Te wszystkie „transzeje”, „eszelonny”, „rubieże” i „przyczółki” nie zachęcają z pewnością do lektury. Wychwyciłem też sporo językowych potknięć, które w polskiej wersji brzmią wręcz karykaturalnie. Sformułowania „na poziomie korpuśnym”, „zielenizna”, „port daniżski” (chodziło o port gdański) czy znaczną część rusycyzmów można było na pewno poprawić na poziomie redakcyjnym, zabrakło jednak czujności. „Rewolucyjnej” – chciałoby się w tym miejscu dodać, bo pozostalibyśmy w poetyce samego Rokossowskiego, który na propozycję „nie do odrzucenia” Stalina: „trzeba, abyście stanęli na czele armii Polski Ludowej”, miał odpowiedzieć: „Jestem żołnierzem i komunistą. Jeśli taka jest wola kierownictwa naszej partii i rządu, jestem gotów pojechać”.

Książkę Sokołowa każdy historyk i pasjonat zajmujący się tym okresem powinien jednak przeczytać. Trudno nie zgodzić się z autorem, że paradoks Konstantego Rokossowskiego polegał na tym, że w Rosji uważa się go za Polaka, a w Polsce za Rosjanina. W obu krajach raczej mu to nie pomagało. ■



Boris Sokołow, *Rokossowski*,
Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2014,
512 s.

Nazywam się Makowski, Aleksander Makowski

Polski James Bond, na którego w rozmowie z dziennikarzami Pawłem Reszką i Michałem Majewskim kreuje się płk Aleksander Makowski, był oficerem tajnych służb komunistycznych, jednym z dwóch (zaledwie) funkcjonariuszy wywiadu negatywnie zweryfikowanych po 1989 roku. Sam przekonuje, że zawsze był pragmatykiem i profesjonalistą w służbie dla Polski.

Fach „odziedziczył” po ojcu – Czesławie, który też służył w komunistycznej bezpiece. Przed II wojną światową Makowski senior był robotnikiem z podwarszawskiej Falenicy. W 1944 roku z armii Berlinga trafił na kurs dla grupy polskiej w szkole NKWD w Kujbyszewie. W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego pracował od początku. W 1948 roku był już zastępcą szefa UB w Poznaniu, tam też poznał przyszłą żonę. Resortowi małżonkowie otrzymali pracę w centrali i zamieszkali przy prestiżowej wówczas al. Przyjaciół w Warszawie. W połowie lat pięćdziesiątych Makowski senior dochrapał się nawet stanowiska wicedyrektora Departamentu I (wywiadu cywilnego). Następnie był rezydentem wywiadu w Wielkiej Brytanii, USA i Egipcie. Na robotę w resorcie załapał się również dziadek Aleksandra. Był prostym chłopem, miał też już swoje lata, więc został tylko windziarzem w gmachu przy Koszykowej, siedzibie MBP.

Makowski opowiada, że jego ojciec, wysłany na placówkę do Londynu rzekomo już w 1954 roku, miał osobiście dopilnować powrotu do kraju dwóch emigracyjnych premierów: urzędującego, Hugona Hankego, i byłego, Stanisława Cata-Mackiewicza. „Pojechał i dopilnował” – stwierdza z dumą. Sugeruje też, że ojciec osobiście prowadził rozmowy operacyjne z Catem. W rzeczywistości nad Tamizą Czesław Makowski zjawił się dopiero jesienią 1956 roku. Hanke od roku przebywał już w kraju, a Mackiewicz przyjechał do Warszawy cztery miesiące wcześniej. Ściągnięcie do kraju emigracyjnych premierów Makowski nadzorował z Warszawy z pozycji wiceszefa wywiadu, którym został nie w 1950 roku, jak twierdzi jego syn, ale pięć lat później. Do Londynu dla zmylenia brytyjskiego kontrwywiadu wyjechał jako urzędnik MSZ. Na Wyspach przebywał oficjalnie jako I sekretarz ambasady PRL. Głównym zainteresowaniem tajnych służb komunistycznych była wówczas polska emigracja polityczna, a nie wywiad naukowo-techniczny czy gospodarczy. Zresztą wyjeżdżając na placówkę do Londynu, Makowski senior nie znał angielskiego, ale – jak przekonuje jego syn – „bez angielskiego można było sobie radzić”.

Kilka miesięcy później, gdy rodzice urządzili się już jako tako na nowym miejscu, dołączył do nich Aleksander, który miał wówczas sześć lat. Poszedł do brytyjskiej szkoły i niebawem mówił lepiej po angielsku niż po polsku.

W 1965 roku Makowski senior wyjechał do Waszyngtonu, a wraz z nim kilkunastoletni już syn. Był pilnym uczniem, choć nie stro-

nił od palenia trawki. Dorastając na Zachodzie, znając doskonale język, stał się niewątpliwie dobrym kandydatem na szpiega. Nie dziwi więc, że po powrocie do kraju, gdy skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, w 1972 roku wstąpił do szkoły wywiadu w Kiejkutach, która właśnie powstała. Ojciec zapytał go, czy chce się zapisać się do „klubu”. I tak się zaczęła jego kariera w bezpieczeństwie.

Makowski interesująco opowiada o nauce technik wywiadowczych, sposobach werbunku czy ucieczki przed „ogonem”. Chwali się, że należał do „najlepszych w te klocki”, jednak prymusem na roku był Gromosław Czempiński. Dowiadujemy się również o atmosferze w szkole czy relacjach między słuchaczami. Po przyjęciu do szkoły każdy z kursantów występował pod fałszywym nazwiskiem. Rozmowy o rodzicach, miastach rodzinnych czy wcześniejszych szkołach były zabronione. To chyba najciekawsze fragmenty książki.

Młody wywiadowca trafił do wydziału amerykańskiego, choć oficjalnie był zatrudniony w MSZ, a później w Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport”. Później wyjechał za ocean jako II sekretarz misji przy ONZ. Na placówce zajmował się rozpracowywaniem Polonii. Nie miał przy tym żadnych skrupułów moralnych. Swoich interlokutorów przekonuje, że w szeregach Polonii wywiad szukał głównie współpracowników FBI czy CIA.

Z USA wrócił w czerwcu 1980 roku. Sławomir Petelicki ściągnął go do Wydziału XI, jednostki wywiadu zajmującej się zwalczaniem krajowej opozycji. Na nowym stanowisku tropił szlaki przetrutu sprzętu i pieniędzy dla Solidarności. „Opozycja – mówi Makowski – zawsze była przez kogoś finansowana. Zawsze stał za nią jakiś wywiad. Jeżeli ja jestem oficerem wywiadu, to moje zadanie polega na ustaleniu źródeł tego finansowania, bo to nie jest normalna sprawa”. Powtarza przy tym wielokrotnie: „Myśmy tylko zbierali informacje”. Gorliwie zajmując się zwalczaniem „wrogów” Polski, nie zastanawiał się, czy normalną sprawą był satelicki charakter państwa i brak wolności. Tego rodzaju pytania i dylematy nie pojawiają się też i dziś, no bo kim wówczas byłby „państwowiec” Makowski?

Po 1989 roku i negatywnej weryfikacji młody emeryt został biznesmenem. W nowej firmie był, jak enigmatycznie stwierdził, „doradcą od spraw rozmaitych”. O biznesie nie miał pojęcia, ale jego atutem były znajomości (czy tak się rodził polski kapitalizm?). Nie zapomnieli o nim również koledzy z wywiadu, którzy – jak Czempiński – zajęli kierownicze stanowiska w Urzędzie Ochrony Państwa. Potem zajmował się jeszcze handlem bronią. W sprawach biznesowych i jako współpracownik tajnych służb nowej Polski jeździł do Afganistanu.

Ludzie peerelowskich służb to nie są moi bohaterowie. Trzeba jednak przyznać, że Makowski – niewątpliwie inteligentny i interesujący rozmówca – potrafił w ciekawy sposób odsłonić nieco kulisy pracy oficera wywiadu. Inna rzecz, że brak w tej opowieści krytycznej autorefleksji. ■



Paweł Reszka, Michał Majewski,
Zawód: szpieg. Rozmowy z Aleksandrem Makowskim, Wydawnictwo Czarna Owca,
Warszawa 2014, 311 s.

Sekretarki o Hitlerze

Decydującym momentem w życiu Adolfa Hitlera był koniec I wojny światowej, który zastał go dochodzącego do siebie po zatruciu gazem musztardowym na froncie zachodnim w październiku 1918 roku. Oszłamiony niespodziewaną rewolucją i równie nieoczekiwaną kapitulacją Niemiec, nikomu nieznanemu kapral podjął decyzję, że zajmie się polityką. Od tego wydarzenia zaczyna swoją narrację John Toland, autor wydanej w USA w 1976 roku biografii Hitlera, która niedawno została przetłumaczona na polski.

Trudno się nie zgodzić z Tolandem, że właśnie ten moment był w życiu Hitlera przełomowy. Prawdą jednak jest również to, że autor ma problemy z odróżnieniem wydarzeń naprawdę istotnych od błahych. Poświęca np. tyle samo miejsca niektórym decyzjom Hitlera w sprawach międzynarodowych, co informacji, że podczas I wojny światowej w czasie służby na froncie przygarnął psa. Ponadto, przytaczając niektóre hasła propagandy nazistowskiej, nie prostuje jej kłamstw, co może wprowadzić czytelnika w błąd. Powtarza – być może nieświadomie – stereotypy na temat wojny polsko-niemieckiej (m.in. o szarzy polskiej kawalerii na niemieckie czołgi). Do tego stopnia jest oszczędny w interpretowaniu wydarzeń, że czasami trudno odróżnić jego komentarz od przytaczanej argumentacji nazistów. W części poświęconej kryzysowi w stosunkach polsko-niemieckich w 1939 roku, odwołując się przede wszystkim do niemieckich relacji i dokumentów (w tym propagandowej niemieckiej białej księgi, wydanej po to, aby zrzucić winę za wybuch wojny na Polskę i Wielką Brytanię) sugeruje, że Polacy wcale nie mieli ochoty negocjować z Hitlerem. Przekazany przez Tolanda obraz relacji między Berlinem a Warszawą odbiega od wiedzy wynikającej z aktualnego stanu badań.


Autor wykorzystuje w znacznej części relacje powojenne, a dokumenty mają dla niego znaczenie drugorzędne. Według niego, sekretarki, kierowcy i adiutanci przebywający na co dzień w bliskim otoczeniu przywódcy III Rzeszy byli tymi, którzy poznali go znacznie lepiej niż dowódcy wojskowi (którymi przeważnie gardził) i towarzysze partyjni (którym nie zawsze ufał). Toland chętnie więc oddaje głos ludziom z drugiego planu, których wypowiedzi były przez innych historyków pomijane lub traktowane tylko jako uzupełnienie wspomnień generałów, polityków i dyplomatów. Czy używany w ten sposób obraz Hitlera jest bliższy prawdzie, pełniejszy? Czy wybór perspektywy młodej sekretarki, dla której Hitler zawsze stara się być miły, nie powoduje jednak pewnego zawężenia pola widzenia?

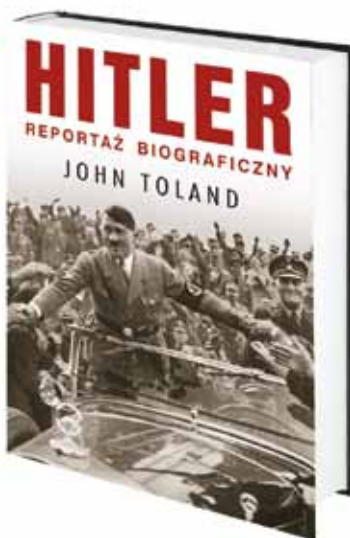
Powojenne wspomnienia, zeznania i wywiady są nie tylko skażone subiektywizmem, lecz także naznaczone piętnem czasu, w którym powstawały. Dawni dygnitarze w oczywisty sposób próbowali usprawiedliwić własne postępowanie. Toland przyjmuje np. za prawdziwą relację Hansa Franka, zawartą w jego wspomnieniach pisanych w oczekiwaniu na wyrok w głównym procesie zbrodniarzy nazistowskich w Norymberdze, zgodnie z którą jako minister sprawiedliwości Bawarii sprzeciwiał się on egzekucji

dowódców SA w czasie tzw. nocy długich noży i groził Hitlerowi dymisją. Zapewnienia te trudno traktować poważnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że Frank nie tylko nie utracił stanowiska i mandatu posła do Reichstagu, lecz także został powołany na stanowisko generalnego gubernatora na ziemiach polskich. Okoliczności, jakie towarzyszyły powstaniu tej i innych relacji, z których korzystał autor, powinny skłaniać do ostrożności przy powoływaniu się na twierdzenia w nich zawarte.

Trzeba pamiętać, że pierwodruk książki ukazał się w USA niemal 40 lat temu, a autor nie może odpowiedzieć na ewentualne zastrzeżenia i uwagi (zmarł w 2004 roku). Od czasu pierwszej publikacji wiemy znacznie więcej zarówno o samym Hitlerze, jak i jego epoce. Z tego powodu wybrany dla polskiej edycji podtytuł „reportaż biograficzny” bardziej odpowiada treści niż oryginalny (*definitive biography* – „biografia ostateczna”), ponieważ nie jest to ani najobszerniejsza, ani najbardziej aktualna biografia wodza III Rzeszy, którą można przeczytać po polsku. Mimo znacznej objętości pomija wiele wydarzeń istotnych nie tylko z punktu widzenia polskiego czytelnika. Autor poświęca sporo miejsca polityce zagranicznej III Rzeszy, wspominając m.in. o konkordacie z 20 lipca 1933 roku i obszernie opisując układ morski z Wielką Brytanią z 18 czerwca 1935 roku, ale brak w pracy wzmianki o równie istotnym przełomie w stosunkach polsko-niemieckich w okresie po przejściu władzy przez Hitlera i polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 roku. Znalazło się natomiast miejsce dla – mającej mniejsze znaczenie – polsko-niemieckiej umowy dotyczącej mniejszości narodowych z 5 listopada 1937 roku.

Tolandowi zdarza się też ulegać „urokowi” III Rzeszy. Zaslugę pokonania wielkiego kryzysu, ograniczenia bezrobocia, budowy autostrad oraz uruchomienia produkcji samochodu dla robotników przypisuje Hitlerowi. Dziś wiadomo, że te sukcesy zostały w znacznej mierze wykreowane przez nazistowską propagandę. Celem zwiększenia zatrudnienia nie był dobrobyt społeczeństwa, lecz zbrojenia, które kosztowały Niemców wiele wyrzeczeń. Sukces gospodarczy Rzeszy był w dużej mierze dziełem sprytnych posunięć bankiera Hitlera,

Hjalmara Schachta, i skutkiem wymuszenia na wielu państwach europejskich niekorzystnych dla nich umów gospodarczych. Słynny volkswagen „garbus” był przede wszystkim pojazdem służbowym urzędników – niewiele aut trafiło przed 1945 rokiem w ręce prywatnych nabywców. Toland powtarza też część mitów wykreowanych przez niemiecką propagandę na temat zainteresowania Hitlera dolą zwykłego żołnierza Wehrmachtu w czasie walk w Polsce: „Każdego ranka, po poddyktowaniu codziennych rozkazów Chrście Schroeder, wyruszał w pole walki z pistoletem i pejczem z bydlęcą skórą. Poruszał się otwartym samochodem, jeśli pozwalała na to pogoda, aby żołnierze mogli go rozpoznać, a jego służący i adiutant rozdawali papierosy”. Podobnych opisów życia codziennego Hitlera i anegdot na jego temat jest w książce Tolanda znacznie więcej. 



John Toland, *Hitler. Reportaż biograficzny*, Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz, Warszawa 2014, 1152 s.



■ Joanna Dardzińska, *Ulotki, hasła, anonimy. Formy indywidualnego sprzeciwu wobec systemu komunistycznego w Polsce w okresie 1945–1989*, IPN, Warszawa 2015, 228 s.



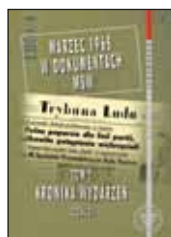
■ Tomasz Dudziński, Michał Małachiewicz, Krzysztof Sychowicz, *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Grajewie (1945–1956)*, IPN, Białystok 2015, 320 s.



■ *Federacja Młodzieży Walczącej 1984–1990*, red. M. Wierzbicki, IPN, Warszawa 2015, 510 s.



■ Monika Litwińska, *WiP kontra PRL. Ruch Wolność i Pokój 1985–1989*, IPN, Kraków 2015, 602 s.



■ *Marzec 1968 w dokumentach MSW, t. 2: Kronika wydarzeń, cz. 2*, red. naukowa F. Dąbrowski, P. Gontarczyk, P. Tomasik, IPN, Warszawa 2015, 811 s.



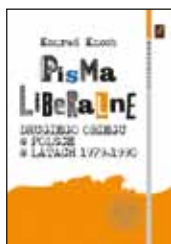
■ Maria Małaśnicka-Miedzianogóra, *Róże dla Lone. Za wolność Polski i Danii (1939–1945)*, wprowadzenie W. Grabowski, IPN, Warszawa 2015, 368 s.



■ Filip Musiał, *Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*, wyd. 2, IPN, Avalon, Kraków 2015, 396 s.



■ Piotr Kardela, *Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953–1990*, IPN, Olsztyn – Białystok 2015, 686 s.



■ Konrad Knoch, *Pisma liberalne drugiego obiegu w Polsce w latach 1979–1990*, IPN, Warszawa 2015, 437 s.



■ *Obrazy władzy w literaturze, teatrze i filmie. Studia*, red. M. Mazur, S. Ligarski, IPN, Warszawa 2015, 328 s.



■ Elżbieta Rączy, *Zagłada Żydów w dystrykcie krakowskim w latach 1939–1945*, Uniwersytet Rzeszowski, IPN, Rzeszów 2014, 407 s.



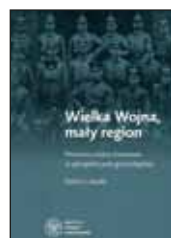
■ Alfred A. Reisch, *Nieznany front zimnej wojny. Tajny program dystrybucji książek za żelazną kurtyną*, IPN, red. M. Choma-Jusińska, Warszawa 2015, 568 s.



■ Paweł Rokicki, *Glinciszki i Dubinki. Zbrodnie wojenne na Wileńszczyźnie w połowie 1944 roku i ich konsekwencje we współczesnych relacjach polsko-litewskich*, IPN, ISP PAN, Warszawa 2015, 384 s.



■ *Społeczeństwo polskie w latach 1980–1989*, red. N. Jarska, J. Olaszek, IPN, Warszawa 2015, 439 s.



■ *Wielka Wojna, mały region. Pierwsza wojna światowa w perspektywie Górnośląskiej. Szkice i studia*, red. B. Link, S. Rosenbaum, J. Tofilka, Katowice – Gliwice – Opole 2014, 192 s.



■ Robert Witalec, *Franciszek Wilk 1914–1990. Biografia ludowca niezłomnego*, IPN, Rzeszów – Warszawa 2015, 375 s. + 32 s. wkł. zdj.



■ *Wokół spraw trudnych, bolesnych i zapomnianych. Studia i szkice*, red. E. Kowalczyk, L. Ladorucka, W. Marciniak, B. Szubtarska, J. Żelazko, IPN, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2014, 1022 s.



■ *Wokół teczek bezpieki. Zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, red. F. Musiał, wyd. 2, IPN, Avalon, Kraków 2015, 448 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl



Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów

Pomóż odnaleźć ofiary totalitaryzmów
– obywateli polskich zamordowanych i zaginionych
w latach 1939–1956. Zgłoś się do PBGOT!



Poszukujesz członków rodziny zaginionych w okresie II wojny światowej? Twój dziadek walczył w obronie granic polskich we wrześniu 1939 r., został rozstrzelany przez Niemców lub skazany na pobyt w obozie pracy przymusowej w ZSRR, gdzie zmarł? Rodzinę deportowano do Związku Sowieckiego i ślad po niej zaginął? Twój bliski zaginął bez śladu lub został zamordowany przez komunistów? Oddaj swój materiał do Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów! Zabezpieczymy go i poddamy badaniom genetycznym, w celu identyfikacji osobniczej! **Pomóż dotrzeć nam do najbliższych krewnych ofiar, zanim odejdą!**

Szczegółowe informacje: www.pbgot.pl
tel. 91 48 49 873 lub 91 46 61 857



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ